





Taniec lichwy.

---

Warszawska Drukarnia Estetyczna, Nowo-Wielka 25. — Telefonu 1618.

<http://rcin.org.pl>

SYLWERYUSZ KONDRATOWICZ.

---

---

# Taniec lichwy.

---

---

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych.

TOM I.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63



WARSZAWA.

NAKŁADEM A. G. DUBOWSKIEGO  
91. MARSZAŁKOWSKA 91.

1904



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 12 Мая 1903 года.

22.123/1

## I.

W jednej z cukierni w pobliżu ogrodu Saskiego w Warszawie gorący był dzień...

Chłopcy i służba nie mogli nadażyć z zaspokojeniem żądań licznych gości, co chwila napływających z ulicy. Z tych gości jednak nie byli widać zadowoleni właściciel cukierni i jego główny subiekt, gdyż mieli twarze chmurne, niemal ponure i z pode łba przyglądali się swej „łaskawej“ klienteli.

Była to klientela przeważnie chałatowa, a z jej zachowania się, z ożywionego gwaru i zapalczywych rozmów, jakie goście wiedli między sobą, łatwo było odgadnąć, że nie przyszli tu dla wypoczynku, lub dla spożycia smakołyków cukierniczych, lecz dla załatwienia jakichś pilnych spraw natury finansowej.

Nie trudno również było wymiarkować, że od pomyślnego załatwienia tych spraw zależała cała niemal przyszłość tej ruchliwej, zgorączkowanej gromady ludzkiej, ożywionej jedną myślą, jednym dążeniem, jedynym celem, któremu na imię było: „zysk.“

Poznać to można było z oczu błyszczących, ze spojrzeń niespokojnych, biegających na wszystkie strony, z gwałtownej gestykulacji rąk i całego ciała, z bezwiednego ruchu szczęk i warg, oraz drgających nerwowo mięśniów twarzy, co wszystko zdawało się świadczyć o wybujałych w jednym kierunku namiętnościach, których ci ludzie nie starali się nawet ukrywać lub maskować.

Nie potrzebowali zresztą uciekać się do jakiegokolwiek w tym względzie maskarady.

Byli tu wszystko „swoi,“ czuli się u siebie, a to tem więcej, że rozmawiali ze sobą w żargonie żydowsko-niemieckim, dla nich samych tylko rozumiałym.

Mówili głośno, bardzo głośno, a niekiedy, gdy unosiła ich zapalczliwość sporu, po prostu krzyczeli, niewiele sobie czyniąc z chmurnej twarzy i z upominań właściciela cukierni, gdy ten prosił o pohamowanie zbytniego zapału dyskusyi.

Oburzali się wówczas, mówiąc:

— Nu, co to jest!... my płacimy, dajemy zarobek, to nam rozmawiać wolno...

Właściciel cukierni milknął, zacinał zęby i zaciskał pięści, tłumiąc w sobie gwałtowną chęć powyrzucania za drzwi tej „łaskawej klienteli.“

Nie śmiał wszakże tego zmanifestować nieco wyraźniej, a całe swe niezadowolenie uja-



wniał tem tylko, że polecił służbie ściągać opłatę za kawę lub herbatę o kilka kopiejek więcej na szklance.

Nie wszyscy jednak żądali tych napojów. Większość gości wpadała na chwilę: jedni zamieniali z kimś kilka słów zaledwie i pośpiesznie wychodzili; drudzy rozglądali się po sali, szukając widocznie kogoś, lecz nie znalazłszy, opuszczali również cukiernię; inni znów wbiegali, gorączkowo zdawali relację przed którymś z okazalszych gości, wręczali mu jakieś papiery, szeptali coś poufnie, poczem otrzymawszy nowe dyspozycje, zabierali się ku wyjściu...

Na gości tej ostatniej kategorii wziął się cukiernik, gdyż polecił swej służbie domagać się od każdego z nich obstalunku dotąd, póki nie każą sobie coś podać.

Gniewało to wielu, lecz gniew ich uspokoił jeden z matadorów, dostatnio, bogato ubrany gość, postawy okazałej, pewnej siebie, o twarzy błyszczącej od dobrobytu i zadowolenia, a jednocześnie dobrodusznej.

— Trzeba płacić, niech i cukiernia zarobi coś dla swego pryncypała — mówił, zwracając się z łaskawym uśmiechem w stronę cukiernika.

Tym razem cukiernik słodszą uczynił minę, ten bowiem, co się doń tak „łaskawie“ zwrócił, był jego stałym gościem, a co więcej, naj-

główniejszą personą w tej gromadzie chaładowej.

Był to bowiem pan Dawid Liebkind, milioner, jedna z potęg finansowych w mieście.

Do niego też najwięcej zgłaszało się tu interesantów, a właściwie jego „ludzi,” stałych faktorów i pośredników w różnorodnych interesach pieniężnych, które prowadził na wielką skalę. Nie było bowiem sfery działalności finansowej, na którejby potężna dłoń pana Dawida nie ciążyła.

A że znaną była ogólnie jego rzutność, bystrość i ryzykowność przedsiębiorcza, przeto interesów miał nawał, a „ludzi” do spełniania jego genialnych pomysłów finansowych tysiące, gotowych na wszystko — dla okrucich zysku, a nawet przez poświęcenie się dla swego genialnego pryncypała.

O przeszłości jego i źródle fortuny różnie mówiono; niedokładne było nawet pojęcie o jego majątku: jedni twierdzili, że ma kilka milionów rubli, inni, że nie stoi znów tak świetnie, nikt mu wszakże nie śmiałyby jawnie odjąć przydomku „milionera,” za jakiego powszechnie go uważano.

W ostatnich wszakże latach jego działalności przybył mu nowy tytuł „królika budowlanego,” tytuł dobrze i sumiennie zdobyty, gdyż pan Liebkind w ciągu ostatnich kilku lat wybudował przeszło 60 kamienic w Warszawie,

z których 12 pozostawało dotąd jego własnością—i to kamienic czteropiętrowych, w najbardziej zaludnionych dzielnicach miasta.

Wprawdzie mówiono sobie na ucho, że kamienice te obdłużone były od suteran aż do poddaszy, lecz okoliczność ta nie zmniejszała znaczenia finansowego ich właściciela, lecz, przeciwnie, zwiększała je w świecie „obrotności i sprytu,“ gdyż świadczyła, że pan Dawid zbyt dobrze rozumie znaczenie gotówki, by miał ją więzić całkowicie w ceglach i wapnie, co nie jest przecie interesem ani bardzo zyskownym, ani bardzo pewnym, gdyż najporządniej zbudowane kamienice zawalić się mogą.

Pan Dawid więc wolał mieć wartość swych kamienic w gotówce—ile?—tego nikt na pewno nie wiedział, natomiast wiedzieli wszyscy, że ma nieograniczony kredyt w bankach i innych instytucjach finansowych, z których dyrektorami był on w najlepszej komitywie i to tak dalece, że mógł ich łaskawie klepać po ramieniu.

„Żyro“ też pana Liebkinda było pewne i murowane—bez względu na sumę, wyrażoną na wekslu, oraz bez względu na nazwisko wystawcy; żaden też bank, żadna instytucja finansowa nie ośmieliłaby się zakwestyonować weksłu z żyrem tego potentata.

Sama ta już okoliczność wystarczała, by pan Liebkind cieszył się w całym mieście zna-

czeniu, powagą i wpływami, jakie mu przysługiwały. Co on powiedział — było święte, czego on zażądał — musiało być spełnione, do jakiegobądź interesu przyłożył swoją rękę — ten interes musiał się udać, musiał przynieść obfite owoce.

On to pierwszy wyczuł potrzebę ruchu budowlanego i on go stworzył po prostu. W ciągu trzech miesięcy zaledwie zakupił przeszło sto placów w rozmaitych stronach miasta i rozpoczął budowę okazałych kamienic; w ciągu kilku następnych miesięcy większą część tych placów zdołał odprzedać z niesłychanym zyskiem: za pustki w odludnych dzielnicach, płacone po 50 kop. za łokieć, brał po 2 i 3 ruble.

Dość mu było rozpocząć na jakim pustkowiu budowlę, założyć fundamenty zaledwie, a wartość sąsiedniego placu, będącego również jego własnością, podnosiła się kilkakrotnie.

Było to tak proste, tak łatwe obliczenie!... to też pan Liebkind w kilka miesięcy zarobił na czysto przeszło dwakroć tysięcy rubli.

Nie zadawała to wszakże jego ambicyi budowlanej i... chciwości. Wyszukiwał przeto coraz nowe place, wpadał na coraz inne pomysły, by nie dać się wyprzedzić, nie dać zbierać owoców innym z przedsiębiorczości przez niego zbudowanej.

Wówczas to odkrył niespodzianie, jak liczną, niby piasek w morzu, miał rodzinę — bliższą

i dalszą, i to z pośród proletaryatu żydowskiego, nędzarzy wszelkiego rodzaju.

Nie odtrącił ich wszakże, nie zaparł się pokrewieństwa, jak to najczęściej się praktykuje u „bogaczy,” lecz przeciwnie, przygarnął do siebie i każdemu wskazał sposób do życia i do fortuny.

Od razu też zasłynął wśród nich jako „wielki dobrodziej” i „wielki bogacz,” co nie tylko że zjednało mu poważanie u swoich, lecz i podniosło i tak już ogromny kredyt w mieście.

Pozyskał nadto zwartą gromadę ludzi bezwzględnie sobie oddanych, gotowych do wszelkich usług, jakich tylko od nich zażądał.

Za usługi te nie potrzebował nawet zbyt hojnie płacić.

— Krewnym płaci się zawsze mniej — mówił do siebie z uśmiechem, wyzyskując bezlitośnie „swoich ludzi.”

Żeby ich przywiązać silniej do siebie i do sfery swej działalności, wielu z nich poumieszczał w swych domach, jako rządców, dając im — zamiast stałej pensyi — prawo ściągania jej w tej lub owej formie od lokatorów, pod pozorem „kontraktowego,” opłat za kartki meldunkowe, świadectwa, metryki i t. p.

Nic go nie obchodziła nielegalność tych dochodów; to też, gdy który ze śmielszych rządców zwracał na to uwagę, odpowiadał:

— A co mnie to obchodzi! to rzecz loka-

torów... a głupi rządcą, który z nimi poradzić sobie nie umie.

Oprócz rządców, miał dozorców przy budowlach i faktorów, przeznaczonych do spraw bardzo delikatnej natury, w których osobiście występować nie chciał lub nie mógł, dla przyczyn jemu tylko wiadomych.

Czynił tak zresztą między innymi i dlatego jeszcze, że na pośrednictwie tego rodzaju zawsze zarabiał.

Jednym z takich „dyplomatów,” awansowanych na tę godność niedawno, był pan Jakób Sieradz, cioteczno-cioteczny brat pana Dawida, człek poważny, przejęty godnością swego odpowiedzialnego stanowiska.

Wszedł on właśnie do cukierni, i krokiem wolnym zbliżywszy się do Liebkinda, przywitał go ze swobodą człowieka niezależnego, bez cienia uniżoności dla swego pryncypała.

— Siadaj, Jakóbie—zaprosił Liebkind, podsuwając mu krzesło; — co pijesz? kawę czy herbatę?

— Herbatę.

Gdy podano herbatę, Sieradz włożył do szklanki jeden kawałek cukru, a resztę, to jest 4 do 5 kawałków, schował niezwłocznie do kieszeni.

Uczył to zresztą, niezbyt krępując się obecnością swego pryncypała, ani też innych gości.

Cukier należy do herbaty, za którą zapłaci, a więc to, co on „na słodkości“ oszczędzi, to jego zysk—rozumował pan Sieradz, utyskując w myśli, że zbyt małe kawałki cukru podają w cukierniach.

— No i cóż? — zagadnął go Liebkind po chwili.

— Jest...

— Kto?

— Obywatel.

— Wiejski czy miejski?

— On trochę był wiejski, a teraz jest miejski.

— Gdzie?

Sieradz wymienił ulicę.

— Ma kapitał?

Przeczący ruch głową był odpowiedzią.

— A więc co on ma?

— On ma dom.

— W długach?

— Czysty, oprócz Towarzystwa; ale on ciągle potrzebuje.

— Dlaczego on potrzebuje?

— On ma trzy córki do wydania i syna arystokratę; to wielki szlachcic i dlatego on stęka...

— Mówiłeś z nim?

— Jeszcze nie; jak będzie czas, to się zrobi...

— Skądże wiesz?

— Ja go znam.

— Więc rób...

— Dobrze.

— Place daję do wyboru: na Stalowej Siennej, Nowolipiu...

— Onby chciał w swojej okolicy—zauważył Sieradz.

— Niech będzie: Wilcza albo Koszyki, chociaż wolałbym tamte.

— Ja będę chciał...

— Pamiętaj.

— Przecież to i mój interes.

— Nu, nu!...

Umilkli.

Nagle pan Liebkind zapytał:

— A który numer domu?

Sieradz wymienił numer.

Liebkind podniósł głowę do góry i utkwił wzrok w sufit, jakby chciał sobie coś przypomnieć lub obliczyć, po chwili powiedział:

— 80,000 rubli.

Sieradz nie okazał ani zdziwienia, ani też nie żądał bliższych informacji co do znaczenia wymienionej cyfry, lecz od razu odpowiedział:

— Zeszłego roku zapłacił 82,000 rubli i 1,000 rubli faktornego.

— Tobie?

— Joskowi.

— Weisblichowi?

— Ziferblatowi.

— To dziś wart 90,000 rubli...—powiedział



do siebie półgłosem, poczem dodał:—no, więc „fertig,“ rób!—zakończył pan Liebkind konferencyę.

— Ja będę robił.

W tej chwili do stolika podszedł młody, ubrany w długi chałat żydek i skłonił się dość nisko przed Liebkindem.

— Jak się masz, Rubin? co jest?—zagadnął go Liebkind.

Rubin, zamiast odpowiedzi, wyjął pugilares i wręczył mu paczkę weksli, już wypełnionych.

Liebkind przejrzał szybko tekst weksli, pilnie obserwował podpisy wystawców, poczem zsumował po cichu cyfry i głośno wymienił sumę:

— 4,850 rubli.

— Tak—potwierdził Rubin.

Liebkind wziął leżące na stole pióro, umaczał w kałamarzu i na drugiej stronie weksli położył swoje „żyro,“ poczem ołówkiem wymienił na każdym wekslu instytucję finansową, w której weksel miał być zdyskontowany. Dopelnwszy tej czynności, wręczał weksle Rubinowi, mówiąc:

— Bank handlowy... dyskontowy... przemysłowców... wzajemny kredyt...

Rubin przyjmował od swego pryncypała każdy weksel z lekkim ukłonem. Gdy wszystkie już miał w rękę, Liebkind dodał:

— Położyć stempel z cesyą i jutro zainkasować.

Rubin skłonił się w milczeniu i wyszedł.

Liebkind pochylił się na poręcz fotela i zamyslił się, a właściwie obliczał w pamięci zysk z uczynionej przed chwilą operacji. Przedstawiał się on wcale pokaźnie: od 4,850 rubli za weksle z 4-miesięcznym terminem banki strąca w stosunku rocznym 9 proc.: 145 rb. 50 kop., on zaś wystawcom strąci w stosunku 18 proc.: 291 rb., to jest dwa razy tyle.

Czysty więc zysk za czynność, trwającą pięć minut, wynosił 145 rb. 50 kop.

Takich operacji dokonywał co tydzień po kilka i zgarniał do kieszeni pieniądze bez żadnego ryzyka; wystawcy bowiem byli *pewni*, przynajmniej do czasu, tylko że dla nich osobiście kredyt w miejscowych bankach był bardzo ograniczony lub zupełnie niedostępny.

Najwięcej wówczas weksli było tak zwanych „budowlanych,” gdyż w tym roku ruch budowlany w Warszawie doszedł do niebywałych rozmiarów. Domy wyrastały, jak grzyby po deszczu, we wszystkich dzielnicach miasta, na pustkowiach niezabrukowanych i nieoświetlonych, na których nawet ulice nie były wytknięte.

Gończka budowlana grasowała nie tylko wśród spekulantów lub przedsiębiorców zawodowych, lecz ogarnęła nawet cichych, ospałych,

drobnych kapitalistów-rentierów, zadawalniających się dotąd skromnym dochodem ze swoich funduszów.

Echa orgii spekulacyjnej zamąciły ich spokój, a nawet wieści o wielkich zyskach na kupnie i sprzedaży, a zwłaszcza na budowie domów, budziły niezdrowy apetyt i oskome, które potęgowały się tem więcej, im wyżej śrubowano komorne, które doszło do niebywałej przedtem wysokości.

Za dwa pokoje z kuchnią żądano i płacono po 350 rb., za trzy—pięćset do sześciuset.

Była to zwyczajka sztucznie wywołana przez całą zgraję spekulantów i lichwiarzy budowlanych, za którymi poszli i rdzenni obywatele, dawni właściciele domów, usprawiedliwiając swoje zdzierstwo racyą ekonomiczną—„podaży i popytu.“

Dzięki tej dogodnej racyi, niektóre domy przynosiły czystego dochodu od 15 do 24 proc. rocznie.

Wprawdzie odzywały się głosy trzeźwiejsze, że te lichwiarskie zyski są objawem nie-normalnym, chorobliwym, który nie dziś, to jutro minąć musi—nie słuchano wszakże tego i spekulowano w dalszym ciągu; jeśli zaś ktokolwiek z pomiędzy właścicieli domów uznawał słuszność tych ostrzeżeń, to jednak nie widział przyczyny, dlaczego miałby się wyrzekać zysków, które same idą do ręki.

„Brac, póki się da!“ było dewizą tych trzeźwych obywateli.

Do ich rzędu należał i Liebkind, który wprawdzie prowadził dotąd przedsiębiorstwa handlowe, lecz czynił to głównie dlatego, żeby nie osłabiać rozbudzonego ducha spekulacji, której rychły koniec przewidywał.

Zresztą wynalazł on sobie inne, daleko zyskowniejsze pole operacyjne.

Budować i sprzedawać domy już mu się nie bardzo opłacało: place poszły niesłychanie w górę, za cegłę płacono zamiast 11 lub 12 rb. za tysiąc — po 22 do 24; robotnik zdrożał, a przytem władze budowlane zaczęły wprowadzać ostrzejszą kontrolę, z czem było dużo kłopotu, kosztów i strat nieprzewidzianych.

Taki na przykład dobry materyał budowlany, jak gruz i piasek, można było tylko ukradkiem użytkować; słowem nie było wielkiego interesu...

To też pan Dawid Liebkind nie podejmował już sam nowych przedsiębiorstw budowlanych, lecz stał się gorliwym inspiratorem i pomocnikiem do spraw tych dla innych.

A że miał na swe rozporządzenie całą zgraję faktorów i „dyplomatów“ z pośród swych krewnych, przeto nie trudno mu było za ich pośrednictwem wynajdywać ochotników, chciwych na duże zyski, a żądnych zrobienia fortuny na przedsiębiorstwach budowlanych.

Wszelako z pomiędzy tych amatorów pan Dawid wybierał tylko ludzi zasobnych w gotówkę, lub też posiadających jakąś nieruchomości z niezbyt zabrukana hipoteką.

Wprawdzie ludzi takich było w Warszawie wielu, lecz nie wszyscy z nich szli na lep ponętnych obietnic, jakie roztaczali przed nimi faktorzy Liebkinda. Jednych krępował brak rzutności i energii, drugich wrodzone lenistwo, innych obawa strat możliwych.

— Ja się na tem nie znam, ani też lichwiarskich zysków nie potrzebuję; dość mi tego, co mam—opędzał się ten i ów przed natarczywością faktorów.

I tu właśnie otwierało się wdzięczne pole dla ich przebiegłości. Trzeba było jednak głębokiej znajomości natury ludzkiej, umiejętności zagrania na słabych jej strunach, rozbudzenia żądzy bogactw i chęci użycia, rozdmuchania przytłumionych ambicyjek przez ukazanie perspektywy znaczenia i poważania towarzyskiego, by cel osiągnąć.

W ostatnim razie, gdy te środki nie pomagały, umiano czule zagrać i na strunach miłości rodzicielskiej, aż wreszcie upatrzona ofiara uledez musiała.

Naówczas faktor tryumfował i zacierał ręce z radości na myśl o zyskach, jakie będzie mógł ciągnąć przez lat kilka.

O zyskach takich rozmyślać musiał teraz

i pan Jakób Sieradz, gdyż zapadł w głęboką zadumę, podczas gdy jego pryncypał palił nie-  
dbale cygaro, przyglądając się z przymrużone-  
mi oczyma rozgorączkowanej grupie osób, pro-  
wadzących spór głośny, ożywiony energiczną  
gestykulacją.

— Nasze żydki mają gorącą krew!—zau-  
ważył Liebkind, zwracając się do swego są-  
siada.

— Nu, każdy chce zarobić — odparł Sie-  
radz z wyrozumiałą pobłażliwością.

Nagle dotychczasowy gwar zamienił się  
w przeraźliwy krzyk głosów pomieszanych,  
a jednocześnie ozwały się wymysły w języku  
najordynarniejszym:

— Oszust!...

— Łajdak!...

— Falszerz!...

— Co się stało?—zawołał Liebkind, pod-  
nosząc się z fotela.

— Panowie, proszę się uciszyć, lub wyjść  
natychmiast!—zawołał cukiernik głosem suro-  
wym.

— Jeszcze przyjdzie policya!—przywtórzył  
mu ktoś ze służby.

Przestroga ta odniosła skutek, gdyż powoli  
gwar przycichł, skutkiem czego można było  
wymiarkować, o co chodzi.

Szło tu o 1,000 rubli faktornego, któremi

jeden z faktorów nie chciał się podzielić z drugim, stosownie do zawartej poprzednio umowy.

— On nic nie robił, żadnego mądrego słowa nie powiedział... za co ja mam mu dać?— wołał jakiś rudy żydek, pieniać się ze złości. Oczy jego nabiegłe krwią, rozognione, miały błyskawice słusznego czy udanego oburzenia.

— Ja wskazałem, ja chodziłem, była umowa — mówił z godnością jego przeciwnik, człowiek już starszy, z długą, siwiejącą brodą.

W głosie jego dzwięczało silne przekonanie o słuszności swej sprawy.

— Łzesz!

— Niech rabin rozsądzi...

— Poco rabin?... My zrobimy sąd polubowny, tu na miejscu, a głównym sędzią niech będzie p. Liebkind—zaproponował jeden z uczestników sporu.

— Ja nie potrzebuję sądu, ja mam swoje pieniądze, ja mu mogę dać coś z łaski—protestował rudy.

— Sza, sza!—odezwał się stronnik rudego, szepcząc mu coś na ucho, poczem dodał głośno:— tyś głupi, dla ciebie to wielki honor będzie, jeśli taka godna osoba jak pan Liebkind zechce was rozsądzić i uczynić zgodę.

Za tym głosem perswazyi odezwały się i inne głosy nalegania, którym wreszcie rudy żydek uległ.

Liebkind wybór na superarbitra łaskawie

przyjął, i przybrawszy wyraz twarzy poważny i surowy, zapytał „rudego,“ winowajcę kłótni:

— Tu o faktorne chodzi?

— Tak.

— Za co?

— Za sprzedaż domu.

— Czyj dom?

— Mój—odparł „rudy“ chętnie.

Na te słowa wszyscy przysłuchujący się tej indagacyi roześmieli się głośno; uśmiechnął się również pan Liebkind.

Rudy żydek, nieco skonfundowany, powiódł wkoło siebie gniewnym wzrokiem i powiedział:

— Nu, co to za śmiech! jak ma być sąd, to niema śmiechu.

— Aj, aj!... jaki bogacz!... Kamienicznik, obywatel, pan Icek Suchy!—ozwały się głosy drwiące.

Przyczyną tego śmiechu i tych drwin była ta okoliczność, że Icek Suchy znany był do wczoraj jeszcze jako czwartorzędny faktor, nędzarz i łapserdak, chciwy nad wyraz zysku, lecz niemający dotąd szczęścia do interesów. Był zresztą jeszcze bardzo młody i dlatego nikt jakoś nie miał doń zaufania, skutkiem czego czepiał się on faktorów starszych, mających więcej doświadczenia, i im proponował do spółki rozmaite interesa, które zdołał wywęszyć.



Tak było i w danym wypadku: posłyszał, że ktoś chce dom sprzedać, pobiegł więc z tą wiadomością do swego dalekiego krewnego; ten, sprawdziwszy wiarogodność faktu, wymienił i wskazał kapitalistę, zastrzegłszy, że w razie ubicia interesu faktornem podziela się do połowy. Icek Suchy chętnie się na to zgodził, lecz nic nie mówiąc, na własną rękę zaczął chodzić koło sprawy, i to tak zręcznie, że wy dobył od mniemanego nabywcy deklarację, iż za dom gotów jest zapłacić sumę w deklaracji wymienioną, co więcej, Icek otrzymał z góry kilkadziesiąt rubli tytułem faktornego.

Wówczas to powziął on plan iście machiawelski, by wycofać się z przyjętego zobowiązania podziału faktornego.

Oto pobiegł do domu, zgromadził całą swoją gotówkę, jaką miał chwilowo wypożyczoną ojcu, bratu i dziadkowi, co wyniosło razem 500 rubli, i z tymi pieniędzmi przyszedł do właściciela domu, położył mu je na stole i rzekł krótko:

— Dom kupuję, a to zadatek.

Zważywszy, że wartość sprzedażna kamienicy oznaczoną była na 80,000 rubli, propozycja Icka Suchego wywołała zdziwienie u właściciela, jego współwyznawcy.

— No, jakto! chcesz dom kupić za 500 rubli! ty... ty, lapserdak!...

— Z przeproszeniem... a cóż to 500 rubli

nie pieniądze? To zadatek, a za trzy dni pójdziemy do rejenta spisać akt i szacunek się wypłaci.

— Kto? ty?...

— Ja, czy kto inny, wszystko jedno.

— Ty masz już kupca?

— Mam.

— A jak się on cofnie?

— To moje ryzyko!... zadatek przypadnie...

— Słuchaj, Icek! tyś wielki ryzykant! nu, ale to twoja rzecz; ja pieniądze wezmę i kwit wydać, żem wziął zadatek na dom... A dużo zarobisz?

— Może pięćset, może tysiąc, a może dwa! jak Bóg da—odparł Suchy, a usta, gdy to mówił, drżały mu jak w febrze, na myśl, że interes ubił i że może dużo zarobić, lub też wszystko stracić.

Na szczęście dla niego, sprzedaż doszła do skutku, dzięki czemu Suchy zarobił w ciągu trzech dni 1,000 rubli.

Oto jak się sprawa ta przedstawiała w oświetleniu Icka.

Liebkind i całe audytoryum, wysłuchawszy jego obrony, zachowali przez chwilę głębokie milczenie; znać wszakże było, że większość była po stronie Suchego, podziwiając jego spryt i obrotność.

Liebkind tymczasem zwrócił się do strony przeciwnej z zapytaniem:

— Czy tak było?

— Tak—usłyszał spokojną odpowiedź po-  
szkodowanego.

— Więc czego chcesz teraz?

— Chcę, żeby on podzielił się ze mną na  
równo tym tysiącem—rzekł tenże.

Liebkind czas jakiś myślał i rozważał, aż  
wreszcie ozwał się tonem stanowczym:

— Gdyby Icek Suchy pośredniczył w sprze-  
daży z ręki do ręki, to musiałby się z tobą po-  
dzielić faktornem; on jednak nie pośredniczył  
w kupnie, *on sam kupił* z wielkiem ryzykiem,  
bo jeśliby nie udało mu się sprzedać w ciągu  
trzech dni, toby cały swój kapitał stracił,  
a wówczas ani ty, ani ktokolwiek inny nawet  
10-ciu rubliby mu nie zwrócił. A więc skoro  
to jego własne ryzyko, to i zysk ze sprzedaży  
do niego całkowicie należy. Takie jest moje  
zdanie—zadecydował Liebkind z powagą.

Szmerem ogólnego uznania przyjęto ten  
sąd mądrego i wielkiego bogacza, co więcej—  
zaczęli się wszyscy wyśmiewać z naiwności  
przeciwnika Icka Suchego, mówiąc głośno:

— Taki stary faktor, a jeszcze taki głupi!

Ickowi natomiast zrobiono życzliwą owa-  
cęgę, nadając mu zarazem przydomek „ryzykan-  
ta,” który mu od tego czasu pozostał na dłu-  
gie lata.

Liebkind zaś, zwracając się do swego to-  
warzysza, Jakóba Sieradza, powiedział:

— Ten Suchy to on będzie niedługo tłusty!...

Sieradz na ten dowcip swego pryncypała uśmiechnął się dobrodusznie, lecz od siebie dodał uwagę:

— Oni wszyscy wielkie ryzykanty, oni dużo tracą.

— Ale też i dużo zarabiają; zresztą oni muszą być ryzykanty, bo nie mają pieniędzy; nu, a jak coś zarobią, to się ustatkują i wezmą się do interesów pewnych... No, a ty, Jakób, idź i rób nasz interes—dodał, podając mu dwa palce swej ręki na pożegnanie.

---

## II.

Do wyprawy, którą podjął, Jakób Sieradz był od dawna przygotowany. Nie chciał jej wszakże brać na własną rękę, gdyż wolał występować w roli skromnego a bezinteresownego pośrednika, by tem pewniejsze i większe osiągnąć zyski.

Tymczasem chodziło o namówienie klienta do kupna jednego z placów Liebkinda.

Co wypadnie czynić dalej i jakie korzyści uda mu się wyciągnąć z tego interesu dla siebie i dla swego mocodawcy, o tem Sieradz

nie myślał na razie, jako o rzeczy zbyt odległej i niepewnej.

Teraz pragnął tylko doprowadzić do skutku sprzedaż placu po cenie możliwie najwyższej, gdyż od sumy sprzedażnej zależną była wysokość faktornego, jakie mu Liebkind zapewnił.

Upatrzonym klientem pana Jakóba był pan Andrzej Łuba-Zahorski, szlachcic z dziada pradziada, potomek w prostej linii tych Zahorskich, którzy od wieków rozsiedli się w bogatej ziemi Sandomierskiej i którzy w rzędzie swych antenatów mieli wojewodów, kasztelanów i innych wysokich dygnitarzy dawnej Rzeczypospolitej.

Obecnie wszakże pan Andrzej Zahorski na wsi już nie mieszkał, wyzbywszy się niedawno majątku ojczystego, na którym w czasach przesilenia ekonomicznego gospodarować było mu za trudno.

Pozostało mu z wielkiej niegdyś fortuny zaledwie kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Nie było to wiele, lecz w każdym razie wystarczyłoby mogło na kupno dobrze zagospodarowanego folwarku i spokojną, bez wielkiej troski o przyszłość, egzystencję.

Zahorski wszakże miał już dosyć wsi i jej przyjemności, a oprócz tego ciężkoby mu było wyzbyć się tak od razu wielkopańskich tradycji i zejść do skromnej roli zwykłego, jednofolwarcznego szlagona.

Postanowił więc osiąść na stałe w Warszawie, w nadziei, że tu, w tłumnym rozgardyaszu miejskim, znajdzie wytchnienie i zapomnienie po trudach i kłopotach życia.

Tak myślał, zrezygnowawszy raz na zawsze z wszelkich pretensyi wielkopańskich, w których wzrósł od dzieciństwa. Powziąwszy to postanowienie, odetchnął i zaczął krzątać się około urządzenia życia w dostępnych i możliwie znośnych dla siebie i dla swej rodziny warunkach.

Innego wszakże zdania była pani Zahorska, która, przez wzgląd na trzy córki i dorosłego już syna, pragnęła wejść w szersze stosunki światowe w tych sferach, do których z pochodzenia i tradycyi rodowych należeli.

Na to wszakże Zahorski zgodzić się nie chciał, mówiąc:

— Nic z tego, mościa pani żono! Jesteśmy dziś chudopacholki, a więc według stawu grobla!...

— Nie myślisz chyba o dzieciach, mój mężu?

— Owszem, myślę, ale pragnąłbym, żeby i one o sobie chciały pomyśleć, a szczególnie nasz syn, który jest już w tym wieku, że mógłby się czemś zająć, a nie zbijać bąki na bruku.

— O, co do naszego Władzia, to możesz być spokojny, mój Andrzej, gdyż wierzę mocno, że stanie się on największą naszą pocie-

chę i podporą; ręczę za niego — powiedziała pani Zahorska z mocą.

— Daj Boże, aby proroctwa twe ziściły się jak najrychlej! Tego i ja pragnę. Przecież to jedyny nasz syn. Córki bowiem pójdą w świat za swymi mężami...

— Nie tak to łatwo dziś o dobrą partyę! — westchnęła matka.

— O tem niema co teraz mówić. Ala i Jazdia to dzieci jeszcze, a Ludka zaczęła dopiero rok 19-ty.

— Ale czas szybko leci...

— No, no, uspokój się, moja imość; jakoś to będzie. Bóg nas nie opuści, byleśmy sami od Niego się nie odstrychnęli — powiedział Zahorski i westchnął głęboko.

Tymczasem wszakże było im bardzo ciężko: kapitał, jakim Zahorski rozporządzał, umieszczony był w listach zastawnych, które przynosiły dochód bardzo niewielki, nieprzenoszący 2,500 rubli.

Na szczęście, wkrótce zdarzyło mu się korzystne kupno ładnej kamienicy w południowej stronie miasta; zażądano za nią akurat tyle, ile gotówki posiadał, za wyłączeniem pożyczki hipotecznej Towarzystwa Miejskiego, której płacić nie potrzebował.

Zahorski uznał ten zbieg okoliczności za zrządzenie Boże — i dlatego, prawie bez targu,



dom nabył i niebawem w nim zamieszkał, zajmując lokal uprzedniego właściciela.

Dopiero teraz odetchnął pełną piersią; był już na swoim gruncie, w swojej własnej kamienicy i nie potrzebował się tulać po cudzych kątach.

Radość ta udzieliła się i całej rodzinie, a szczególnie pani Zahorskiej, w której pojęciu posiadanie dość okazałej kamienicy równoważnym było, do pewnego stopnia, z posiadaniem majątku ziemskiego.

„Mamy przecież już pewną pozycję!“ — rozumowała.

Mąż jej zato mniej przywiązywał wagi do „pozycji“, a znacznie więcej do zwiększonego dochodu, który z nabyciem kamienicy podwoił się.

— Z tem już żyć można, dostatnio nawet!—mówił do siebie, skrupulatnie obliczając dochody z lokali i podatki oraz spłatę pożyczki Towarzystwa.

Obliczenia te wszakże w pierwszym zaraz roku zawiodły—nie co się tyczyło dochodów, lecz wydatków na dom, a zwłaszcza na zbytkowne wydatki syna.

Dowiedział się o nich niespodzianie, gdy zgłosił się do niego jakiś żyd z wekslem na kilkaset rubli, których syn nie miał czem zapłacić.



Stary szlachcic weksel wykupił, lecz zgryzł się tem tak bardzo, że rozchorował się.

Zarówno ujawnienie lekkomyślności pana Władysława, jak i wynikła z tego powodu choroba ojca, wywołały ogólne przygnębienie w rodzinie państwa Zahorskich. Odczuł je również i główny jego sprawca, szczególnie, gdy dostrzegł w oczach matki łzy i niemy wyrzut.

Władysław był synem dobrym, a serce miał najlepsze—to też w porywie żalu za zmar twienie, które wyrządził, dał solenne przyrzeczenie, że odtąd nie wystawi już żadnego wekslu, ani też żadnych długów zaciągać nie będzie. Zapewnił nadto, że zamierza wziąć się do pracy, aby nie być ciężarem dla rodziców.

Piękne te postanowienia nie tylko że ich przejednały ostatecznie, lecz i rozczuliły matkę na myśl, że jej ukochany jedynak, piękny i wy tworny, jakby umyślnie stworzony do tryum fów towarzyskich w wielkim świecie, będzie zmuszony pracować jak pierwszy lepszy par weniusz.

Stary Zahorski, natomiast, krytyczniej nieco przyjął oświadczenie syna, gdyż zapytał:

— Cóż czynić zamysłasz? Do jakiego za jęcia masz upodobanie?

— Nie wiem jeszcze, mój ojcze; dopiero rozejrzę się w stosunkach, pogadam z tym i owym.

— A no, próbować nie zawadzi, chociaż

dziś nie tak jest łatwo... trzeba mieć zawodowe wykształcenie... chyba, żebyś chciał pojechać na wieś... skończyłeś przecie wyższą szkołę rolniczą...

— Na wieś?! — zawołała z przestracchem i oburzeniem pani Zahorska—przecież własnego majątku nie mamy już, a nie zechcesz chyba, aby nasz syn miał iść do kogo w służbę...

— Mógłby wziąć dzierżawę... gotówbym mu pomódz...

— Nie, nie, nie!—zawołała matka. — Wieś nas zrujnowała... za ciężkie dziś czasy do gospodarstwa na roli; zresztą nie dla naszego Władzia to ekonomiczne zajęcie.

— Przecież ja całe życie na niem spędziłem—zauważył Zahorski.

— Tyś odziedziczył piękny majątek, mój mężu—odparła żona z lekkim wyrzutem w głosie;—dla Władzia zaś można w ostatecznym razie znaleźć jaką dobrą posadę.

● — Nie tak to łatwo! na dobre posady czekają tysiące...

— Można użyć protekcji, stosunków, pokrewieństwa; samo nazwisko Zahorskiego powinno nam to ułatwić.

— Ha... pomyślmy o tem, spróbować można—powiedział Zahorski po wyjściu syna.

— Zwlekać z tem wszakże nie należy, mój mężu; nasz Władzio jest już w tym wieku, że bez własnych stałych dochodów obejść się

mu trudno; najlepszym tego dowodem, że począł zaciągać długi—zauważyła pani Zahorska.

— A cóż mu brakuje?—obruszył się ojciec—życie dostatnie ma w domu, na ubranie mu daję, a nadto po kilkanaście rubli wyciągnie co parę tygodni na teatr i inne przyjemności.

— Cóż to znaczy w jego położeniu! kilkanaście lub kilkadziesiąt nawet rubli wystarczyć nie mogą. Władzio pozawiazywał liczne stosunki towarzyskie, bywa w najlepszych domach, a to kosztuje...

— To niech je rozwiąże, niech przestanie bywać!... Ja nie mam na to.

Pani Zahorska uśmiechnęła się z politowaniem.

— Zapominasz, mój mężu, że tu idzie o całą jego przyszłość... W tych tylko bowiem warunkach może się poznać i uczynić stosowny wybór, słowem ożenić się dobrze... Jest przystojny, piękny niemal i podobać się łatwo może. Nie tylko zresztą o niego samego tu chodzi, lecz i o przyszłość naszych córek. Gdy Władzio dobrze się ożeni, może wskrzesić dawną świetność fortuny i ułatwić tem samem znalezienie mężów dla siostr. Z tem liczyć się trzeba i pamiętać, że on pozostał nam jedyną podporą i nadzieją.

Zahorski wysłuchał to wszystko cierpliwie, w końcu westchnął głęboko i zapytał:

— Więc cóż ja mam tu czynić?

— Nie tamować swobody ruchów chłopca przez szkodliwe tym razem względy na oszczędność i wyznaczyć mu stałą miesięczną zapomogę aż do czasu, póki nie wynajdziemy mu jakiej posady. Sądzę, że tymczasem powinno mu wystarczyć 50 rubli miesięcznie na drobne wydatki poza domem.

— Nie mam—odparł krótko Zahorski.

— Mieć musisz. Czyż chciałbyś, żeby Władzio kompromitował siebie i nas, udając się do lichwiarzy?

— Zapewnił nas przecie, że więcej już tego nie uczyni. Czyżby miał kłamać?

— Bynajmniej, mówił szczerze... znam go przecież dobrze. Przyrzekł, bo zabolalo go serce na widok naszego zmartwienia; lecz gdy przyciśnie go mocno potrzeba, zapomni o przyrzeczeniu... Młodość łatwo zapomina... Przypomnij swoje lata młode... A ty przecież byłeś już żonaty—dodała pani Zahorska z odcieniem gorzkiego wyrzutu w głosie.

Na te słowa Zahorski spuścił wzrok i nic nie odpowiedział.

Czas jakiś panowało przykre milczenie.

— Więc zgadzasz się, mój mężu?

— Róbcie sobie co chcecie!—wyrzekł wreszcie, machnąwszy ręką.

Tu pani Zahorska uważała za potrzebne osłodzić mężowi przykrą dlań widocznie rezy-

gnacyę i dlatego pocałowawszy go w czoło, powiedziała:

— Nie co my, lecz co ty zechcesz, mój mężu; jesteś przecie ojcem i panem w domu; zresztą zapewniam cię, że nie spostrzeżesz nawet uszczerbku, wypłacając Władziowi 50 lub 60 rubli miesięcznie, gdyż ten wydatek postaram się powetować oszczędnością w wydatkach domowych...

— Niech i tak będzie—zgodził się wreszcie Zahorski.

O rezultacie tej konferencyi pani Zahorska pośpieszyła zawiadomić syna i pocieszyć go.

— Biedny! od paru tygodni nie wychodzi prawie z domu i martwi się; jeszcze mi zmierznieje!—myślała i z radością ścisnęła w rękę banknoty, przeznaczone dla jedynaka na rozrywki towarzyskie.

Od tego czasu upłynęło kilka miesięcy i nic nie zakłóciło harmonii domowej w rodzinie państwa Zahorskich.

Władysław był zawsze w dobrym humorze, gdyż bawił się wybornie. Bywał w pierwszych domach arystokratycznych, prowadził tańce na balach, urządzał pikniki i majówki, słowem był poszukiwany i rozrywany.

Echa tych tryumfów towarzyskich wdzierały się do domu jużto za pośrednictwem piemek brukowych, na szpaltach których nazwisko pana Władysława Łuby-Zahorskiego stało

się bardzo popularnem, jużto dzięki wizytom panów, rewizytujących Władysława.

Nie było też prawie dnia, żeby jakiś błyszczący powóz, zaprzężony w dzielne cuganty, nie zajechał przed bramę domu Zahorskich, budząc ciekawość stróża i gawiedzi podwórzowej.

Pani Zahorska promieniała zadowoleniem: między panami bowiem było wielu takich, którzy nosili arystokratyczne nazwiska, lub też zajmowali wydatną pozycję w plutokracji.

Byli między nimi ludzie starsi, ojcowie rodzin i wytworna młodzież, wśród której pani Zahorska wypatrywała już przyszłych mężów dla córek.

Naturalnie, że wśród tych nieustannych rozrywek towarzyskich: balów, rautów, pikników, teatrów i wizyt, oraz śniadanków i kolacyjek w gronie młodzieży, nie było czasu myśleć o znalezieniu posady. Zresztą Władysław nawet o niej zapomniał; gdy zaś wypadkowo przyszło mu to na myśl, zdziwił się, że mógł coś podobnego planować. W obecnych warunkach nie miałby po prostu czasu na jakiegokolwiek systematyczne zajęcie. Prócz tego jednak prędko się zorientował, że w tych sferach, w jakich się obracał, praca z obowiązku, praca dla chleba, była traktowana z pogardliwym lekceważeniem. Nie wszyscy wprawdzie, z którymi bliżej się zapoznał, wiedli życie zupełnie próżniacze; owszem, byli między nimi i ludzie rze-

komo czynni, zajmujący kierownicze stanowiska w wielkich przedsiębiorstwach przemysłowych, lub też noszący honorowe tytuły prezesów i dyrektorów w instytucjach, będących w rozporządzeniu ich ojców.

Wydatne te stanowiska wszakże były to po prostu synekury, dobrze płatne, niekrepujące swobody ruchów tych słomianych dygnitarzy. Tak było z przedstawicielami wielkiego przemysłu i wielkich firm finansowych. Co zaś do panów z arystokracji, starszych i młodych, to ci wszyscy bez wyjątku zadawali się wygodną pozycją ludzi bogatych i dobrze urodzonych, mających za główne zadanie i obowiązek podtrzymywać zewnętrzny splendor społeczeństwa przez roztaczanie przepychu i zbytku przed tłumem gawiedzi swojej i obcej.

Nic więc dziwnego, że życie pośród tych zbytków, wśród bezmyślności kołowrotu towarzyskiego, w jakim Władysław się obracał, wciągnęło go mimowoli w wydatki, przekraczające znacznie bonifikację rodzicielską. Dotąd wprowadzie wekslowych długów się ustrzegł, lecz pograżył się w nieopłaconych rachunkach dostawców towarzyskiego szyku i elegancyi, jako to: szewców, krawców, właścicieli sklepów bielizny, galanteryi i t. p.

Wyniosło to razem kilkaset rubli, które trzeba było, bądź-co-bądź, uregulować. Niepokoiło to nieco młodzieńca; lecz ze względu, że

dostawcy byli dotąd uprzejmi i nie upominali się, prędko się ukołysała ta chwilowa jego troska.

Opamiętał się dopiero, gdy wciągnięty będąc do gry w karty, po obfitej przedtem libacyi, przegrał, nie spostrzegłszy się nawet, kilkaset rubli na słowo.

Przeraził się tem nie na żarty, wstyd mu było swej lekkomyślności tak dalece, że nic o niej nie wspominał rodzicom, postanowiwszy z własnych oszczędności przegraną spłacić. Tymczasem zaś należało pożyczyć.

Pojechał więc do lichwiarza, który wygodził mu za pierwszym razem. Ten wszakże pieniędzy nie dał, tłumacząc się, że umieścił je w budowie domu.

— Dam znaczny procent—nalegał Władysław.

— Trudno, proszę pana! ja sam pożyczam i płacę duże procenty; teraz czasy ciężkie.

— Więc może mi pan wskażesz kogo innego! Za pośrednictwo zapłacę.

— Hm! mam ja jednego kupca, on wynajmuje pieniądze, on może i da, lecz będzie żądać poręczenia ojca pańskiego.

— O, nie! ojciec mój nie może o tem wiedzieć; to warunek — zaprotestował Władysław, zmieszawszy się mocno;—ja sam zapłacę.

— Ja wierzę... lecz on taki twardy żyd—odparł lichwiarz.



— Spróbuj pan jednakże, dam za pośrednictwo 20 rubli.

— A no, ja będę chciał; niech pan pofatyguje się za dwa dni, to będę już wiedzieć.

— Tak długo czekać nie mogę; potrzebuję dziś, koniecznie dziś!—zawołał młody Zahorski z przerażeniem w głosie, na myśl, że mógłby nie dostać dziś jeszcze potrzebnych mu pieniędzy. Wieczorem ma być w klubie i zapłacić musi.

— No, jeśli taki gwałt, to niech pan poczeka tu u mnie, a ja pojedę; uprzedzam jednak, że taki pośpiech będzie dużo kosztować. Ja go znam: on, jak ma dać zaraz pieniądze, to żąda duży, dwa razy większy procent... rozbójnik!

Całe dwie godziny w zaduchu żydowskiego mieszkania, w męczącym nad wyraz niepokoju, czekał Władysław, czyniąc sam przed sobą najsolenniejsze postanowienia, że nigdy już nie narazi się na taki niepokój, wstyd i upokorzenie.

Przez te dwie godziny rozciągnięty był nad nim formalny nadzór: do pokoju, gdzie siedział, wsuwała się co chwila przez drzwi niedomknięte jakaś głowa rozczochrana jednego z licznych członków rodziny ex-lichwiarza; co chwila jakiś bachor w brudnym, zatłuszczonem ubraniu wchodził do pokoju, i stanąwszy przed nim, przyglądał mu się ciekawie.

Te latorośle, zmieniające się co kilka minut, wysyłane były przez matkę umyślnie, aby dać baczenie na „goja,” który, jako bardzo potrzebujący pieniędzy, nie budził zaufania. Zrozumieć to musiał Władysław Zahorski z chytrych spojrzeń starszych dzieci, źle maskujących przyczyny swej obecności w tym pokoju, służącym za chwilową dla niego poczekalnię—gdyż krew w nim się burzyła. Tymczasem gospodarz, jego obecny protektor, siedział najspokojniej w domu sąsiednim, w mieszkaniu Jakóba Sieradza, i popijał społem z nim piwo zwyczajne, którem go ugoszczono.

Sprawa pożyczki była już od godziny umówioną; zięć Sieradza, młody, dwudziestoletni Szaja Lukrec, miał wystąpić w roli pożyczającego kapitalisty; oznaczono już nawet procent 5 od sta na miesiąc, z trzyniesięcznym terminem weksłu.

Pieniądze dał sam Jakób Sieradz, który wszakże pozostać miał za kulisami interesu.

Parę razy ex-lichwiarz-pośrednik wstawał od stołu, chcąc pośpieszyć z dobrą nowiną do czekającego Władysława, mówiąc:

— On czeka..

— Niech czeka!—odpowiadał Sieradz, dolewając swemu gościowi piwa do szklanki.

Przyobiecane wszakże przez Władysława 20 rubli za pośrednictwo niepokoiły gościa, pragnąłby je prędzej mieć w swym pugilaresie,

dlatego też po kilku minutach znów zrywał się, mówiąc:

— On jest bardzo niecierpliwy, on pójść może.

— Ja wiem, że on jest „jasny pan“ i hardy... no, to on potrzebuje sobie zmięknąć; a że on poczeka, to ja ręczę.

I pili dalej, zagryzając piwo obwarzaneczkami i smakując z zadowoleniem.

Nareszcie, gdy upłynęło dwie godziny, Sieradz odezwał się:

— No, teraz idź, on już dosyć zmiękł.

Zziajany, zaaferowany, udając zmęczenie, powrócił protektor Władysława do domu, prowadząc za sobą zięcia Sieradza, i od drzwi już wołał:

— Aj, co ja miał! co ja musiał jeździć po mieście, żeby panu wygodzić!... No, ale jest! on chce dać pieniądze—dodał, wskazując na Szaję Lukreca.

Tranzakcja prędko doszła do skutku: za pięćset rubli, wypożyczonych na trzy miesiące, Szaja stracił z góry 75 rubli procentu.

Pośrednikowi Władysław dał 20 rubli i 2 ruble „za dorożki.“ Pozostało mu 403 ruble gotówki.

Zgnębiony i upokorzony nad wyraz, że on, Władysław Łuba-Zahorski, potomek wojewodów i kasztelanów, stał się przez własną lekkomyślność ofiarą najpotworniejszego wyzysku

dwóch brudasów semickich,—przysięgał w duchu, że już nigdy, nigdy więcej na podobne upokorzenie nie narazi się.

Życie i jego twarde wymagania stanęły mu raz pierwszy żywo przed oczami, mówiąc, że po tej drodze, na której się znalazł, może wejść w najwstrętniejsze błoto życiowe,—że powinien, że musi się opamiętać, jeśli nie ze względu na siebie, to na rodziców i siostry, których krzywdził, obdzierając lekkomyślnie ze skromnych resztek wielkiej niegdyś fortuny. Nie łudził się bowiem, że tego rodzaju wybryki, jakich się dopuszczał, będzie w możności sam naprawić; rozumiał doskonale, że padną one całym ciężarem na ojca, który długi jego płacić będzie prędzej czy później.

Wiedział o tem również i Jakób Sieradz, gdyż dając pieniądze, z góry był przekonany, że Władysław weksłu na termin nie zapłaci. W przeciwnym razie pieniędzyby nie dał, gdyż tego rodzaju interesami od dawna już przestał się zajmować. Teraz zaś chodziło mu o co innego—o poważniejsze, dalej sięgające zamiary i cele.

I oto teraz, po upływie trzech przeszło miesięcy od daty wystawienia weksłu, Jakób Sieradz szedł z weksłem tym nie do Władysława, lecz do jego ojca.

Wprawdzie słuszność przyznać każe, że Władysław w terminie płacenia weksłu zgłosił

się do swego wierzyciela z propozycją prolon-  
gaty długu, decydując się opłacić szalone pro-  
centy, lecz Szaja Lukrec ani słyszeć o tem nie  
chciał, mówiąc:

— Nie mogę; ja sam pieniędzy na gwałt  
potrzebuję; ja mam protest, licytację; ja nie  
mogę zrobić się bankrutem. Ja pański weksel  
muszę sprzedać dziś, jutro najpóźniej.

Władysław, zrozpaczony, wypadł na ulicę,  
nie wiedząc, co począć. Ojcu przyznać się nie  
śmiał; dał mu przecież słowo, że długów za-  
ciągać nie będzie; zwrócić się do znajomych  
o pożyczkę—równałoby się to przyznaniu się  
do swego niedostatku i zerwaniu stosunków.

W tych sferach bowiem, w których się  
obracał, rzucano wprawdzie pieniędzmi lekko-  
myślnie, tysiące rubli przegrywano w karty  
z uśmiechem obojętności na ustach, wydawano  
na kolacyjki z szampanem i baletnicami,—lecz  
okazanoby najwyższe zdumienie, gdyby ktoś ze  
znajomych ośmielił się przyznać do braku pie-  
niędzy, a cóż dopiero prosić o pożyczkę. Od  
tego przecież są żydzi!...

Można było mieć długów bez miary i to  
nie kompromitowało nikogo,—lecz pieniądze trze-  
ba było mieć zawsze, jeśli się chciało należeć  
do tego świata zabawy i zbytków szalonych.

To trudno! taki już od dawna porządek na  
świecie.

Rozumiał to doskonale młody Zahorski i dla-

tego wyteżył całą energię, żeby dostać pieniędzy od lichwiarzy—lecz bezskutecznie.

Przygnębiony nad wyraz i zrozpaczony, zdecydował wreszcie upokorzyć się, i przyznawszy się ojcu, prosić go o ratunek...

Z wykonaniem wszakże tego postanowienia zwlekał z dnia na dzień, łudząc się, że, być może, stanie się coś takiego, co usunie konieczność tego kroku. Swą naiwność w tym względzie posuwał tak daleko, że przypuszczał, iż wierzyciel tylko go straszyl i że weksel zatrzymał u siebie, postanowiwszy czekać dotąd, aż mu on sam przyniesie pieniądze.

Tymczasem podczas nieobecności Władysława w domu zjawił się w mieszkaniu Zahorskich pan Jakób Sieradz.

— A co mi powiesz, łaskawco? — zapytał Zahorski tonem, jakim zwykł był przemawiać do swego ekonoma.

Zresztą do tego tonu czuł się poniekąd uprawnionym, gdyż Sieradza znał od bardzo dawna; był on synem dawnego jego pachciarza i wychowywał się przez lat wiele na wsi, w pobliżu starego dworu Zahorskich. Utrzymał się między nimi stosunek pewnej zależności syna pachciarza do swego dawnego dziedzica.

Sieradz, pomimo, że był już zamożnym kupcem miejskim i prowadził rozległe interesa, zależność tę zdawał się uznawać, co Zahorskiemu pochlebialo i było do pewnego stopnia przy-

jemnem. Nigdy też Sieradz, mówiąc z nim, nie ominął sposobności tytułowania go „wielmożnym dziedzicem.“ Oto więc i teraz, odpowiadając na pytanie Zahorskiego, odparł:

— Kłaniam się pięknie wielmożnemu dziedzicowi.

— Witam, witam! Z czemże przychodzisz, panie Sieradz?

Ten uczynił minę tajemniczą i ostrożnie obejrzał się wkoło siebie, jakby obawiając się świadków tego, co miał powiedzieć.

— Możesz mówić otwarcie, niema tu nikogo—uspokoił go Zahorski.—Więc co za interes?—dodał tonem już surowszym.

— Z przeproszeniem wielmożnego dziedzica... jest to bagatelny lecz delikatny interes... Syn wielmożnego dziedzica pożyczył 500 rubli.

— Od kogo?... od ciebie?... A cóż to mnie może obchodzić?... Jest już pełnoletni i wolno mu robić co mu się podoba—odparł na pozór obojętnie, hamując jednak gniew, jakim chciał z razu wybuchnąć.

Pan Jakób przybrał postawę człowieka obrażonego w swej godności i po małej chwili odparł poważnie i spokojnie:

— Wielmożny dziedzicu... nie od dziś mnie pan dziedzic zna, bo przecie jeszcze stary ojciec mój nazywał go swoim dobrodziejem. Takie rzeczy my, żydzi, pamiętamy...

— No, no! — przerwał mu Zahorski, nieco udobruchany.

— Uchowaj też Boże, żebym ja, pamiętając o tem, miał bez wiedzy wielmożnego ojca dawać pieniądze synowi... Ja wiem, bo sam mam dorosłe dzieci, że młodzi pieniędzy cenić nie umieją... Gdyby jednak pan Władysław przyszedł do mnie i gdybym ja mu wyświadczył grzeczność, to wielmożny dziedzic o temby wcale nie wiedział... Lecz on poszedł do kogo innego, poszedł do takiego łapserdaka, jakich między żydkami wiele, co, tfy! z lichwy żyją... Dowiedziałem się o tem wypadkowo, gdy ten lichwiarz chciał weksel oddać do sądu... Więc pomyślałem: jaki to byłby wstyd, żeby nazwisko jaśnie Zahorskiego miało być w sądzie, a potem na wyroku u komornika!... I zabolalo mi serce tak mocno, że ja ten weksel wykupiłem... Cóż miałem robić?

Sieradz, gdy to mówił, był tak przejęty, tak mu głos wibrował od wzruszenia, że pan Zahorski ani na chwilę nie wątpił, że to, co mówił, było prawdziwe i szczere. Mimo to, udał, że nic go nie obchodzą szlachetne pobudki Sieradza, któremi chciał go rozbroić, dlatego też odparł tonem surowym:

— Ha, to już twoja rzecz, mój łaskawco; ja długów mego syna płacić nie myślę; on zresztą nie ma żadnego majątku, na któryby mógł zaciągać pożyczki.



— Ja to wiem bardzo... ja też nie żądam, żeby wielmożny dziedzic zapłacił... broń Boże!... Tylko że moje sumienie kazało mi to zrobić, to ja i zrobiłem. A chociaż ja mam weksel pana Władysława tu—dodał, dotykając ręką pugilaresu, który wyjął z kieszeni,—ja go do sądu nie dam, choćbym miał stracić... Na taką rzecz nawet ja mogę stracić...—dodał z godnością, prostując się cały.

Zahorski był zdumiony—ten żyd mu zaimponował; to też uczynił w tej samej chwili postanowienie, że nieszczęsny weksel zapłaci; lecz głośno tego nie powiedział, pragnąc czas jakiś utrzymać się w roli surowego i twardego ojca, dlatego też rzekł:

— Stracić, to pan Sieradz nie stracisz; syn mój, prędzej czy później, dług zapłaci.

— Jak zapłaci, to wezmę; ja wiem, że moje nie przepadnie u żadnego z panów Zahorskich—powiedział pan Jakób z mocnem przekonaniem, chowając pugilares do kieszeni.

— No, no!.. bądź spokojny, panie Sieradz; tym razem to ja zapłacę i to więcej ze względu na ciebie, a z synem to już ja sam porachuję się—dodał z odcieniem gniewu w głosie;—mujesz jednak poczekać trochę, gdyż gotówki w domu nie mam; niedługo jednak wpłynę kwartalne komorne, to weksel wykupię.

Sieradz skłonił się nisko i rzekł:

— Jak wielmożny dziedzic każe. Mnie nie pilno, poczekać mogę...

— No, tem lepiej, a za zwłokę procent otrzymasz...

— To głupstwo, proszę pana, o to nie stoję, nie chciałem tylko dopuścić do kompromitacyi jasnego nazwiska wielmożnego dziedzica, bo ja mam dla pana złoty interes—dodał tajemniczo.

— A to jaki?

— Ja tu upatrzyłem jeden plac pod budowę domu, w środku miasta, niedaleko stąd, front od dwóch ulic; o ten plac to już od roku dopytują się różne żydki i tutejsi kapitaliści chrześcijanie, lecz właściciel placu ani słuchać nie chciał, bo on sam chciał budować; lecz teraz wypadło mu co innego: on wziął na siebie wielki interes, on kupił place pod rogatkami i całą nową ulicę tam budować będzie. To wielki geszeftman, on się nazywa Liebkind. Wielmożny dziedzic musiał o nim słyszeć?

— Słyszałem coś...

— Nu, to jemu potrzeba dużo pieniędzy i on gotów jest sprzedać parę placów w mieście.

— Ja nie kupię—odparł krótko Zahorski.

— Dlaczego? — zapytał Sieradz z najwyższym zdumieniem.

— Dla bardzo prostej przyczyny: nie mam pieniędzy.

Sieradz rozśmiał się głośno.

— Pieniędzy?!... o to tylko chodzi!... No, to ja powiem, że jak wielmożny dziedzic ze chce mieć 20, 30, 50, a nawet 100 tysięcy na budowę, to będzie miał; ja, Jakób Sieradz, ręczę..

— Ale ja się na takich interesach nie znam, nie potrzebuje zresztą; to, co mam, wystarczy mi, mój łaskawco — odparł Zahorski z pewną nieufnością w głosie, podejrzewając w tej propozycji jakiś podstęp.

— Wielmożny dziedzic nie wierzy mi— podchwycił myśl jego Sieradz,—wielmożny dziedzic myśli sobie: on chce sprzedać plac i chce mi go wepchnąć, żeby zarobić na pośrednictwie. Ja to wiem, bo czyż który z żydów ze chce coś robić bez zarobku dla siebie? Tak wszyscy myślą, tak mówią... i ja się nie dziwię, boć przecie to prawda, że żydki z zarobku żyć muszą...

Tu przerwał mu Zahorski, mówiąc:

— Dajmy pokój temu, co ja myślę... Ze-chciej mi lepiej powiedzieć, dlaczego, kiedy to taki złoty interes, nie weźmiesz sam, mój łaskawco, lub kto z waszych?

— Ja wiedziałem, że wielmożny dziedzic o to zapyta—uśmiechnął się Sieradz,—ja wiedziałem; lecz w tem właśnie jest cała delikacność interesu, którego nie może zrobić ktoś z naszych bez dużych pieniędzy... Wielmożne-

mu dziedzicowi wiadomo, że teraz jest wielki gwałt budowlany... tak jak na giełdzie: ludzie kupują place i domy, i w kilka dni zarabiają dziesiątki tysięcy rubli na tym handlu; ci, co mieli trochę majątku, mają dziś milion... Taki Szwarberg, Siebenhaus, Liebkind, Kuropatwa i inni, to wielkie dziś bogacze... ale przy nich biedniejszy człowiek pożywić się nie może: oni każdy brylantowy interes wezmą dla siebie cały i nie dadzą nic... Taki zaś, co mało ma pieniędzy, sam interesu wziąć nie może, bo nie dadzą mu kredytu ani u swoich, ani w bankach, ani w Towarzystwie Kredytowem. Żydkom nie chcą wierzyć, bo, coprawda, żydki budują liche domy z piasku i gruzu, tak, że nawet na gotowy już dom dawać nie chcą. Co innego zaś, całkiem inny byłby interes, gdyby budował kamienicę wielmożny dziedzic, osoba godna, z wielkiej arystokracji, prawdziwy jasnie pan — tu Sieradz cmoknął z rozkoszą;— wtedy nie tylko że nasze żydki dadzą kredyt, lecz i wszystkie banki, i towarzystwa i osoby prywatne z chrześcijan... każdy da, bo będzie pewny, że pieniądz nie przepadnie, gdyż kamienica będzie „fein“ zbudowana, nie tandetna, i że ją każdy kupi, płacąc 30—50 tysięcy rubli więcej. Ja to wiem i wszyscy to wiedzą, i dlatego ja przyszedłem do wielmożnego dziedzica.

— Ależ powiedziałem już, że ja na tem się nie znam, nie potrzebuję zresztą...

— Z przeproszeniem wielmożnego dziedzica, co to znaczy: „nie potrzebuję?” komuż to pieniądz niepotrzebny? Wszakże ja lepiej wiem, niż kto inny, że wielmożny dziedzic, i ojciec i dziadek wielmożnego dziedzica mieli fortunę magnacką, kilkanaście folwarków, a dziś co... jedna kamienica... co to znaczy dla jasnych państwa? Aj, aj! jak ja to pomyślę, to mi samemu serce boli...

— To trudno! co było dawniej, to przeszło; inne czasy... trzeba się umieć z tem pogodzić—powiedział Zahorski, westchnąwszy głęboko nad minioną przeszłością.

— Przeszło?! wielka rzecz, że przeszło!... Onó może wrócić, jak wielmożny dziedzic zechce.

— Nie tak to łatwo—zauważył Zahorski w zamyśleniu, zachwiany już nieco w swem niedowierzaniu w te piękne perspektywy przyszłości, jakie przed nim roztaczał Sieradz.

— Dlaczego wielmożny dziedzic ma jeździć brudną dorożką, kiedy może mieć swój własny, błyszczący powóz na gumach?... Dlaczego syn wielmożnego dziedzica nie ma ożenić się z jaką bogatą księżną, albo z jeszcze bogatszą bankierówną?—mówił dalej pan Jakób, przejmując się sam rolą kusiciela.—Co to „nie łatwo?” Jak się chce, to zawsze może być łatwo; ja to mówię wielmożnemu dziedzicowi...

— Hm, hm!... Wszystko to być może, lecz

ja na sprawach budowlanych nie znam się, nie budowałem dotąd ani jednego domu.

— Więc o to tylko chodzi?... A kto budował te piękne murowane stodoły i obory w Zalesiu, jeśli nie wielmożny dziedzic?

— Tamto co innego; zresztą budował przedsiębiorca z miasteczka, ja tylko dałem materyał i ludzi do pomocy.

— Nu!... to i tu zupełnie to samo...

— Trzeba się znać...

— Aj, aj!... więc te żydki, łapserdaki, co dawali pieniądze na lichwę, co fantowali stare spodnie i palta, to oni lepsze inżynierzy i budowniczy niż wielmożny dziedzic?... to nawet wstyd pomyśleć...

— Hm!... przypuśćmy, że nie święci garnki lepia, i że gdybym się zdecydował, to dałbym sobie radę; powiedz mi jednak, panie Sieradz, tylko szczerze powiedz, jaki też ty osobiście dla siebie możesz mieć w tem interes, żebym ja kupił plac i dom budował? Bo, jakkolwiek wierzę w twoją życzliwość, czego dałeś dowody już nieraz, to jednak poza tą życzliwością musi być jeszcze coś innego, czego mi dotąd nie powiedziałeś.

Zahorski wyrzekł to powoli, patrząc badawczo na swego doradcę, który miał w tej chwili minę człowieka zafrasowanego i, zdawało się, radby był pod ziemię się schować przed przenikliwością swego interlokutora.

Upłynęła chwila dłuższego milczenia. Następnie pan Jakób Sieradz uczynił ręką gest wymowny, podszedł do biurka bliżej i powiedział:

— Ja już wszystko powiem... ja byłem głupi, myśląc, że przed delikatnym rozumem wielmożnego dziedzica będę mógł coś ukryć i powiedzieć trzy czwarte, a jedną ćwiartkę zostawić sobie; no, ale ja widzę, że ja muszę oddać cały los, prawdziwie wielki los na loteryi...

— Tłómacz się jaśniej.

— No, ja mówię bardzo jasno.. ten plac to jest przeszło sześć tysięcy łokci i on musi być sprzedany cały; że zaś dla wielmożnego dziedzica wystarczy cztery na dużą kamienicę na dwa fronty, to ja myślałem, że wielmożny dziedzic ustąpi Jakóbowi niepotrzebne dwa tysiące łokci...

— Ach! więc proponujesz mi kupno do spółki?

— Ja tak myślałem, lecz nie śmiałem tego tak wprost powiedzieć, nie wiedząc, czy wielmożny dziedzic, taki jasny pan, chciałby z żydkiem mieć spółkę—usprawiedliwił się Sieradz, czyniąc słodką minę wytrawnego pochlebcy.

Pan Zahorski uśmiechnął się łaskawie.

— A jednak śmiałeś, boś mi zaproponował spółkę.

— Spółkę? broń Boże!... ja tylko chciałem prosić wielmożnego dziedzica, żeby, kupiwszy

plac dla siebie, ustąpił mi potem 2,000 łokci, nawet trochę mniej.

— Cóż to? zamierzasz widać i ty budować kamienicę?—zagadnął Zahorski.

— Jeszcze nie wiem, za mało mam pieniędzy, lecz, jak Bóg da, to może i ja biedny faktor wybuduję sobie własny domek; lecz to daleko jeszcze, no, a kupić plac, to jabył bardzo chciał, bo to złoty interes, brylantowy interes: za rok, za dwa, a może za miesiąc nawet, plac będzie wart dwa razy tyle.

— A po czemu tamten żąda za łokieć?

— Liebkind?

— Liebkind, czy ten inny, co sprzedaje.

— On chce po sześć rubli; ale ja w tem, że on musi ustąpić za pięć i pół rubla; już ja wytarguję... przecie nie tylko o wielmożnego dziedzica, lecz i o mnie samego tu chodzi.

— Oho! to wyniesie trzydzieści trzy tysiące rubli za pusty plac?! — obliczał Zahorski — to bardzo wiele...

— Za pusty plac?... kto mówi, że za pusty plac?

— Sam przecie mówiłeś, łaskawco...

— Ja mówiłem, że on teraz jest troszkę pusty, ale jak wielmożny dziedzic go kupi, to za rok będzie tam wielka kamienica, kamienica na dwa fronty... pałac jaśnie wielmożnego Zahorskiego... I to się nazywa pusty plac?! On pusty dla takiego, co nie ma za co budować...



Zahorski rozśmiał się głośno z tego rozumowania Sieradza.

Uśmiechał się również i pan Jakób, rad, że wprowadził „swego dziedzica“ w dobry humor, i mówił dalej:

— A to, co wielmożny dziedzic mówi, że on potrzebuje kosztować trzydzieści trzy tysiące rubli, to też tak nie jest, bo jeśli dla mnie ma być dwa tysiące łokci, to za cztery tysiące wypadnie tylko dwadzieścia dwa tysiące rubli.

— Zawsze to kawał grosza, a ja pieniędzy nie mam.

— Jakto, niema pieniędzy?... Wielmożny dziedzic ma kamienicę stotysięczną, ma czystą hipotekę... to pieniądze mogą być zaraz; ja mam nawet takiego kapitalistę, on jest katolik, co da trzydzieści do czterdziestu tysięcy rubli; ale i tego nie potrzeba, bo jak wielmożny dziedzic plac kupi i zacznie budować, to każdy bank da kredyt i wszystko można brać na kredyt: cegłę, wapno, robotę stolarską, ślusarską... Czy wielmożny dziedzic myśli, że inaczej kto buduje?

Tu pan Sieradz wyjął cały plik papierów, zapisanych cyframi, podzielonemi na pozycye różnych robót budowlanych, cen na cegłę, glinę, wapno, robotnika i t. p., z szczegółowymi kosztorysami domów 3-ch i 4-ro-piętrowych z takimież oficynami. Rozłożywszy to wszystko przed Zahorskim, jął mu wyliczać zyski, jakie

osiąga się z budowy domu, zarówno jako majątku dochodowego, jak i przy sprzedaży nieruchomości.

Imponujące te cyfry oszołomiły Zahorskiego, wykazywały one bowiem jak na dłoni, że wybudowawszy dom i sprzedawszy go następnie, można w ciągu dwóch lat osiągnąć na czysto od 30-tu do 50-ciu tysięcy rubli... i to za nic prawie, bo tylko za zwierzchni nadzór nad robotami i za tytuł własności. Nie potrzebuje być nawet fachowcem w tego rodzaju przedsiębiorstwie, gdyż budować będzie wykwalifikowany architekt i majstrowie zawodowi, można nawet powierzyć budowę jednemu z technicznych przedsiębiorstw budowlanych, które w tym celu potworzyły się wobec rozbudzonej powszechnie gorączki budowlanej.

Że zaś na tego rodzaju interesach ludzie robią fortuny, o tem Zahorski wiedział dobrze, znał nawet takich, co posiadając całego majątku kilka tysięcy rubli, dziś mają po parę dużych kamienic, świetnie rentujących.

— Nie święci więc garnki lepią!—myślał, utonawszy w cyfrach kosztorysu, a jednocześnie budziła się w nim, na dnie szlacheckiej natury, żyłka hazardu, pod wpływem której propozycja faktora stawała się coraz bardziej pojętną.

— Że musi być zresztą dobry interes to kupno placu, najlepszy dowód chyba w tem, że

~~~~~

sam Sieradz łaknie chociaż dwa tysiące łokci dla siebie—rozumował w dalszym ciągu, skłaniając się coraz więcej w chęci podjęcia przedsięwzięcia.

Sieradz wpatrywał się bacznie w Zahorskiego, śledząc za grą rysów jego twarzy i odgadując niemal proces myśli.

Był już pewnym ubicia interesu.

Aliści stanęły nagle w pamięci Zahorskiego niedawne kłopoty i ciężkie nad wyraz przejścia przy regulacji długów majątkowych na wsi, którą cudem prawie doprowadził szczęśliwie do końca. Ciężar tych długów raz jeszcze, drogą skojarzenia wspomnień, przygniótł go całą siłą tak, że opuścił głowę, zgnębiony tą zmorą przeszłości.

Zadrzał na myśl, że może raz jeszcze znaleźć się w podobnym położeniu, że ten spokój dzisiejszy i niezakłócona niczem pewność skromnej lecz dostatniej zarazem egzystencji mogą uleść ponownemu wstrząśnieniu, którego przetrzymać nie miałby już siły. Stała mu wreszcie przed oczyma żona i dzieci, za los których i przyszłość całą odpowiadał...

Pod wpływem tych refleksyi oprzytomniał, i wyprostowawszy się, potarł ręką czoło, jakby chcąc zetrzeć z niego na zawsze troskę, która na niem osiadła, poczem odsuwając z biurka rachunki Sieradza, powiedział głosem stanowczym:

— Nie, placu nie kupię, gdyż budować nie chcę.

Ta niespodziana decyzja uderzyła Sieradza niby obuchem. Aż się cofnął od biurka o parę kroków, a w jego oczach zabłyśły iskry gniewu i wściekłości niemal na myśl, że cały jego plan, tak misternie ułożony, poparty taką przekonywającą wymową, tyloma zabiegami, uprzednio poczynionymi—miał się obrócić w niwecz. Nie, to być nie może, on na to nie pozwoli, on nie może stracić! On, Jakób Sieradz, nie byłby kupcem, nie byłby jednym z pierwszych faktorów w mieście, gdyby takiego głupiego szlachcica nie potrafił ugłaskać i zmusić do zrobienia tego, czego on chce. „On to zrobi, on go zmusi...” — czynił niezłomne postanowienie, a jednocześnie układał na prędce nowy plan uwikłania Zahorskiego w sieci, przez siebie rozstawione.

Upłynęło tak kilka chwil milczenia, poczem Sieradz, nic nie mówiąc, zaczął zgarniać rozłożone na biurku rachunki. Gdy tego dokonał, powiedział krótko, z miną człowieka głęboko dotkniętego zawodem, jaki go spotkał:

— Musu tu żadnego niema... przepraszam bardzo wielmożnego dziedzica—dodał, kłaniając się nisko i cofając się ku drzwiom.

— Jakto! już odchodzisz?... Widzę, że gniewasz się na mnie—odezwał się Zahorski tonem łaskawym.

— W handlu i w rozmowie o interesie gniewu niema — odparł Sieradz z godnością;— tylko kiedy wielmożny dziedzic nie chce, to poco długo mam nudzić? Ja już swoje powiedziałem; kłaniam się pięknie panu dziedzicowi.

— Do widzenia, do widzenia. A proszę, przyjdź za parę tygodni z tym wekslem, to zapłacę.

— Jak wielmożny dziedzic każe—odparł, ujmując już za kłamkę.

Nagle, jakby mu jakaś nowa myśl przyszła do głowy, zatrzymał się i postąpił kilka kroków wgląd pokoju.

— Co mi jeszcze chcesz powiedzieć?

— Przepraszam bardzo, ja chciałem tylko zapytać, czy wielmożny dziedzic pozwoli mi powiedzieć jeszcze jedno słowo...

— Dlaczegoż nie? mów...

— Pan dziedzic boi się zrobić dług na hipotekę i nie chce wreszcie sam budować na własne ryzyko, prawda?

— Prawda.

— Nu, to można tak zrobić, że wielmożny dziedzic bez żadnego ryzyka, bez żadnego kłopotu, bez wydania jednego rubla, może mieć na czysto dziesięć procent od szacunku kamienicy, gdy ona będzie już „fertig...”

— A to jakim sposobem?—zapytał Zahorski, mocno zaciekawiony.

— Plac kupi jeden z naszych ze mną do

spółki. pieniądze na budowę on da, a wielmożny dziedzic da tylko swoją firmę...

— Jakto firmę? co przez to rozumiesz, łaskawco?—powiedział Zahorski tonem surowym.

— Przepraszam bardzo, wielmożny dziedzic nie ma za co się gniewać... Tu potrzeba tylko, żeby na tablicy przy budowie domu było napisane, że on jest własnością jaśnie pana Andrzeja Zahorskiego.

Zahorski, usłyszawszy to, aż podskoczył na krześle i wybuchnął:

— To oszukaństwo!... Cóż to sobie myślisz, że ja na takie konszachty mógłbym przystać, wypożyczać swe nazwisko jakimś tam żydom?... A niedoczekanie wasze!—zawołał Zahorski, pełen oburzenia, i powstawszy, wyprostował się groźnie.

— Wielmożny dziedzicu! — zaczął Sieradz głosem potulnym—niech się wielmożny dziedzic nie gniewa; ja pytałem pokornie, czy mogę rzec jedno słowo... W interesie gniewu być nie powinno... Ja sam teraz widzę, że byłem głupi, myśląc, że taki godny, jasny pan może się zgodzić na taki interes, który dla każdego z nas byłby bardzo dobry... Przepraszam bardzo, jeszcze raz przepraszam wielmożnego dziedzica; ja już idę..—dodał, kłaniając się jeszcze niżej.

— Bóg z tobą, mój panie Sieradz. Jestem pewny, że na drugi raz będziesz wiedzieć

z czem do kogo można się zwrócić—powiedział Zahorski tonem wyniośle pobłażliwym.

Na te słowa w oczach żyda mignął błysk jakiś i zgasł po chwili, a jednocześnie kark jego jeszcze niżej się pochylił, gdy mówił:

— Ja już będę wiedział... Dziękuję pokornie wielmożnemu dziedzicowi.

Nagle Zahorski zatrzymał go ruchem ręki, poczem zdawał się chwilę namyślać, aż wreszcie rzekł:

— Zaczekaj jeszcze. Zostaw mi swe rachunki i kosztorysy, ja się w nich uważniej rozejrzę i wówczas, kto wie, może i zdecyduję się na kupno placu.

Na te słowa szerokie i grube wargi Sieradza ułożyły się w rozkoszny uśmiech, a oczy błysnęły blaskiem fosforycznym. Pośpiesznie wyjął z kieszeni plik kosztorysów i złożył je na biurku, mówiąc:

— Ja bardzo, bardzo wielmożnemu dziedzicowi życzę. To złoty prawdziwie interes.

— A za dni kilka, proszę, zajdź, to powiem ostatecznie, tak czy inaczej.

— Słucham pokornie wielmożnego dziedzica.

Zahorski, zostawszy sam, zaczął nerwowym krokiem chodzić po pokoju, przyczem stawał co kilka sekund, podnosił głowę do góry, zdawał się coś przypominać i obliczać, aż wreszcie podszedł do biurka, na którem leżały ko-

sztorysy, pozostawione przez Sieradza, i oparłszy się, zagłębił się w nich tak dalece, że upłynęła godzina cała, a on wciąż sprawdzał rachunki, wypisując całe szeregi cyfr na przygotowanych uprzednio czystych arkuszach.

Wreszcie skończył, i przesunawszy dłonią po czole, powiedział do siebie:

— Tak... obliczeniom tym nic zarzucić nie można; że zresztą tego rodzaju interesa są bardzo korzystne, o tem wiedziałem już przedtem. W tym zaś wypadku wyjątkowo... nie darmo przecież proponowali mi przyjęcie tytułu własności. Szelmy!.. Ale też poszedł jak zmyty... A gdybym tak zaryzykował?... Chociaż właściwie tu niema nawet żadnego ryzyka, bo wydatki na budowę kapitalizować się będą z wysokim procentem w murach kamienicy i wycofać je będzie można za pomocą hipoteki... Tak, to jest interes!... złoty interes!... jak mówi pan Jakób Sieradz—dodał głośno i rozśmiał się z zadowolenia, przypomniawszy sobie, jak żyd stulił uszy i uderzył w pokorę.

— Trzeba jednak wprzód pomówić o tem z budowniczym i poradzić się, zanim ostatecznie coś postanowię — powiedział jeszcze do siebie, poczem złożył starannie papiery i schował je do biurka.

— O czem tak długo konferowałeś, mój mężu, z tym faktorem?—zagadnęła go pani Za-



horska, gdy ukazał się wreszcie w jej pokoju z miną roztargnioną.

— O czym? O wielu rzeczach. Żydzi to obrotne i sprytne plemię.

— Nic dziwnego! Całe życie węszą, gdzieby tylko można coś zarobić bez pracy — odparła pani pogardliwie, z odcieniem wstrętu w głosie.

— Hm, co prawda, to i my nie mamy sobie nic do zarzucenia pod tym względem — powiedział Zahorski, kładąc dwuznaczny nacisk na tem zdaniu.

— Jak to rozumiesz?

— Mówię bez żadnych przerośni. Oto na przykład nasz kochany jedynak... do niczego się jakoś wziąć nie może, a na pieniądze jest łasy; a że ich nie ma nigdy dość, więc bez ceremonii pożyczają u lichwiarzy...

— Władysław?! Więc nie możesz zapomnieć jeszcze o jego kroku nieogłędnym? Biedny Władzio!...

— Nie żałuj go tak bardzo, bo ja nie o tamtym wekslu przypominam, który już zapłaciłem, lecz o tym nowym, który mi płacić przyjdzie...

— I ileż? — zapytała żona z drżeniem w głosie.

— Niewiele, jak dla niego: pięćset rubli.

Usłyszawszy tę cyfrę, pani Zahorska załamała rękę.

— Aż tyle! Przestraszasz mnie, mój mężu! Władzio nie mógł się tak dalece zapomnieć! Pięćset rubli to duża suma, w naszym przynajmniej położeniu. Wystarczyłaby ona na odświeżenie całkowite garderoby mojej i dziewczątek, które tego bardzo potrzebują...—mówiła pani Zahorska głosem przygnębionym, szybko skombinowawszy swym praktycznym rozumem, że tego rodzaju wybryki syna mogą ich zrujnować.

Kochała go bardzo—i pobłażliwie, a nawet z pewną dumą macierzyńską, patrzyła na jego wytworne, wielkopańskie nawyki i rozrzutność; lecz nie zdawała sobie dotąd sprawy, że mogą się one w tak dotkliwy sposób odczuwać na ich skromnym budżecie. Tymczasem w ciągu jednego roku zaledwie Władysław zrobił 1,000 rubli długu, co w połączeniu z przeznaczoną dlań pensją miesięczną i jego całkowitem utrzymaniem w domu wynosiło przeszło 2,000 rubli rocznie.

— To cokolwiek za wiele! to prawie połowa całego naszego dochodu!—pomyślała z przerażeniem; potem zaś spojrziała na męża i zdziwiła się, że on tak obojętnie przyjął tę fatalną wiadomość.

Zahorski tymczasem patrzył badawczo na żonę i rad był widocznie z wrażenia, jakie w niej wywołał, po chwili zaś zapytał:

— I cóż? nie masz jakoś nic do powiedzenia na obronę swego pupilka-utracyusza?

— I nie myślę go bronić. Moja wyrozumiałość kończy się tam, gdzie zaczyna troska o przyszłość wszystkich naszych dzieci—wyrzekła z przejęciem.

— Powiedziałaś bardzo rozumnie—wyraził mąż swe uznanie i ucałował rękę żony.--Na tej drodze zdołamy się zawsze porozumieć i zabezpieczyć się od podobnych ewentualności na przyszłość.

— Ty wszakże, mój mężu, dziwnie jakoś spokojnie traktujesz tę sprawę...

— Czy chcesz, żebym wybuchnął gniewem i wywoływał niemiłe sceny w domu?... Wiesz, że tego rodzaju gminnych upodobań nie mam. Przyjąłem rzecz do wiadomości i oświadczę Władysławowi, że ten jeszcze weksel wykupię, lecz że na przyszłość długów jego płacić nie będę i że gotów jestem ogłosić to publicznie.

— Tego nie uczynisz!

— Jeśli będę do tego zmuszony...

— Władzio upamięta się; ja sama wpłynę na niego.

— Owszem, będę bardzo rad z tego; oszczędzisz mi przez to przykrości występowania w roli skąpca i tyрана ojca, wtedy, gdy ja chciałbym być zarówno dla Władysława, jak i dla dziewcząt, tylko przyjacielem i doradcą.

— Jakiś ty zacny, jakiś ty dobry!... mój

Andrzeju! — zawołała pani Zahorska, ujmując go w swe objęcia i tuląc się do niego.

Zahorski ucałował żonę w czoło i w rękę, poczem rzekł tonem weselszym:

— Ani domyślisz się, z czem dziś przychodził syn dawnego naszego pachciarza.

— Z czem?

— Z propozycją podwojenia naszego majątku...

— Żartujesz!

— Mówię zupełnie seryo i rzecz jest w zasadzie możliwa.

Tu Zahorski wyłuszczył szczegółowo całą sprawę, nie pomijając nawet propozycji Sieradza: wypożyczenia swej firmy do przedsiębiorstwa budowlanego.

— Jakto! i naprawdę proponował dziesiątą część wartości kamienicy jako wynagrodzenie?—zawołała pani Zahorska z błyskiem w oczach, zdumiona i niedowierzająca zarazem.

— Ależ tak! powtarzam, jak było.

— Wiesz, mój drogi, to istotnie musi być świetny interes!... Mój Boże! jakby to było dobrze, gdybyśmy mogli powiększyć nasze dochody!... Nie potrzebowałibyśmy się tak ścisnąć i rachować z groszem, prowadzilibyśmy dom otwarty na skalę odpowiednią naszemu stanowi towarzyskiemu... I jak to dobrze, żeś przytarł uszu temu żydowi, odrzucając jego ostatnią propozycję... Naturalnie, trzeba same-

mu kupić plac i budować. Dziś wszyscy robią na tem majątki!.. Mieszkania są tak drogie, tak niesłychanie drogie! Aż mi przykro, gdy który z biedniejszych lokatorów przynosi komorne, pochłaniające trzecią część całorocznego dochodu... I płacą bez szemrania, bo o mieszkania coraz trudniej, niema ich prawie wcale, a ludność z każdym rokiem się zwiększa—mówiła pani Zahorska, zapalając się coraz bardziej w bezwiednem recytowaniu felietonowej rozpaczki jednego z pisemek brukowych.

Zahorski milczał, lecz w duchu rad był z tego zapалу żony, który niezbędny był do podniecenia jego energii, wzniesającej się łatwo, lecz słabnącej jeszcze łatwiej przy pierwszym niepowodzeniu.

Ze zaś interes, proponowany przez faktora, przedstawiał mu się istotnie korzystnie, nabierał doń coraz więcej chęci, czując zarazem, że uprzednie obawy ryzykowania swego majątku i spokoju słabną coraz bardziej, rozwiewając się jak mgła przed nadzieją spodziewanych świetnych korzyści.

— A korzyści być muszą, i to jest bardzo naturalne—myślał Zahorski.—Wszakże sam się zajmę przedsiębiorstwem, wejrzę w każdy szczegół, nie dojem, nie dośpię, słowem będę pracować... Włożywszy zaś pracę i kapitał, zysk mieć muszę... to przecież jest jasne jak słońce; trzeba się tylko będzie dobrze jeszcze na-

myśleć i rozważyć, a przede wszystkim poradzić się budowniczego, chociaż jestem pewny, że on to samo powie... A że ryzyka niema żadnego, to fakt: Warszawa rozwija się, rośnie jak na drożdżach, ludności przybywa, a mieszkań mało i drogie, popyt też na nie ogromny; a gdzie jest duży popyt, tam sprzedaż sumienna i szybka przedstawia świetny interes. Tak uczy ekonomia polityczna i o tem dwóch zdań być nie może! — zakończył tą konkluzją, postanowiwszy niemal już ostatecznie i nieodwołalnie, że płac kupa i budować będzie.

Pani Zahorska tymczasem snuła w dalszym ciągu różowe perspektywy przyszłości.

— I jak się to wszystko nadarza w porę... Niepokoiłiśmy się o Władzia, o ustalenie jego stanowiska i przyszłości, tymczasem teraz nie potrzeba nawet myśleć o jakiegokolwiek posadzie... otworzy się bowiem przed nim droga pracy samodzielnej a produkcyjnej, do której się wdroży i zachęci pod twoim kierunkiem, ty zaś znajdziesz w nim zaufanego pomocnika i towarzysza w pracy...

— Hm! daj to Boże! — westchnął Zahorski.

— A jak się nam lepiej zacznie powodzić — mówiła dalej, — to, da Bóg, nie będziemy potrzebowali cały rok siedzieć w murach miejskich i odetchniemy innem powietrzem gdziekolwiek w cichym zakątku na Rivierze, lub też w bardziej ożywionej miejscowości kąpielowej,

gdy córki podrosną — mówiła pani Zahorska, słodko się uśmiechając do tej tęczowej przyszłości, jaka się snuła przed oczami jej wyobraźni.

— Zobaczmy jeszcze, zobaczymy! — mitygował mąż, uśmiechając się również.—Moja kochana jejmość szybko się zapala. Masz jeszcze dużo młodzieńczej fantazyi. O tych projektach pomówimy za lat parę, a teraz patrzmy trzeźwo na rzeczy...

— Masz słuszność — zgodziła się pani Zahorska i ucałowała męża serdeczniej, niż to czyniła od lat dziesięciu.

Serdeczność bowiem ich stosunków małżeńskich słabła w miarę powolnego rujnowania się świetnej niegdyś fortuny.

---

### III.

Pan Jakób Sieradz, wyszedłszy od Zahorskiego, wyglądał jakby odmłodzony o lat dziesięć. Szedł prędko, z lekka podskakując i uśmiechając się do siebie rozkosznie.

Był teraz zupełnie przeświadczonym, że interes ubił.

— Aj, aj! jaki to śmieszny szlachcic! On się dał wziąć „na firmę,” na „jego“ firmę... on uwierzył, co dla naszych żydków trudno o kre-

dyt. Głupi szlachcic!—dodał prawie głośno, tonem pogardliwym.—My mamy kredyt wszędzie, we wszystkich bankach: w Banku Handlowym, w Dyskontowym i u Przemysłowców i w Towarzystwie wzajemnego kredytu... wszędzie, bo wszędzie dla nas wszystko zrobią... Nu, a Towarzystwo Miejskie, to ono jest całkiem nasze! Wiec poco nam jakieś firmy szlacheckie!... One wprawdzie czasem potrzebne są—dodał po chwilowym namyśle,—ale tylko wtedy, gdy się robi jaki interes na akcye: kolejki, fabryka, lub jaki wielki a delikatny interes, w którym żydkom nie bardzo wierzą... No, wtedy to co innego! Ale na kupno placu i budowanie nieruchomości poco nam firma?... Ona może i potrzebna jest, ale tylko dla wielkich żyrantów: Liebkinda, Ojzenera i innych. Oni zarobią zawsze, nu, a taki jak ja faktor to co weźmie?... On weźmie, jak sprzeda i kupi... Za ten plac to Zahorski zapłacić musi po pięć rubli kopiejek trzydzieści. Liebkind zaś ustąpi po rubli cztery kopiejek ośmdziesiąt, nu, to ja zarobię na sześć tysięcy łokci całe trzy tysiące, jak grosz... tu interes jest... I Liebkind da zarobić; on jak wielki szlachcic: nie żałuje swojemu zarobku... on sam za ten plac płacił przed dwoma laty po dwa ruble... oj, oj!... Za te trzy tysiące to ja kupię potem te dwa tysiące łokci, a na resztę Liebkind poczeka i zostawi na gruncie. Ja wtedy też poczekam... A jak Za-



horski zacznie budować na tej pustce, to mój plac o pięćdziesiąt procent pójdzie w górę; ja go sprzedam za piętnaście, dwadzieścia tysięcy rubli, jak Bóg da... a może i sam wybuduję, chociaż jedno piętro, chociaż pół piętra... Aj, aj! to może być tłusty interes... Niech tylko ten szlachcic kupi! - dodał w zamyśleniu, rozważając wszelkie „za“ i „przeciw.“ — No i nie bez tego, żebym ja potem nie utrzymał dla siebie tego Zahorskiego; ja mu będę potrzebny, ja mu muszę być bardzo potrzebny, on będzie musiał pożyczać na weksle tysiące i dziesiątki tysięcy rubli... budowanie dużo kosztuje... aj, aj! jak dużo! No, to bez Sieradza on się nie obejdzie, a z tego też dobry interes może być, bo on „wielki pan,“ arystokrata, on sobie nie da rady bez żydków. Cała moja familia przy nim może żyć...—rozmyślał Sieradz.

Pełen tych dobrych nadziei, wrócił w wyborzym humorze do domu, na łono licznej rodziny, której każdy prawie członek—poczynając od 7-letniego bachora, aż do babki żony Sieradza, 76-letniej staruszki—prowadził na własną rękę jakiś proceder lub handelek, gromadząc powoli grosz do grosza i kładąc tym sposobem podwalinę do przyszłej zamożności.

Tak więc: babka żony, znająca Warszawę i jej mieszkańców dzielnicy żydowskiej jak własną kieszeń, zajmowała się od lat już wielu swatostwem; żona, pani Sara, prowadziła do

spółki z zamezną córką handel damską starzyzną, pomiędzy którą znaleźć nieraz można było świeże aksamity i jedwabie, oraz koronki drogocenne. W sklepie tym było i wiele innych jeszcze rzeczy, jako to: dywany, serwety, portyery i t. p., a wszystko to trochę używane, lecz jeszcze bardzo świeże.

Rzeczy skupowały po domach ciotka pani Sary i rodzona siostra Sieradza, otrzymując za każdą rzecz kupioną do handlu pewien stały procent.

Zięć Sieradza, młody Lukrec, zajmował się troszkę lichwą, a trochę faktorował na targu w roli pomocnika agenta przy sprzedaży wołów stepowych miejscowym rzeźnikom.

Piętnastoletni syn Sieradza Josek, pociecha rodziny, pracował jako kantorzysta w jednym z banków prywatnych i otrzymywał 20 rubli pensyi miesięcznej. Była to bardzo mądra głowa i wszyscy wróżyli mu, że prędzej czy później, zostanie bankierem.

Dalej szły dwie młodsze córki pani Sary: 13-to i 14-to letnie, Regina i Fela, które za 25 rubli, uciulanych razem z groszowych oszczędności i podarków od ojca i matki, nakupiły nici, tasiemek, igieł, guzików i innych niezbędnych rzeczy codziennego użytku, i wynajawszy 4 łokcie kwadratowe w sklepie bławatnym, mieszczącym się w tymże domu, prowadziły

tam ożywiony handel, zarabiając po 20 do 30 rubli na miesiąc.

Wreszcie ostatnia pociecha rodziny, siedmioletni Izydorek, w ciągu lata sprzedawał przed bramą makagigi i landrynki pod zwierzchnim nadzorem sióstr, prowadzących swój handel w pobliskim tuż sklepie, a zimą zaprawiał się do handlu pieniędzmi w domu, wypożyczając dziesiątki i złotówki wszystkim członkom rodziny, nie wyłączając matki i ojca, gdy ci chwilowo potrzebowali drobnej monety. Za wypożyczenie takiej sumy dostawał w procencie grosz, a czasem całą kopiejkę; że zaś termin zwrotu pożyczki wypadał najczęściej dnia następnego, przeto kapitał Izydorka rósł szybko.

Tak to błogosławieństwo Boże spływało na całą rodzinę Jakóba Sieradza, który też, niby biblijny patryarcha, sławił Jehowę za łaski, jakie nań zsyłał, i dumny był, patrząc na tę mrówczą pracę wszystkich członków swej rodziny.

Było już dość późno, gdy Sieradz powrócił do domu; żona od dawna już czekała na niego z kolacją,—to też gdy wszedł, powitał go radosny gwar potomstwa, a mały Izydorek uczeplił się natychmiast poły ojca, spodziewając się, jak zawsze, jakiegoś gościńca z miasta. I tym razem nadzieja go nie zawiodła, gdyż dostał ogromną nowiutką podkowę końską, którą Sieradz znalazł na ulicy.

— Weź to i schowaj, to warte kilka gro-

szy, a może i całą dziesiątkę; jak się trafi kupić, to ty sprzedaj.

— Późno już jest—ozwała się pani Sara, stawiając przed mężem talerz z niewielkim na nim kawałkiem szczupaka faszzerowanego i bułkę pszenną, tak zwany kugel.

— Każ mi przynieść butelkę piwa zwyyczajnego, mnie się pić chce—powiedział Sieradz do żony.

Ta spojrzała na niego wzrokiem badawczym, uśmiechając się znacząco.

— Tobie się musiał udać dobry interes, Jakób?

— Jeszcze nie, on dopiero się robi.

— No, to on się zrobi... nie darmo tyś znalazł podkowę; to dobry znak, dobra wróżba! Może się ty herbaty napijesz? Ja ci zrobię sama

— Zrób herbatę i ty się napij.

Wkrótce młode pokolenie udało się na spoczynek, a starzy gawędzili jeszcze czas jakiś, popijając herbatę.

Sieradz zwierzał się żonie ze swych planów i nadziei co do spodziewanego zarobku, i opowiadał szczegółowo, w sposób obrazowy i nie bez pewnego humoru, swą rozmowę z Zahorskim, poczem wydrwiwał niemiłosiernie pychę i głupotę zbankrutowanego arystokraty.

— Aj, aj! jakiś ty mądry, Jakób! jaką ty masz głowę do interesu! — podziwiała swego

męża pani Sara, kiwając się już nad stołem.

Sen ją morzył. Cały dzień spędziła w zimnym, nieopalanym sklepie i miała przy targu dużo, bardzo dużo gadania.

— Idź ty, Sara, spać... i ja już pójdę—odezwał się wreszcie pan Jakób.

Po upływie kilku minut zapanowała w mieszkaniu ciemność i cisza, przerywana tylko chrapaniem Sieradza i ciężkimi oddechami reszty jego rodziny, pogrążonej w śnie głębokim, pełnym rozkosznych, fantastycznych rojeń o dobrych interesach i powodzeniu w handlu.

Te bowiem ścieśnione w swym rozwoju dusze nawet we śnie nie miały innych, podnioślejszych marzeń.

---

Sprawa wciągnięcia Zahorskiego do przedsiębiorstwa budowlanego postępowała bardzo szybko: w myśl zasady, że „czas płaci, czas traci“ i że „trzeba kuć żelazo, póki gorące,“ Zahorski z całą energią zajął się zbadaniem, czy i o ile byłoby dla niego korzystne kupno placu i wybudowanie na nim kamienicy.

W sprawie tej rozmawiał już z tym i owym ze znajomych, przepytywał dawnych faktorów, którzy mu nastreczyli kupno domu—i wszędzie słyszał jedno i to samo, że dziś kto może, a nie buduje—nie chce widocznie zrobić ma-

jątku; potwierdzały to zresztą i głosy prasy miejscowej, mówiąc o olbrzymich fortunach, jakie wyrosły niespodzianie na handlu nieruchomości i na przedsiębiorstwach budowlanych.

Zahorski wszakże jeszcze nie był zupełnie zdecydowany, wahał się i wciąż liczył a liczył...

Wreszcie, chcąc zasięgnąć opinii ludzi zupełnie kompetentnych, udał się do poleconych sobie przez dobrych znajomych dwóch znanych budowniczych i rzecz im całą otwarcie przedstawił.

Ci, naturalnie, uznali—z punktu widzenia swego zawodu—przedstawiony sobie interes za rzecz w zasadzie dobrą i najzupełniej pewną.

— Tu straty być w żadnym razie nie może; co więcej, pożądanem jest nawet, żeby nasi kapitaliści wzięli się do budowania domów. Nie byłoby tej tandety, tych nadużyć i tego oszukaństwa, jakie się praktykują obecnie w ruchu budowlanym. Jest to więc niemal obowiązek obywatelski, którego uczciwe spełnienie przysporzy korzyści miastu i uwolni Warszawę od przewagi żydów, a przynajmniej nie pozwoli jej wzrastać... Co do ceny placu, to jest ona, coprawda, nieco za wysoką, lecz i to względnie, gdyż z każdym niemal dniem w cenach na place daje się wyczuwać silna zwyżka, tak, że, być może, za kilka miesięcy wartość placów w tamtej stronie miasta podwoi się.

Mówią przecie o założeniu tam dużego parku miejskiego, co zapewniłoby dzielnicy rzeczonyj wyborne powietrze; mówią również o budowie politechniki, oraz innych szkół, a również szpitala, co także musi wpłynąć na zwyczaję w cenach. Jest to więc tylko kwestya czasu...

W tych mniej więcej słowach przedstawiała się cała sprawa w oświetleniu budowniczych, a różnica w ich poglądach na przedsiębiorstwo budowlane streszczała się w tem tylko, że gdy pierwszy z nich, będący widocznie hołdownikiem estetyki architektonicznej i sumienności zawodowej, radził wznieść gmach fundamentalny, wygodny, z uwzględnieniem wszelkich potrzeb lokatorów... któryby stał się zarazem ozdobą miasta, — drugi, mniej dbający o estetykę, a więcej praktyczny, namawiał do zbudowania wysoko rentującego domu dochodowego kosztem najmniejszych wysiłków finansowych.

— Dziś wszyscy tak budują... to trudno, proszę pana. Nie pora się bawić w sentymta, gdy wkoło wre spekulacya, posunięta do ostatnich granic, i gdy nastęcza się sposobność podwojenia fortuny. W tych przeto warunkach budowle fundamentalne przedstawiają wprost ryzyko finansowe; można bowiem przypuszczać, że za lat kilka gorączka budowlana ustanie i rentowność wszystkich domów spadnie, a wówczas kamienice budowane kosztownie, jako przy-

noszące dochód zbyt mały, trzy do czterech procent, zniżą się w wartości do połowy, co przy obciążeniu hipotecznem równać się będzie zupełnej ruinie właścicieli — dowodził budowniczy, z mocnem przekonaniem o niezaprzeczonej słuszności i praktyczności swych poglądów.

Zahorski słuchał tych rad z niezmierną uwagą i skupieniem ducha, i podzielał je zupełnie. Nie na to przecież decydował się dom budować, żeby się miał troszczyć o estetykę i przyozdobienie miasta; szło mu o powiększenie dochodów z kapitału, jaki posiadał w nieruchomości...

Zresztą budowniczy nie zdawał się być osobiście zainteresowanym w tej sprawie, gdyż o nowe roboty nie dbał, jak to sam oświadczył:

— Zawalony jestem, proszę pana, robotami; mam do wykonania dwieście planów i kosztorysów, nie licząc nadzoru zwierzchniczego nad budowlami w rozmaitych stronach miasta; nie mam ani jednej chwili wolnej, jak to pan sam widział — dodał, wskazując na drzwi poczekalni, za któremi słychać było gwar kilkunastu interesantów, przeważnie żydów.—Opędzić się od nich nie mogę.

I nie było w tych słowach ani odrobiny chwalby przesadnej: istotnie, pan Feliks Woliński był budowniczym bardzo wziętym i w Warszawie znanym nie tylko z dużej praktyki, lecz



i z wystawnych przyjęć karnawałowych, na których jego żona olśniewała zbyt kownemi toaletami.

Był to młody jeszcze mężczyzna, lat około 40, wielce czynny i ruchliwy; w oczach jego paliła się energia i pewnego rodzaju rzutność i porywczność, których wpływ udzielał się i klienteli, zniewalając ją mimowoli do szybkiego decydowania się w najzawilszych sprawach.

Wzrostu był mniej niż średniego; gdy się zapalał wszakże dyskusją, unosił się na palcach w górę, wyciągając tułów, skutkiem czego rósł w oczach i wydawał się wyższym, niż był istotnie.

Wiele mówiono o jego doświadczeniu zawodowym i sprycie, przy pomocy których umiał omijać najsurowsze paragrafy ustawy budowlanej, co przyczyniło mu dużo rozgłosu i popularności u przedsiębiorców budowlanych, przeważnie zaś żydów, którzy cisnęli się też doń jak do rabina. Powiadano wprawdzie, że był on zawodowym protektorem fuszerki budowlanej i umiał patrzeć przez szpary na jawne nadużycia przedsiębiorców, jeśli mu za to dobrze zapłacili,—lecz wieści te, jak wiele innych, kursujących po mieście, mogły mieć źródło w zawistnej konkurencji kolegów—jak do-  
tąd bowiem, nikt mu nie dowiódł najmniejszego uchybienia w jego obowiązkach.

— To są insynuacyjki i plotki zawistne!—

oświadczał z pogardliwym lekceważeniem, gdy mu ktoś z życzliwych o tem wspomniał;—mnie one ani nie obchodzą, ani szkodzą.

Zahorski wyszedł od niego w wybornym nastroju i pełen otuchy.

Po konferencji z Wolińskim wszystkie męczące przedtem niepewności i obawy opadły z niego i rozwiały się w wirze optymistycznych nadziei...

Wracał do domu z stanowczą już decyzją kupna placu jak najprędzej. Zbudziła się w nim ożywiająca go energia i gorączka czynu, pod wpływem której radby natychmiast, bez żadnej zwłoki, wziąć się do zakładania fundamentów przyszłej fortuny.

A tak mu działać było pilno, że powróciwszy do domu, zamierzał już posłać po Sieradza i wezwać, aby przybył niezwłocznie, gdyż nie spodziewał się go, jak za dni parę dopiero—taki mu bowiem termin naznaczył. Tymczasem ten, jakby uprzedzając życzenia, tegoż jeszcze wieczoru wcisnął się do kuchni i prosił, aby go dopuszczono przed pańskie oblicze.

— Aa... pan Sieradz! — zawołał Zahorski, nie ukrywając swego zadowolenia.

— Kłaniam się pięknie wielmożnemu dziadzi-- odparł faktor uniżenie, zginając się do ziemi prawie.

— Co mi powiesz, łaskawco?

-- Ja przyszedłem pokornie prosić o te

kosztorysy. Wielmożnemu dziedzicowi one już pewno niepotrzebne?

— A cóż ci tak pilno?

— Nu, bardzo tak pilno to nie jest; tylko że te rachunki to ja chciałem pokazać jednemu, co prosił bardzo... on sobie buduje dom, to on potrzebował zrobić sprawdzenie, czy mu budowniczy, taki bardzo jeszcze młody budowniczy, nie policzył za wiele—mówił pan Jakób z miną najdobroduszniejszą w świecie.

Tymczasem w tem, co mówił, nie było ani słowa prawdy. Przyszedł on tu, z góry wiedząc, że go Zahorski będzie potrzebował, gdyż wiedział i o tem, że konferował z dwoma architektami, z których ostatnim był Woliński. Wiedział nawet o rezultacie ich konferencji, gdyż w tymże czasie, wypadkowo czy też umyślnie, zbliżał się do domu, gdzie mieszkał Woliński, i to w tej właśnie chwili, gdy z bramy wychodził Zahorski w wybornym, jak mógł to zauważyć, nastroju, z głową do góry wzniesioną, z postawą pewną siebie.

Dostrzegłszy go, Sieradz schował się do sieni sąsiedniego domu i kilka chwil tam przeczekał, poczem natychmiast udał się do Wolińskiego, którego znał dobrze, gdyż załatwiał z nim różne interesa budowlane w imieniu swego mocodawcy, Liebkinda.

Przyjęto go też bezzwłocznie.

O czem mówili z sobą półgłosem, przy

zamkniętych drzwiach gabinetu, trudno wiedzieć; to tylko pewna, że Woliński powtórzył mu prawie dosłownie rozmowę z Zahorskim, być może, nie podejrzewając nawet, jak dalece mogło to interesować pełnomocnika Liebkinda; a zresztą, gdyby i wiedział, nie miałby potrzeby czynić tajemnicy z rozmowy, która tajemnicą żadną nie była; zresztą nie o jednym takim interesie rozmawiał z Sieradzem, jako ze znajomym i stałym klientem, działającym wprawdzie w imieniu osób trzecich, lecz bardzo pożytecznym i potrzebnym w swej roli wytrawnego i doświadczonego faktora.

Dowiedziawszy się tego, co mu było potrzeba, Sieradz postanowił „kuć żelazo, póki gorące“ i korzystać z dobrego nastroju Zahorskiego,—dlatego też i przyszedł tak w porę, zręcznie się zamówiwszy o pozostawione kosztorysy robót.

Zahorski wszakże nie miał ochoty z nimi się rozstawać i dlatego odparł:

— Jeśli nie pilno, to niech jeszcze zostaną u mnie; nie miałem czasu w nich się rozpałtrzyć. No, a cóż z tym placem, do kupna którego tak mnie namawiałeś?

— Ja namawiałem? Uchowaj Boże! Ja tylko radziłem pokornie wielmożnemu dziedzicowi; a że to był dobry interes, najlepszy tego dowód, że Liebkind dostał już kupca na ten plac.

— Jaktóż już go sprzedał? A przecież mnie go proponowałeś?—zawołał Zahorski z odcieniem pewnego niezadowolenia w głosie.

— Nu, on jeszcze nie sprzedał, ale nie dziś, to jutro sprzeda; takich rarytnych placów na dwie ulice i dwa fronty to już niewiele... każdy chce kupić.

— Hm!... jabym się może i zdecydował—odezwał się Zahorski.

— Oj, oj! czemu nie? Ja wielmożnemu dziedzicowi radziłem i radzę, tylko trzeba się śpieszyć, bo on sprzeda, lub też zechce drożej. To wielki geszefzman ten Liebkind... On, jak się uprze, to niema co z nim gadać.

— Śpieszyć, nie śpieszyć... trzeba wprzód pojechać plac obejrzeć.

— To wiadomo, że trzeba.

— Jutro mógłbym to zrobić. Trzeba, panie Sieradz, żebyś przyszedł i poczekał na mnie, a ja przyjadę.

— Jak wielmożny dziedzic każe; tylko jeśli z tego co ma być, to ja muszę zaraz pojechać do Liebkinda, coby on nie śpieszył bardzo z tamtym kupcem. Ja mu już powiem, to on poczeka.

— W takim razie jedź—zgodził się Zahorski,—a kosztorysy niech jeszcze zostaną.

— Niech one zostaną!—powtórzył Sieradz, i udając wybornie wielkie zaaferowanie, pośpieszył ku wyjściu.

— Więc jutro w południe bądź na miejscu; przyjadę napewno—rzucił mu Zahorski na odchodnym.

— Jak wielmożny dziedzic każe...

— A więc kości rzucam! — powiedział do siebie Zahorski po wyjściu faktora i poszedł do żony zwierzyć się jej z swego postanowienia.

Pani Zahorska ucieszyła się z tego niezmiernie, tem więcej, że już zdążyła przed dwoma jeszcze dniami pochwalić się przed którąś z „przyjaciółek,” że mąż zamierza budować ogromną kamienicę, że już plac kupił i zamówił materyały. Mówiła o tem jako o rzeczy pewnej i już dokonanej, i widziała dobrze, że ta wiadomość wysłuchaną była z pewnego rodzaju zawiścią.

Dama bowiem głęboko westchnęła i potem dopiero zaczęła pani Zahorskiej winszować i życzyć mężowi powodzenia, mówiąc:

— Słyszałam, słyszałam, że to bardzo a bardzo korzystne; nie każdy jednak rozporządza, tak jak państwo, potrzebnym na to kapitałem... Mój mąż również marzył o tem, trafiła mu się nawet propozycja bardzo korzystna, lecz, niestety! musiało się skończyć tylko na projektach. Winszuję więc--dodała z nagłym wylewem niezmiernej czułości i porywczą wycalowała obydwie policzki pani Zahorskiej, iakby chcąc tem zatrzeć samo w sobie zawistne

uczucie, jakie w pierwszej chwili w niej się zjawilo.

Musiała to zrozumieć i odczuć pani Zahorska, gdyż na pocałunki odpowiedziała wielce serdecznym uściskiem, jakby dziękując gorąco za ten przejaw zawiści, w danych okolicznościach niezmiernie dla niej przyjemny.

— Tak samo zazdrościć będą i inne...— powiedziała do siebie z uczuciem wielkiego zadowolenia.

Teraz przeto, gdy mąż zwiastował jej dobrą nowinę, zadowolenie to wyraziło się jeszcze silniej, a odczuł to najdowodniej pan Zahorski, gdyż żona uścisnęła go mocno i ucałowała wielokrotnie, z porywem młodości, dawno już, niestety! dla nich obojga minionej.

W tej chwili do pokoju wszedł Władysław, który od czasu ujawnienia owego nieszczęsnego weksłu miał minę przygnębioną i całymi prawie dniami przesiadywał u siebie w pokoju.

— Dobrze, że cię widzę, mój Władziu, chcę bowiem, żebyś jutro ze mną pojechał obejrzeć plac, który kupić zamierzam. Mam nadzieję, że gdy kupno dojdzie do skutku i zaczę budować, weźmiesz się ochoczo do pracy i będziesz mi pomocnym.

— Może ojciec liczyć na mnie najzupełniej—odparł Władysław i ucałował rękę ojca.

Czuł się wobec niego nieco onieśmielonym, i to tem więcej, że ojciec, chociaż wiedział o we-

ksłu i miał go zapłacić, nie uczynił mu dotąd żadnej wymówki, żadnej nawet alluzji, lecz jedynie w obcowaniu z synem zachował pewną surową powagę ojcowską.

Gnębiło to Władysława więcej, niż najstraszniejsze wymówki—czuł się bowiem winnym, a nie miał możliwości ani pretekstu do usprawiedliwienia się, ojciec zaś umyślnie unikał z nim wszelkiej poufniejszej rozmowy.

Teraz wszakże Zahorski łaskawiej jakoś przemawiał do syna, gdyż pochwaliwszy jego gotowość do proponowanego mu udziału w pracy, powiedział jeszcze:

— A przyda ci się to tem więcej, że praca będzie owocną i że wtajemniczywszy się w jej arkana, zdobędziesz doświadczenie praktyczne i samodzielność, oraz niezależność finansową, której brak dotkliwie nieraz daje ci się odczuwać; ja to rozumiem więcej, niż przypuszczasz, i na równi z tobą rad będę, gdy zdołasz sobie niezależność tę własną pracą zdobyć. Daję ci atuty do ręki, twoją zaś rzeczą będzie umieć z nich skorzystać.

— Nie zawiedziesz się na mnie, mój ojciec—odparł Władysław tonem pewnym, z wielką powagą i zaczął z pewną znajomością miejscowych stosunków przedstawiać wszelkie szanse i trudności projektowanego przedsiębiorstwa, aby ono przynieść mogło spodziewane korzyści.



— Jak widzę, nie są ci obce te sprawy— zauważył ojciec z zadowoleniem.

— Miałem sposobność zapoznać się z nimi z dzienników, oraz z pogawędek, prowadzonych na ten temat na naszych męskich zebraniach.

— No, proszę! nie przypuszczałem nawet, że przy kieliszkach szampana możecie zajmować się takimi sprawami!—zawołał Zahorski.

Uśmiechnął się Władysław.

— Bo też i nie na kolacyjkach z szampantem o tem się mówiło; w interesa te wtajemniczał mnie młody Rudowski, któremu ojciec oddał na własność największe cegielnie w okolicach Warszawy...

— Rudowski? Nazwisko to jest mi znane; czy to nie z tych Rudowskich, którzy wywodzą się z Radomskiego?

— Z tych samych.

— To dobra szlachta, a i fortunę mieli tam pokazać.

— Mają ją i dziś jeszcze, prócz tego majątek w okolicach Warszawy: dwa piękne folwarki, a przy jednym z nich ogromna cegielnia.

— To bogaci ludzie!

— Bardzo nawet... Rudowski trzyma konie wyścigowe.

— A wiesz, że ta znajomość może się nam bardzo przydać, chociażby przy dostawach cegły; swój swemu mógłby taniej ustąpić.

— Rudowski proponował mi nawet kie-

dyś, żartem wprawdzie, dostawę kilku milionów cegieł po cenie kosztu... Kto wie, może i naprawdę zgodzi się coś ustąpić, więcej niż innym. To bardzo dobry i wesoły chłopiec.

— Zdaje mi się, że był kiedyś u nas, re-wizytując cię?—zapytał Zahorski.

— Chyba nie, gdyż i ja u niego dotąd nie byłem, chociaż zapraszał...

— A to źle! z takimi właśnie należy utrzymywać bliższe stosunki, tem więcej, że, jak widać, to dzielny młodzieniec: zamożny, a mimo to prowadzi sam tak poważne przedsiębiorstwo.

— No, tak bardzo znów to on nie zapracowuje się; w cegielni jest główny zarządzający, dobrze płatny, on zaś ma niby zwierzchni nadzór i zgarnia zyski, które wydaje znów na stajnię wyścigową—odparł Władysław.

— I w tem nie widzę znów nic złego—zauważył Zahorski, pobłażliwie traktując tę wielkopańską zabawkę, której sam za młodu hołdował, i to z wielkim nakładem kapitału.— Jak kto ma na to, może sobie pozwolić; zawsze to jedna z szlachetniejszych rycerskich rozrywek. W każdym razie trzeba, żebyś złożył Rudowskiemu wizytę i zaprosił go do nas. Radbym go poznać.

— Owszem, z całą chęcią; pragnąłbym i sam zaprzyjaźnić się z Rudowskim; przypadł on mi do gustu więcej niż inni; trzymałem się wszakże dotąd z daleka, krępując się wydatka-

mi—dodał Władysław, a głos jego drgnął, gdy to mówił... przypomniał sobie bowiem ów dług fatalny; spuścił więc wzrok i zamilkł.

Zahorski udał, że nie spostrzegł zakłopotania syna, gdyż zapytał swobodnie:

— Żyje bardzo zbytkownie?

— Nie tak znów bardzo, lecz z groszem się nie liczy...

— Ha! i w tych warunkach nawet można stosunek podtrzymać, nie narażając swojej miłości własnej. Źle byłoby, żeby różnice majątkowe wykluczały stosunki towarzyskie; jedni mogą mieć więcej, drudzy mniej, a przecież żyć ze sobą mogą i powinni... nie jesteś przecie byle kim, a Zahorskim... Zresztą, da Pan Bóg, że i nam lepiej będzie się powodzić. No, a teraz dość tej gawędy, a o jutrze pamiętaj; punkt o dwunastej wyjedziemy. Z Rudowskim zaś należy podtrzymać stosunek — dodał Zahorski i wyszedł z pokoju żony, aby się udać, jak zwykle o tej porze, na gazety do pobliskiej cukierni.

— Ten Rudowski to mi się podoba—odezwała się niespodzianie panna Ludwika, najstarsza córka Zahorskich, dziewiętnastoletnie dziewczę, hoże i świeże jak dopiero co rozwinięty pąk róży herbacianej, do której cerą swą i nadzwyczajną delikatnością skóry była podobna.

Nie była piękną, gdyż nie miała rysów

regularnych, w wyrazie jednak jej oczu, w ożywionej grze rysów, w poruszeniach długich, ciemnych rzęs, opadających z jakąś zagadkową tajemniczością na oczy—tyle było wdzięku dziewiczego, że każdemu podobać się musiała. Kształt zresztą całej głowy, okolonej bujną falą przepysznych, ciemnych włosów i osadzonej na bardzo ładnej, o klasycznych liniach szyi—był bez zarzutu i wywoływał, na pierwszy szczególniej rzut oka, wrażenie skończonego piękna.

Odezwanie się panny Ludwiki, której obecności nikt dotąd nie zauważył, gdyż siedziała cichutko w głębokim fotelu, pograżonym w cieniu portyery — wywołało zdziwienie pani Zahorskiej i Władysława.

— A ty skąd znasz Rudowskiego, moja Ludko?—zapytała matka tonem surowym.

— Nie znam go wcale — odparła, śmiejąc się.

— A mówisz, że ci się podoba.

— Podoba mi się z tego, co o nim opowiadał Władzio, a nawet podobał mi się i z powierzchowności.

— Więc go widziałas?

— Na wiosennych wyścigach: stał przed naszą lożą z drugim jakimś panem i lornetował zawzięcie.

— Skądże wiesz, że to był Rudowski?—zapytał Władysław.

— Stąd, że po chwili ktoś, przechodząc koło niego, dotknął jego ramienia i powiedział: „Rudowski! winien mi jesteś sto rubli, gdyż stawiałem na twego Alhallę i przegrałem.“ Na to ten się rozśmiał i odparł: „Ja więcej, mój hrabio!“ „Odbijesz to na swej cegle“— odpowiedział ów hrabia.

— Tak, to był on, gdyż istotnie puszczał na wiosnę Alhallę, konia pełnej krwi, który go bardzo drogo kosztował, a który w pierwszym zaraz biegu zerwał ścięgno w nodze i nie mógł dojść do mety. Zabawka ta z Alhallą kosztowała go dziesięć tysięcy rubli, włączając w to i wartość konia — objaśnił Władysław.— Że ty jednak, moja Ludko, tak dobrze zapamiętałaś każde słowo z przelotnej ich rozmowy.

Dziewczyna zarumieniła się jak wiśnia, szybko wszakże zapanowała nad swem zmieszaniem i odparła:

— Nic dziwnego. Tak zawzięcie lornetował naszą lożę, tak starał się zwrócić na siebie uwagę, że mimowoli zapamiętałam to, co mówił z tym jakimś hrabią... Zresztą podobał mi się: wysoki szatyn, zgrabny i przystojny — mówiła panna Ludwika rezolutnie, nadrabiając minką i wytrzymując śmiało badawcze spojrzenia matki i brata.

— Jak widzę, panienka strzelać już umie oczkami—zażartował Władysław.

Na ten żart wszakże dziewczę zapłonilo się i odparło gniewnie niemal:

— Proszę cię, Władziu, licz się z tem, co mówisz; ja nie strzelam oczkami, lecz patrzę — dodała z naciskiem;—jeśli zaś kto natrętnie mi się przygląda, to nie moja wina.

Tu pani Zahorska uważała za stosowne wmieszać się do rozmowy i stanąć rzekomo w obronie córki, a właściwie złagodzić ostrzejszy ton rozmowy, na jaki się zanosilo. Ludka bowiem, jej pieszczoszka, była żywa jak ogień i nie pozwalała nikomu, a szczególnie bratu, na żadne względem siebie docinki lub żarciki, dlatego więc, spojrzawszy porozumiewająco na syna, powiedziała:

— Ludka ma słusność, jest przytem za dumna na to i za dobrze wychowana, by miała umyślnie zwracać na siebie czyjąś uwagę. Tu winien jest tylko ten twój Rudowski, który, jak twierdzi Ludka, niegrzecznie i natrętnie lornetował naszą lożę... Teraz i ja go sobie przypominam, jak również i to, że jego zachowanie się niezupełnie było *correct*...

— Nie wiedział przecież, kto jesteśmy, a łatwo mógł się pomylić wobec niezliczonej ilości wyróżzowanych a bardzo dwuznacznych dam, jakich pełno było w lożach wyścigowych. Tu, jeśli kto winien, to Władzio, który, kupując lożę, powinien był się z tem liczyć i wybrać po prawej stronie trybuny, gdzie, jak zauważyłam, siedzą

zwykle panie z towarzystwa; a gdy już tak niefortunny uczynił wybór, nie powinien był przez cały czas wystawać przy okienku totalizatora, lecz siedzieć z nami. Nie byłby wówczas zgrał się i Rudowski nie śmiałyby nam tak natrętnie przyglądać się—powiedziała panna Ludwika rezolutnie.

— Brawo, Ludko! a toś mu dała odprawę!... Nie wiedziałam, doprawdy, że potrafisz tak szybko oryentować się w sytuacji; co do mnie, to nie zwróciłam nawet uwagi na ten rozdział towarzyski w trybunach wyścigowych — powiedziała pani Zahorska, rada w duchu z tej bystrości spostrzegawczej i rezolucji córki. — Da ona sobie radę w życiu!—dodała w myśli.

Czy tego samego o siostrze był zdania i Władysław, trudno wiedzieć; nie omieszkał wszakże skorzystać ze sposobności, aby jej dociąć, gdyż odezwał się uszczypliwie:

— Jak na swoje lat dziewiętnaście, jesteś już bardzo doświadczoną...

— Lepsze to, aniżeli bezbrzeżna naiwność życiowa. Minął już czas mody na gąski; a chociażby ona miała trwać jeszcze, ja gąską nie jestem i być nie chcę.

— Nie kłóćcie się, dzieci — wmieszała się pani Zahorska; — ty zaś, Ludwiniu, pójdź ze mną, pomożesz mi przeliczyć srebra.

— Dobrze, mamó—odparła ochoczo, rada,

że tym sposobem przy niej zostanie ostatnie słowo w przemówieniu się z bratem.

Wyszły.

Po chwili z dalszych pokojów doleciał Władysława głos kobiecy, wyrzucający śmiało pełne, okrągłe nuty czystym i dźwięcznym sopranem. Był to jakiś dramatyczny urywek operowy, z efektownym końcowym finałem, który wyrzucony był pełną piersią, z siłą niezwykłą.

— Ten mały szerszeń ma dziwny nerw w dźwiękach głosowych, co drażni i podnieca... A to się bardzo podoba. Gdyby nie była Zahorską, mogłaby zrobić karierę na scenie—powiedział do siebie.—W każdym jednak razie jej talent starczy za dobry posag.

Istotnie panna Ludwika miała piękny, metaliczny sopran, jeszcze niewyroblony i dość surowy, lecz wywołujący silne wrażenie.

— Wie o tem i dlatego jest tak pewną siebie — myślał dalej, a jednocześnie przypomniał mu się Rudowski.—Kto wie, może, gdy się poznają, coś z tego się ułoży... Byłoby to bardzo dobre, nie tylko dla Ludki, ale i dla nas. Muszę go wizytować — zdecydował w myśli, gdy nagle przypomniał sobie, że może go dziś jeszcze zobaczyć w teatrze.

— Pojadę! Już mi się znudziło siedzieć w domu—powiedział głośno, i rzuciwszy okiem w lustro i przekonawszy się, że jego powierzchowność jest, jak zresztą zawsze, bez zarzu-



tu, wziął kapelusz, palto i laskę, a po chwili siedział już w dorożce, która jakby na niego czekała, gdyż dorożkarz, zobaczywszy Władysława wychodzącego z bramy, zaciął ostro konie i stanął w pogotowiu.

— Do teatru!

— Słucham jaśnie pana!

Była już godzina 3-cia nad ranem, gdy Władysław w podnieconym mocno humorze powrócił do domu.

Nie był wszakże rad z wieczoru, gdyż, jakkolwiek bawił się wybornie w towarzystwie Rudowskiego i dwóch jeszcze młodych panów, to wszakże kosztowało go przeszło dwadzieścia rubli—ostatnie pieniądze, jakie posiadał w kieszeni.

— Tak! chcąc żyć znośnie, trzeba mieć dużo pieniędzy!—zdecydował w swej ociężalej od libacyi głowie.—Na szczęście, że ojciec pomyślał o zwiększeniu naszych dochodów... Cegłę można brać na kredyt... ojciec się ucieszy—mówił do siebie nawpół świadomie, tonąc już w sennem znużeniu.

---

#### IV.

Nazajutrz w samo południe Zahorski w towarzystwie niewywczasowanego jeszcze Wła-

dysława jechał w kierunku południowo-zachodniej strony miasta, gdzie leżał ów plac... nadzieja przyszłej fortuny.

Przejeżdżali przez ulice puste, zaledwie wytknięte niedawno, okolone na prędcie skleconymi parkanami, poza którymi roilo się jednak od ludzi wyrobnych, zajętych krecią robotą rozkopywania ziemi na ogromnych przestrzeniach i usypywania z niej w pobliżu długich wałów, kurhanów i wzgórz. Obok leżące stosy cegieł, gliny, wapna niegaszonego wskazywały na cel ostateczny tego grzebania się w ziemi, od lat setek nieporuszonej, na której do niedawna zieleniły się ogrody i sady. Gdzieniegdzie stały nawet jeszcze drzewa, pokryte już kwiatem, które, zapomniane widocznie, stały samotne i jakieś smutne, jakby w przeczuciu swej blizkiej, ostatecznej zagłady.

Widok ten sprawiał na Władysławie przygnębiające wrażenie.

— Jakże tu pusto i jak smutno!—odezwał się, tłumiąc ziewanie.

— Nie tak znów pusto; praca wre wszędzie i za rok, za dwa najwyżej, na tej pustce wyrosną olbrzymie kamienice, ulica się zaludni i zaliczoną zostanie do pryncypalnych—odparł Zahorski, wyrażając głośno ostatnią konkluzję swych myśli, jakie zbudziły się w nim na widok tych robót przygotowawczych, jakie tu

i owdzie dały się widzieć, o ile na to pozwalała wysokość parkanów.

— Dokądże my jedziemy? Przecież to prawie już koniec miasta—zauważył Władysław.

— W dawnych jego granicach — uzupełnił Zahorski, pobłażliwie się uśmiechając z widocznego zniechęcenia syna. I onby wprawdzie wolał, żeby plac, który kupić zamierzał, nie był tak odległym; ale cóż robić! tu place są niezmiernie drogie—myślał, a głośno dodał: — Ani jednego placu niema już tu do sprzedania.

— Skądże ojciec wie? — zdziwił się Władysław.

— Na parkanach zwykle piszą: „place do sprzedania,“ a tu nie widziałem ani jednego napisu.

— To jeszcze nie dowód; właściciele mogą w inny sposób szukać nabywcy, chociażby za pomocą ogłoszeń w pismach.

— Przeglądałem od kilku tygodni, i ani jednej oferty nie znalazłem; są wprawdzie jeszcze place na sprzedaż, ale za rogatkami, gdzie ruch budowlany również się ożywił.

— Hm!... ale przyznam się ojcu, że nie chciałbym za nic mieszkać w tych stronach, na krańcach miasta.

— To też nikt cię zmuszać nie myśli; zresztą tu o co innego mi chodzi... My, Bogu dzięki, mamy własny dom, gdzie, jak dotąd, bardzo

nam dobrze; tu zaś można mieć kamienicę dochodową, dobrze rentującą...

— Ja to pojmuję, mój ojczy—odparł Władysław poważnie,—lecz, bądź-co-bądź, trzeba mieć dozór nad budową, a to ogromny kawał...

— Bądź spokojny; zresztą niema o czem mówić przed czasem... jedziemy dopiero plac obejrzyć! Leczą otóż i Sieradz... czeka nas; jesteśmy na miejscu—zawołał Zahorski i uczuł nagle jakiś dziwny niepokój i silniejsze, bardziej przyspieszone uderzenia serca.

— Kłaniam się pięknie wielmożnemu dziedzicowi! — odezwał się Sieradz, podbiegając do dorożki, która się w tej chwili zatrzymała.

— Witam, witam! Nakryjże pan głowę, łaskawco. Ależ to ogromny sztuk drogi, koniec już miasta!

— Wielmożny dziedzic żartuje!... Koniec? jaki koniec? Tu prędzej początek, sam środek, a tamta stara Warszawa to tfy!... Jakie tu powietrze jest! — zachwycił się pan Sieradz, wdychając pełną piersią powietrze i uwydatniając zarazem na swej twarzy rozkosz, jaką odczuwa.

Władysław rozśmiał się głośno i powiedział:

— Nic dziwnego... tu przecież otwarte prawie pole.

— Ale jak się to zabuduje, to będzie miasto—odparł Sieradz porywczo.

— Wówczas jednak nie będzie już dobrze powietrza...

— Pan łaskawy wciąż żartuje! Jak będzie miasto, sam jego środek, kto to będzie myślał o powietrzu? O lokatorach się wtedy myśli, o hipotece, o dochodach na piętnaście procent!...

— Z tobą, łaskawco, nikt się nie dogada!— przerwał mu Zahorski — chodźmy lepiej obejrzeć plac.

— Owszem, bardzo proszę; niech wielmożny dziedzic pozwoli. Ja pójdę naprzód i pokazywać będę drogę—ożywił się faktor i otworzył na rozcież furtę w parkanie, mówiąc:— tędy będzie lepiej; my przejdziemy przez posesję jednego bogatego fabrykanta, który ma tu budować dla siebie wielki pałac, a trochę dalej to będzie nasz plac... to jest wielmożnego dziedzica—poprawił się szybko.

Droga wiodła przez błotnistą, wąską ścieżkę pod samym parkanem.

Zahorski odważnie brnął po błocie, Władysław jednak klął w duchu i trwożliwie patrzył na swoje eleganckie lakierki, które zmuszony był unurzać w błocie.

Nie było jednak rady—trzeba było poświęcić lakierki; z rezygnacją więc wszedł na ścieżkę.

— Mógłbyś pan też nas być uprzedzić, że tu takie błoto—zawołał z niezadowoleniem, gdy poczuł na nogach przykry chłód wilgoci.

— Przepraszam bardzo, ale to nic; ja sam obetrę mokrą chustką kamaszki, to one będą znów błyszczeć jak nowe, a z powrotem to można kazać zajechać z drugiego frontu; tamtędy przyjedzie i sam Liebkind.

— Trzebaż było, do licha! i nas tamtędy poprowadzić!—zmonitował go Władysław dość szorstko.

— Daj pokój!—rzekł z cicha Zahorski—mniejsza o lakiery... Jaka tu ziemia przepyszna!... ogrodowa!... I to się marnuje — dodał półgłosem i westchnął, przypomniawszy sobie utracony majątek ziemski, odwieczną kolebkę rodu Zahorskich.

Uczuł nagle jakby wstyd mimowolny, że on, ziemianin z dziada pradziada, wzrosły w tradycjach starszylacheckich, puszcza się dziś na spekulacye budowlane, pozazdrościwszy zysków żydom i różnym aferzystom z pod ciemnej gwiazdy.

Szybko się wszakże opanował i stłumił niewczesne refleksye, powiedziawszy do siebie:

— Trudno!... nowe czasy, nowe prądy i potrzeby... Niema co się rozczulać nad przeszłością.

Doszli wreszcie do furtki w parkanie.

— To tu!—ozwał się Sieradz i na rozcień ją otworzył.

Weszli do sadu, pełnego drzew owocowych, z których wiele okryło się już kwieciami.

I znów ścisnęło się w Zahorskim serce na myśl, że piękne te drzewa, zbudzone wiosną do życia, trzeba będzie brutalnie pościnać i że to stanie się za jego sprawą.

I ta wszakże myśl wydała mu się po chwili śmieszna.

— Nie, ja, to inny! — powiedział do siebie i zaczął uważnie rozglądać się wkoło, przyczem mierzył równym, wprawnym krokiem rozległość placu.

Wychodził on, jak o tem uprzedził Sieradz, na dwa fronty, z których jeden dotykał ulicy przyszłości, będącej dopiero w zarysie regulacyjnym, na której wszakże wszystkie prawie place były już wyprzedane.

Zapewniał o tem Sieradz uroczyście i wymieniał nazwiska właścicieli, kładąc szczególny nacisk na nazwiska osób bardziej znanych: bogatych przemysłowców, bankierów, szlachty — pośród której znalazło się i dwóch hrabiów.

— Nu, tu jeszcze dziś pusto, ale za rok, za dwa, to będzie taka ulica jak Nowy-Świat, a nawet ładniejsza, bo tu wybudują wielkie kamienice, prawdziwe pałace.

Obejrzenie placu zostało szybko ukończone i Zahorski zabierał się już do odwrotu, lecz Sieradz zatrzymał go uniżoną prośbą:

— Jedną jeszcze chwilkę niech wielmożny dziedzic się zatrzyma; nadjedzie zaraz Liebkind; on bardzo prosił, żeby panowie poczekali.

— Jeśli chciał nas widzieć, mógł przyśpieszyć swój przyjazd — powiedział Władysław z pańską wyniosłością; — trudno, żebyśmy tu w polu mieli czekać.

Przez usta Sieradza przemknął ledwie dostrzegalny, złośliwy uśmiech, który jednak natychmiast zniknął, a twarz jego przybrała wyraz pokorny i dobroduszny.

— On ma bardzo wiele interesów—usprawiedliwiał swego mocodawcę i pryncypała.

— A cóż to nas może obchodzić?—odparł Władysław tonem lekceważącym, który nawet Zahorskiemu wydał się niewłaściwym, gdyż zwrócił się po francusku do syna z uwagą, żeby nie okazywał daremnie niezadowolenia przed człowiekiem, który ostatecznie nic tu nie zawinił.

Władysław zagryzł usta, i usiadłszy na ławeczce pod parkanem, pograżył się w absolutnem milczeniu.

Upłynęło jeszcze kilka minut, aż wreszcie dał się słyszeć turkot nadjeżdżającego powozu.

— Jedzie, jedzie!—zawołał radośnie Sieradz i ożywiony wybiegł na ulicę przez furtkę drugiego frontu.

Stał już przed nią wspaniały, błyszczący powóz, zaprzężony w dwa piękne rumaki powozowe, z arogancko imponującym stangretem na koźle, Niemniej okazale wyglądał i właści-



ciel powozu, sam pan Dawid Liebkind, rozpar-ty wygodnie na miękkich poduszkach.

Gdy powóz zatrzymał się, nie uczynił on najmniejszego poruszenia, żeby wysiąść, i pozostał tak dotąd, póki nie podbiegł do stopni powozu Sieradz i nie oświadczył, że „panowie czekają już,“ przyczem nisko się skłonił.

W całym zachowaniu się Sieradza, w jego unizoności niezmiernej przed Liebkindem, z którym zwykle bardzo poufale obcował, znać było tym razem umyślną manifestację, mającą na celu okazanie, jak dalece można i znaczącą osobą jest jego pryncypał.

Liebkind przyjął te oznaki unizoności i płaszczenia się jako dań sobie należną, obojętnie i z lekceważeniem, wchodząc wybornie w rolę, przez Sieradza mu wskazaną.

Zrozumieli się od razu wybornie.

Gdy przeto Sieradz pośpieszył mu z pomocą, przyjął ją łaskawie i wsparł się mocno na jego ramieniu, jak człowiek, który nigdy inaczej z powozu nie wysiadał.

Wszystko to doskonale widzieli panowie Zahorscy przez uchyloną furtkę, z uczuciem wszakże wprost przeciwnem temu, jakie Sieradz wywołać w nich zamierzał; widok bowiem opasłego Liebkinda, pozującego na księcia, obudzić w nich mógł tylko uczucie wstrętu i obrzydzenia.

Zatarło się ono wszakże niebawem, gdy

Liebkind, zaprezentowawszy się im z swobodą człowieka obytego z formami towarzyskimi, wprost przystąpił do interesu, który ich tu sprowadził, i począł umiejętnie wyliczać korzyści, jakie przedstawiało kupno placu.

— Dlaczego więc pan sam nie buduje? — zagadnął go Zahorski.

— Dlatego, że ja mam już za dużo domów w Warszawie. Poco mi to? Jak się ma tyle na głowie, to dojrzyć wszystkiego niepodobna i człowiek stracić musi... Ja też chcę, żeby i inni zarobili... każdemu potrzeba... A co do pieniędzy... to niech pan dobrodziej nie kłopotuje się. Ja pieniędzy nie chcę zaraz. Pan sobie plac weźmie i będzie budować, a należność za plac pan spłaci, kiedy będzie mógł... Ja pieniędzy nie potrzebuję... Bogu dzięki, mam ich dość... i jak panu dobrodziejowi będzie potrzeba, to ja dam: trzydzieści, czterdzieści tysięcy... i nawet więcej... ja panu dobrodziejowi otworzę kredyt, jaki pan sam zechce; bo ja wolę mieć do czynienia z porządnymi ludźmi, z dobrą szlachtą, a nie z naszymi żydkami... To łapserdaki; oni budują oszukaństwem, stawiają domy tandetne, na które jabym grosza nie dał—mówił Liebkind z dobroduszną szczerością, uśmiechając się przyjaźnie.

Zahorski a również i Władysław słuchali go zdziwieni, nie wierząc własnym uszom. Ta dobroduszość bowiem i ufność, jaką im oka-

zywał, ofiarując nieograniczony prawie kredyt, budziła w nich wątpliwości i niedowierzanie. Wszakże Liebkind nie znał ich wcale, nie miał też żadnego widocznego interesu świadczyć im jakieś szczególne usługi, wiedzieli zaś z długoletniego doświadczenia, że we wszelkich stosunkach handlowych jedynym u żydów bodźcem i celem jest zysk. Tymczasem Liebkind zdawał się o nim wcale nie myśleć.

— To jakiś wyjątkowy żyd!—pomyślał Zahorski, głośno zaś dodał:

— Wszakże pan mnie wcale nie znasz, jakże więc możesz ofiarowywać mi kredyt tak znaczny?

— Pan dobrodziej się myli! Ja pana znam, ja wiele słyszałem... o, bo my żydzi mamy swoją tajną policyę, my wszystko wiemy; dlatego też ja z panem chcę mieć interes, bo to interes będzie dobry, bez ryzyka, i ja uczciwie zarobię, bo przecież od swego kapitału dostanę procent, a pan dobrodziej będzie miał też procent od budowy... słowem korzyść będzie... na dwa fronty, tak jak i ten plac jest na dwa fronty—dodał z uśmiechem.

— Wyjątkowy zaiste żyd! — mówił do siebie Zahorski, czując zarazem, że jego długoletnie uprzedzenie do żydów i nieufność względem nich łagodnieją i topnieją powoli.

— Zrobimy więc interes?— zagadnął Liebkind.

— Owszem, po to tu przyjechałem.

— Tak to lubię... między porządnymi osobami długiego mówienia nie potrzeba... dwa słowa i dosyć... A co do ceny placu, to my się zgodzimy. Sieradz już prosił o ustępstwo i ja ustąpię. Za ile ja potrzebuję ustąpić? — zwrócił się do Sieradza.

— Pięć pięćdziesiąt...

— To za drogo; ja tyle nie dawałem — przerwał Zahorski.

— A ile pan dobrodziej dawał?

— Mógłbym dać najwyżej pięć rubli za łokieć...

— No, zgodzimy się... za pięć jednak nie można. Mnie samemu więcej kosztuje. Ja ustąpię... pół na pół... i niech będzie pięć dwadzieścia pięć.

— I na to zgodzić się nie mogę; uważam, że to za drogo.

Tu wmieszał się Sieradz i jał przekładać Zahorskiemu, że za tę cenę tak pięknego placu na dwa fronty nie kupi, że przed miesiącem dopiero sprzedany został plac sąsiedni, nie naróżny, po pięć dwadzieścia, i że jeżeli pan Liebkind ustępuje po pięć dwadzieścia pięć, to tylko dlatego, że on dla pana Zahorskiego ma wielką życzliwość i chce sprzedać jemu tylko.

Perswazyje te wszakże nie odniosły skutku, gdyż Zahorski stał na cenie pierwotnie ofiarowanej.

Sieradz gorączkował się, namawiał i przekładał, aż wreszcie wyczerpany umilkł i udał zagniewanego.

Liebkind również przybrał minę człowieka znudzonego i dotkniętego zarazem tym uporem szlachcica, któremu on okazał przecież wyjątkową życzliwość...

Zdawało się więc, że do zgody nie przyjdzie, gdyż Liebkind postąpił już kilka kroków ku furtce; pobiegł wszakże za nim Sieradz i zaczął mu coś gorąco przekładać...

Liebkind słuchał cierpliwie, niekiedy tylko kiwając głową, na znak, że rozważa pilnie przedstawiane mu okoliczności, aż wreszcie, gdy Sieradz skończył, zwrócił się raz jeszcze do Zahorskiego:

— No, ja jeszcze panu dobrodziejowi coś powiem... Ja nie chcę nic zarobić... ja tego nie potrzebuję, bo ja zwijam interesy budowlane, mam już tego dość... dlatego też ja sprzedam panu za tyle, co mnie samego kosztuje: za pięć piętnaście...

— Aj, aj!—wykrzyknął Sieradz z zachwytem.

— Ja mam kupca, który mi daje pięć dwadzieścia; on mnie prosi bardzo, żeby mu sprzedać, ale ja nie chcę, bo to łapserdak, dawny ichwiarz... on wybuduje tandetę, on pozarywa ludzi, on będzie chciał i mnie coś urwać... no to ja nie chcę tego kłopotu; ja wolę dziś kilkaset

rubli stracić, żeby potem nie mieć kłopotu... To moje ostatnie słowo! Jak pan dobrodziej chce, to kupi, a jak nie, to już ani grosza nie ustąpię—powiedział Liebkind i grzecznie się skłonił, żegnając panów Zahorskich.

Sieradz patrzył teraz na Zahorskiego z wielkim niepokojem, a jednocześnie dawał mu znaki porozumiewawcze, wymachując prawą ręką, którą zachęcał do zgody; aż wreszcie nie mógł widocznie już dłużej wytrzymać w biernej roli słuchacza, gdyż podbiegł na palcach i szepnął tajemniczo:

— Niech wielmożny dziedzic się zgodzi zaraz, natychmiast, bo Liebkind potem się rozmyśli... ja go znam... on ma czasami taki wielkopañski honor...

— Niech ojciec dobije już targu, nie o wiele się przecież rozchodzi—szepnął i Władysław.

— Niech więc będzie zgoda!—zadecydował głośno Zahorski.

— No, to dobrze! ja też rad jestem, bo chciałem, żeby pan dobrodziej kupił! — zawołał Liebkind, i podszedłszy do Zahorskiego, wyciągnął rękę na znak zgody, mówiąc:—Życzę panu dobrodziejowi dobrego interesu. Ja mam szczęśliwą rękę. Zresztą to złoty będzie interes... przekona się pan dobrodziej. A co do pieniędzy na budowę, to niech się pan o to nie kłopotuje... jak będzie potrzeba, Sieradz mi powie... ja

wszystko zrobię. — To rzekłszy, uściśnął silnie dłoń Zahorskiego, na znak, że obietnicy dotrzyma.

— Kiedy zrobimy umowę rejentalną?

— Kiedy pan zechce; dziś, jutro... wszystko jedno...

— A jakże będzie z wypłatą pieniędzy? — zapytał jeszcze Zahorski z pewnem onieśmieniem.

— Jak pan dobrodziej zechce... Zapisze się do hipoteki. — Ile pan dobrodziej ma „Towarzystwa?”

— Około trzydziestu tysięcy.

— No, to niech pan zostawi sobie miejsce na kaucyę na czterdzieści tysięcy zaraz po Towarzystwie, a dopiero po tej sumie umieści mój plac... Tak będzie dobrze? — zagadnął Liebkind z miną wspaniałomyślnego dobroczyńcy.

— Przepraszam! niezupełnie pojąłem tę manipulacyę hipoteczną.

— Ja panu zaraz wytłómaczę: Pan dobrodziej potrzebuje budować i potrzebuje mieć kredyt na budowę... no, to ja ten kredyt zostawiam czysty, na całe czterdzieści tysięcy... zaraz po Towarzystwie, a swoje trzydzieści tysięcy zahipotekuję niżej, na następnym numerze. Tym sposobem pan dobrodziej może komu zechce dać prawo na kaucyę, rozumie się takiemu, co będzie miał pieniądze i co zechce je dawać, gdy będzie potrzeba... Rozumie pan dobrodziej?

— Rozumiem — wybełkotał Zahorski zdumiony, nie chcąc wierzyć własnym uszom, by ktoś dobrowolnie, nieproszony o to, ofiarowywał tak bajecznie dogodne warunki. — Ależ to prawdziwy dobrodziej! — pomyślał, przejęty mimowolną wdzięcznością dla tego dobrodusznego bogacza żyda, który z taką wspaniałomyślnością ułatwiał mu pozyskanie kredytu.

— Zgadza się pan?

— Ależ naturalnie, że zgadzam się i dziękuję za względność, jaką mi pan okazuje.

— Niema za co — odparł Liebkind z niedbałością krezusa, dla którego kilkadziesiąt tysięcy rubli jest drobnostką.

— A na jaki procent zostawi pan sumę sprzedażną placu? — zapytał jeszcze Zahorski.

— Teraz pieniądz jest bardzo drogi, ale ja od pana niewielki procent wezmę: tylko ośm od sta. Mógłbym na ostatnim numerze żądać i wziąć dwanaście, ale ja nie chcę; dość będzie od pana dobrodzieja i ośm.

Zahorski nic nie odpowiedział, lecz głowa mu się pochyliła ku piersi na myśl, że wyniesie to rocznie około 2,500 rubli samego procentu; zakłopotania swego wszakże okazać nie śmiał, ani też zwrócić uwagę, że procent jest nieco za wysoki — tyle mu przecież Liebkind okazał względności...

Ten zaś, jakby odgadując jego myśli, powiedział:



— Ja panu dobrodziejowi ręczę, że na tym oto placu będzie zysku co najmniej tyle, ile plac kosztuje, i to w ciągu dwóch lat za ledwie.

— Daj Boże!—westchnął Zahorski.

— A może być i więcej... teraz domy szalenie idą w górę, tak, że na kupnie i sprzedaży można w ciągu miesiąca zarobić piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści tysięcy rubli, a cóż dopiero, gdy się samemu wybuduje!... To interes pewny i twardy jak brylant... Ja mam w tem wielkie doświadczenie, i jak pan dobrodziej zechce, to wszelką radą i pomocą służę... bardzo mi będzie przyjemnie tak godnemu panu być pomocnym...

— Dziękuję, bardzo dziękuję — mówił Zahorski, wzruszony niemal tą wyjątkową zaiste iusłużnością potentata-kapitalisty. Ucisnął mu też rękę mocno, serdecznie, zapomniawszy zupełnie, że ma przed sobą żyda, głośnego już w Warszawie aferzystę, o którego przebiegłości i chciwości słyszał już wiele rzeczy bardzo niepocholebnych.

W tej chwili wydało mu się to wszystko plotką i oszczerstwem, godnem tylko pogardy.

— Oszuści i wyzyskiwacze tak postępować nie mogą!—pomyślał.

Tego samego również zdania musiał być Władysław, gdyż podobnie jak i ojciec ucisnął dłoń pana Liebkinda.

— Bardzo mi przyjemnie, że przy intere-

sie zawarłem tak miłą z panami znajomość — odezwał się Liebkind z galanterią, żegnając się już z nimi.

Gdy powóz z nim odjechał, Sieradz zatarł ręce z radości i zawołał:

— A co? nie mówiłem wielmożnemu dziedzicowi, że Liebkind to bogacz, wielki pan?... My wszyscy dumni, że on jest z naszych.

— Istotnie! to, zdaje się, bardzo porządny człowiek — potwierdził Zahorski.

— Co to porządny?... On jak jaki książę, taki bogaty i hojny!... Dla niego kilka, kilkadziesiąt tysięcy rubli... to nic nie znaczy; on, jakby chciał, to mógłby dać sto i dwieście tysięcy na jaką filantropię, i nie poczułby nawet tego. On sam nie wie, ile ma pieniędzy! — zachwycał się Sieradz.

— No, no! przesadzasz, łaskawco! — zmitygował go Zahorski.

— Wielmożny dziedzic myśli, że tak nie jest? że Sieradz kłamie? Broń Boże! Przekona się pan dobrodziej sam, gdy będzie miał z nim interesa.

— A no, zobaczymy, zobaczymy! — odparł Zahorski, wsiadając już do dorożki, do której Sieradz skwapliwie i z uniżonością go podsa-  
dzał.

— Zdaje się, że ojciec dobry zrobił interes — odezwał się Władysław, gdy dorożka już ruszyła.

— Hm! to jeszcze przyszłość pokaże—odparł Zahorski głosem stroskanym.

Myśl o tem, że dobrowolnie zaangażował znaczny kapitał i własny spokój w sprawę budowlaną, w której żadnego doświadczenia nie miał—niepokoiła go.

— W każdym razie ten Liebkind znalazł się bardzo przyzwoicie. Nigdybym się tego po nim nie spodziewał — mówił dalej Władysław, zachwycony w duchu tą hojnością kredytową bogatego żyda i przejęty mimowolnem uszanowaniem dla łatwości, z jaką mógł on szafować kredytem.

— Ha! zobaczymy, zobaczymy... Dotąd były tylko piękne słówka. O ile rzeczywistość będzie do nich podobną, wtedy może nam się i uda powiększyć nasze skromne dochody.

— Udać się musi! — zawołał Władysław z zapałem. — Przecież nic nie ryzykujemy, kładąc kapitał w nową kamienicę, która będzie miała większą znacznie wartość... Idzie tylko o to, żeby budowli dopilnować, kupić tanio cegłę i inne materiały...

— Otóż to właśnie!... W tem możesz być bardzo pomocnym, obcemu bowiem nie zawsze zaufać można.

— Może ojciec liczyć na mnie... uczynię wszystko, co będzie potrzeba; żądny bowiem jestem działalności i pracy — odpowiedział Wła-

dysław gorąco, z mocnem przeświadczeniem, że tej działalności pragnął już od dawna.

Wierzył w to tem bardziej, że uśmiechała się mu istotnie pewnego rodzaju samodzielność pracy, podobna do tej, jaką mieli współtowarzysze jego zabaw i rozrywek, synowie bogatych przemysłowców. I on przecież będzie pracował u siebie, wspólnie z ojcem, a nawet zupełnie postara się go zastąpić.

Zahorski dostrzegł ten zapal i ucieszył się:

— Takim cię lubię!—Po chwili zaś dodał:— Trzeba, żebyś pojechał do Rudowskiego o tę cegłę.

— Niech ojciec będzie spokojny, mówiłem już z nim; dał mi słowo, że poczyni wszelkie możliwe ustępstwa.

Mówili jeszcze w drodze o innych niezbędnych zarządzeniach i roztrząsali szczegółowo wszelkie sprawy, dotyczące zamierzonego przedsiębiorstwa, czem tak się zajęli i ożywili, że nie spostrzegli, jak dorożka stanęła przed domem.

Czekała na nich pani Zahorska z niepokojem serca; gdy jednakże ujrzała ich w najlepszej harmonii i bardzo ożywionych, domyśliła się, że wszystko poszło dobrze.

Gdy zaś dowiedziała się jeszcze o wyjątkowo dobrych warunkach kupna i o ułatwieniu kredytu, złożyła ręce i westchnęła pobożnie:

— Chwała Panu Bogu!

— Bóg też nam pomoże!—dodał Zahorski pełen otuchy.

---

## V.

Formalności prawne zostały szybko załatwione u rejenta i w hipotece.

Zachowanie się Liebkinda było do samego końca bez zarzutu.

Utrzymał się on na wysokości zadania, gdyż nie tylko, że wypełnił to, do czego słownie się obowiązał, lecz nadto zgodził się chętnie na delikatną propozycję Sieradza, żeby kaucya hipoteczna wystawioną była na imię Liebkinda, a zarazem zobowiązał się, że do wysokości tej sumy otwiera Zahorskiemu kredyt na każde żądanie.

Zahorski więc miał ręce rozwiązane: posiadał już plac do budowy, posiadał rozporządzalny w każdej chwili kapitał do 40 tysięcy rubli i, jak przedtem, był właścicielem kamienicy.

Sytuacja więc finansowa polepszyła się na pozór bardzo znacznie.

Teraz chodziło tylko o to, żeby bez żadnej zwłoki rozpocząć budowę.

W tem wielce doświadczonym i nieocenionym doradcą okazał się Sieradz.

Nie darmo przecież Liebkind wyraził się

o nim poufnie, że był on jego prawą ręką we wszystkich sprawach budowlanych.

Przekonał się o tem rychło i sam Zahorski, gdyż Sieradz, oddawszy się całkowicie na jego usługi, od świtu do nocy był na nogach, chodząc za interesami przedsiębiorstwa.

Wszędzie go było pełno. On wyszukiwał i godził robotników, on czynił ostateczne zakupy materiałów budowlanych, on zarekomendował stróża do pilnowania i dozorcę do robót, za jego również sprawą i pośrednictwem znalazły się kosztorysy wspaniałej kamienicy u budowniczego Wolińskiego, już zupełnie gotowe, z uwzględnieniem rozmiarów placu i jego położenia na dwa fronty. On również przyspieszał sprawę zatwierdzenia planów w komisji budowlanej; słowem w każdej sferze działalności, mającej związek z przedsiębiorstwem budowlanem, Sieradz był wytrawnym, biegłym doradcą, wyrocznią niemal; to też Zahorski musiał w duchu przyznać, że bez niego nie dałby sobie rady, a przynajmniej rzecz cała opóźniłaby się o parę miesięcy, co, ze względu na konieczne rozpoczęcie budowy wczesną wiosną, miało niezmiernie znaczenie. Zyskiwało się tym sposobem cały prawie rok i o tyleż wcześniej zyskiwało się dochody z domu.

Wprawdzie, dzięki tak nadzwyczajnemu pośpiechowi, musiały się zmienić nieco obliczenia Zahorskiego, gdyż kamienica zaprojektowa-

na przez budowniczego kosztować miała prawie dwa razy tyle, aniżeli było w projekcie. Nie mogło być również mowy o ustąpieniu 2,000 łokci placu Sieradzowi, gdyż budowniczy Woliński udowodnił czarne na białem, że szkoda byłoby psuć tak pięknej posesyi, której zabudowanie według planu Wolińskiego było wprost niezbędnem, gdyż podnosiło jej wartość i rentowość o 50 procent.

— Ależ ja nie rozporządzam tak znaczną gotówką. Tymczasem pańskie obliczenia sięgają przeszło stu tysięcy rubli.

Woliński rozśmiał się głośno.

— Ależ, panie dobrodzieju!... mając taki plac, można bez grosza rozpocząć budowę; tymczasem pan dobrodziej posiada, jak sam wspominał, czterdzieści tysięcy rozporządzalnej gotówki... Z taką sumą jabym się podjął wybudować pałac za kilka kroć...

— W jaki sposób?

— W bardzo prosty: cegłę, glinę i wapno biorę na kredyt z małą zaliczką i buduję do pierwszego piętra, poczem dostaję na to zaliczkę i buduję drugie piętro i t. d. aż do czwartego piętra; gdy zaś cały gmach już stanie i pokryje się dachem, godzę się z przedsiębiorczymi majstrami: ciesielskim i stolarskim, i ci bez grosza zaliczki wykończą i wymuskają kamienicę jak pannę młodą, wiedząc dobrze, że posesye albo się sprzeda z dużym zyskiem, lub

też dostanie się na nią pożyczkę hipoteczną. Tak się teraz buduje, proszę pana, z tą różnicą, że zwykli spekulanci pozarywają dostawców, majstrów i robotnika, i nic im w końcu nie zapłacą, gdy tymczasem my zapłacimy wszystkim co do grosza. A chociaż przeciwko nadużyciom spekulacyi budowlanej wiele ujemnego dałoby się powiedzieć, to wszakże faktem jest, że dzięki jej Warszawa w ciągu lat kilku zabudowała się znacznie i że wielu sprytniejszych przedsiębiorców porobiło znaczne fortuny.

— Ale, jak pan sam powiada, z krzywdą ludzi biedniejszych?

— Zapewne, lecz doniosłość tej krzywdy maleje wobec jej rozdrobnienia na tysiące ludzi; tymczasem fortuny zostały; i są i to bardzo znaczne, a przy nich wiele ludzi będzie się żywić przez długie lata—dowodził Woliński, ani razu nie zaciąwszy się przy tym materyalistycznym wykładzie najnowszej, oszukańczej teoryi ekonomii politycznej, według której można było pozarywać i zrujnować setki i tysiące biednych ludzi, aby przysporzyć ogółowi jedną większą fortunę i tym sposobem zwiększyć majątek społeczny.

Zresztą teorya ta nie była nową—wyznawali ją bowiem od dawien dawna żydzi, twórcy wielkich fortun i potęgi finansowej, którą ujarzmili świat cały.



Zahorski, słuchając tego wykładu, uczuł jakiś niesmak etyczny; lecz zapanował nad nim prędko, a uczyniwszy w duchu postanowienie, że uczyni wszystko, żeby nie tylko on sam, lecz i wszyscy, co z nimi dla niego pracować będą, nie mieli powodu do narzekań, lecz przeciwnie—osiągnęli możliwe korzyści i byli zadowoleni.

Co więcej, w pierwszej chwili przyszło mu na myśl, że może lepiej byłoby, gdyby zwrócił się do innego budowniczego, niebędącego wyznawcą tak ryzykownych teorii ekonomicznych, jak Woliński, lecz myśl tę rychło odrzucił, przypomniawszy sobie, że wszystko już z nim omówił, że zadatkował plany i że powierzył mu zwierzchni nadzór nad budową. Nie było więc wprost możliwości, a wreszcie i uzasadnionej przyczyny do zerwania umowy.

Zresztą Woliński miał opinię jednego z najlepszych budowniczych i olbrzymią praktykę, świadczącą o jego doświadczeniu w przedsiębiorstwach budowlanych, był nadto niezbyt wymagającym i kosztownym, ze względu, że miał klientelę bardzo liczną, która dawała mu, na ogół, po kilkadziesiąt tysięcy rocznie dochodu.

Wprawdzie inni budowniczowie psy na nim wieszali—być może z zawiści konkurencyjnej, lecz ta okoliczność nie mogła tak dalece obchodzić Zahorskiego, dlatego też machnął ręką

na zbudzone z razu wątpliwości etycznej natury i traktował Wolińskiego z uprzejmością wielką, nie chcąc go zrazić do siebie.

Tym więc sposobem nawiązane stosunki utrwały się i odtąd Woliński stał się głównym kierownikiem przedsiębiorstwa i zaufanym doradcą.

---

Z wielką uroczystością odbyło się założenie fundamentów przyszłej fortuny Zahorskich.

Zjechało się wielu znajomych, przybył również i kapłan staruszek, który dopełnił poświęcenia.

Podczas tej uroczystości religijnej kryli się, na krańcach placu, poza drzewami owocowymi, których (nie zdążono jeszcze zrębać, żydki z Sieradzem na czele; twarz jego jaśniała widocznym zadowoleniem, gdy patrzył na te przygotowania do przyszłej swej działalności, z której miał niepłonną nadzieję ciągnąć przez tę porę zyski, nie tylko dla siebie, lecz i dla wszystkich starszych członków swej rodziny, z których każdemu już wyznaczył z góry zakres obowiązków.

Czuł się tu niemal panem na tym pustym jeszcze placu, gdzie za jego wyłącznie sprawą zbudzić się miało wkrótce gorączkowe życie i praca od świtu do nocy całej rzeszy robotni-

ków i majstrów, z których każdy będzie musiał zależeć od niego i z nim się tylko liczyć.

Co do Zahorskiego—to był jego pewnym zupełnie, zdołał go już ogarnąć i przyniewolić swym wpływem, i uważał go wprost za „swego człowieka,” za powolne narzędzie swych planów, sięgających daleko.

Tymczasem jednak okazywał mu uniżoność i pokorę nadzwyczajną, oczekując, zda się, skinięcia, płaszcząc się i pelzając jak pies, który się czołga w nadziei otrzymania smacznego kąska za swą tresurę.

Wśród gości zaproszonych na poświęcenie znajdował się i młody Rudowski, z którym Władysław zaprzyjaźniwszy się ściślej, zdołał już zawrzeć umowę na dostawę takiej ilości cegły, jakiej tylko zażąda. Rudowski zapewnił nadto Zahorskiemu pierwszeństwo dostawy przed inną klientelą, bez względu, że w owe czasy o cegłę było dość trudno; dobijano się o nią, jako o towar bardzo kosztowny, jak o złoto samo, które z niej miało się wytworzyć w przedsiębiorstwach budowlanych. Cegielnie nie mogły nastarczyć zamówieniom i dlatego też ustępstwo, uczynione przez Rudowskiego, było bardzo cenne, tem cenniejsze, że opuścił on nawet rubla na tysiącu cegieł względnie do cen praktykowanych.

Zbliżyło go to jeszcze bardziej do rodziny Zahorskich, z czego też nie omieszkiał korzystać,

asystując pannie Ludwice, która razem z matką i siostrami Alą i Jadwinią przybyła na uroczystość poświęcenia, strojna, jaśniejąca wszystkimi powabami urody wiosnianej i tą radością życia, która tak pociąga ku sobie...

Pomimo chłodnej względnie pory, ubrana była do figury, w efektowny nadzwyczaj kostium angielski, gładki zupełnie, uwydatniający wybornie wysmukłe kształty ciała, którym najbardziej wymagający znawca nicby zarzucić nie mógł.

Potrafił to ocenić widocznie Rudowski, gdyż z lubością ogarniał wzrokiem postać pięknej panny i rzucał na nią ogniste, rozradowane spojrzenia, pod wpływem których policzki jej pokrywały się lekką krasą zażenowania, czyniącego ją jeszcze bardziej ponętą.

Jej zwykła pewność siebie, jaką okazywała względem młodych panów z towarzystwa, opuściła ją, co ją gniewało nawet; zachowanie się bowiem Rudowskiego było nieco obcesowe, tak, że miała ochotę odpowiedzieć na nie pewną wyniosłością, lecz czuła, że wobec tego pięknego, śmiałego chłopca zdobyć się na nią nie może, i, że przeciwnie, doświadcza jakiegoś nieznanego jej dotąd uczucia nieśmiałości, które, choć podrażniało jej dumę, było zarazem dziwnie przyjemne.

Pani Zahorska obserwowała pilnie wrażenie, jakie Ludka sprawiała na Rudowskim, i serce

jej wzbierało radosnem uczuciem macierzyńskim i zbudzoną nagle niezmierną sympatją dla młodego chłopca.

Z błyskawiczną szybkością wyobraźni, właściwej matkom, mającym córki na wydaniu, widziała już Ludkę i Rudowskiego skojarzonych małżeństwem, szczęśliwych, otoczonych ślicznemi dziećmi, jej wnuczętami, które kochała i pieściła, osładzając tem resztę dni swego życia.

Była tak już pewną tej przyszłości, że uczuła się nieszczęśliwą nad wyraz, gdyby ktokolwiek powiedział jej w tej chwili, że to tylko nikłe macierzyńskie projekty, których urzeczywistnienie jest bardzo niepewne, a w każdym razie dalekie.

Nie chciały o tem myśleć, tem bardziej, że Rudowski był właśnie takim młodym człowiekiem, o jakim marzyła dla swojej Ludki: pochodził ze starej, szlacheckiej rodziny, był bardzo przystojny, urodziwy nawet, tą męską prawdziwie urodą, jaka trafia się coraz rzadziej wśród zwyrodniałej fizycznie młodzieży, trawiącej zdrowie i siły w nadużyciach wszelkiego rodzaju i w rozpieszczeniu filisterskiem miast wielkich.

Co więcej, Rudowski posiadał znaczny już majątek, którego nie trwonił, lecz, przeciwnie, powiększał, pracując i prowadząc samodzielnie wielkie przedsiębiorstwo... Miała już sposobność dowiedzieć się, że cegielnie Rudowskiego są

największe w okolicach Warszawy i że przynoszą czystego dochodu do 30,000 rubli rocznie.

Jest to już bardzo znaczna fortuna, która pozwoli im prowadzić dom na stopie pańskiej, odpowiedniej rodowym tradycjom Rudowskich i Zahorskich.

Małżeństwo to nadto przygotowywało matrymonialną karierę pozostałym córkom—Ali i Jadwini, które już podrastają; wiedziała bowiem z doświadczenia życiowego, że nic tak nie ściąga dobrych epuzerów, jak świetne małżeństwo pierwszej córki; ułatwia ono stosunki towarzyskie, zwiększa zakres znajomości, daje możliwość wyjazdu za granicę do modnych wód i t. p.

Słowem, z jakiegokolwiek bądź punktu widzenia—Rudowski przedstawiał się bardzo dobrą partją i pani Zahorska postanowiła dołożyć wszelkich starań, aby małżeństwo to doprowadzić do skutku.

Była więc dla Henryka Rudowskiego wielce uprzejmą, z zachowaniem wszakże właściwej miary, która, mając wszelkie cechy powściągliwości, jest zarazem wyraźną zachętą do zbliżenia.

Dyplomacya ta zresztą była zbyteczną, gdyż Henryk zagustował widocznie w pannie i nie odstępował jej ani na krok, wiodąc ożywioną rozmowę i przekomarzając się jużto z nią, jużto z siostrami, które również mile przyjmowały żarciki i dowcipy pięknego chłopca, odpowia-

dając na nie purpurą rumieńców, występujących za każdym razem na ich policzki, gdy do której z nich niespodzianie się zwrócił w przerwach rozmowy z Ludką. Szczególniej zaś starsza Ala była wrażliwą na figlarne zaczepki Rudowskiego i z zachwytem niemal, chociaż ukradkiem, przyglądała się jego urodziwej postaci.

Gdy się skończyła uroczystość poświęcenia, większa część znajomych pożegnała na miejscu państwa Zahorskich, życząc powodzenia w podjętem przedsiębiorstwie; pozostało jednak kilku panów, w tej liczbie budowniczy Woliński i Rudowski, których Zahorski wcześniej jeszcze prosił do siebie na kieliszek szampana.

Zajechały powozy, z których Rudowskiego wyróżniał się pięknym zaprzęgiem i elegancją.

— Pan z nami? — zapytała Rudowskiego panna Ludwika, z lekka rumieniąc się.

— Naturalnie! — odparł za niego Władysław, ujmując go pod ramię.

— Jeśli pani pozwoli? — dodał Rudowski, pokręcając zalotnie wąsika i zginając się w ukłonie.

— Pozwalam — odparła panna tonem żartobliwym.

Po krótkich certacyach, pani Zahorska zgodziła się zająć miejsce w powozie Rudowskiego razem z córkami, panowie zaś, a mianowicie obydwaj Zahorscy, Woliński i Rudowski, siedli do powozu Wolińskiego. Reszta pojechała drożkami na gumach.

Huczne było śniadanie u Zahorskich.

Stół uginał się pod ciężką zastawą srebrną, przepyszного wyrobu, pamiętającą jeszcze czasy saskie; były to wyprawowe srebra pani domu, uzupełnione srebrami rodziny Zahorskich. Na większych sztukach widniały herby i korony dziewięciopalkowe, na mniejszych monogramy wypukłe, misternie splecione.

Dań była obfitość, a przeplatały się one winami wysokich gatunków, oraz mrożonym szampanem, którym wnoszono kolejno zdrowie wszystkich, dzięki czemu zapanował nastrój weselszy u osób starszych, a u młodych zapaliły się głowy i wyobraźnie.

Doświadczała tego na sobie panna Ludwika, która, chociaż maczała tylko usta w szampanie, czuła jakby zawrót głowy i mgłę w oczach. Zdawało się jej, że otacza ją jakiś obłok, wypełniony upajającą atmosferą, sprawiającą słodką niemoc w całym organizmie.

Naprzeciwno niej siedział Henryk, podniecony widocznie winem, ze wzrokiem radośnie iskrzącym, rzucającym błyskawice spojrzeń, które ogarniały całą powabną postać panny, zatrzymując się dłużej na jej czole, ustach, szyi ułożonej jak z marmuru, na dziewiczym biuście wreszcie.

Siłę tego wzroku Ludka czuła na sobie — zdawało się jej, że spojrzenia te dotykały ją pieśczośliwie, że całowały ją po prostu...



— Ogromnie jest śmiały! — powiedziała do siebie, opuszczając powieki, zdziwiona niezmiernie, że nie umiała sobie zdać sprawy, czy zbytnia ta śmiałość młodzieńca gniewa ją czy też sprawia przyjemność.

Była dumną i zawsze pewną siebie, pamiętając, że jest Zahorską, a co więcej, że jest panną bardzo przystojną, której należały się hołdy od młodzieży, które wszakże, według jej dotychczasowego rozumienia, wyrażać się powinny cichem uwielbieniem na dość odległym dystansie.

Tymczasem tę panięską teorię nieśmiałego afektu Rudowski zuchwale obalał, występując w roli śmiałka, wyzywającego ku sobie uczucie i narzucającego je niemal despotycznie.

— Podobasz mi się bardzo... gotów jestem cię kochać, całować i pieścić... Kochaj mnie więc!—zdawały się mówić jego oczy.

Ludwika chciała się gniewać za to zuchwałstwo, chciała gniew ten wyraźnie okazać jakimś ostrzejszem, wyniosłem słówkiem, chłodem zachowania się, odeprzeć słowem tę efronterę afektu, lecz chęć ta nie znajdowała w niej dostatecznej siły do zmanifestowania się...

Czując to, poddała się z rezygnacją tym atakom wzroku ze strony Henryka, a na usprawiedliwienie przed samą sobą tej słabości, wytłómaczyła sobie, że Rudowski za dużo pił wina

i skutkiem tego nie warto chwilową jego niepoczytalność brać na seryo.

Przyszedłszy do takiego wniosku, uczuła pewną ulgę i od tej chwili z całą swobodą odpowiadała na jego pytania i żartobliwe wycieczki, które wszakże nie przekroczyły ani razu granic wytworności towarzyskiej, jaką, pomimo swej śmiałości, Rudowski się odznaczał.

Rozmowa, jaką prowadzili ze sobą, była nikła, niepochwytana, złożona z urywanych słówek i niedomówień; lecz te słówka i niedomówienia, razem wzięte, tworzyły barwną kanwę towarzyską, na której wzajemna ku sobie skłonność haftuje misternie tajemnicze znaki i zwiastuny rodzącego się afektu.

Dostrzegła to od razu pani Zahorska i radość w niej rosła,—z tkliwym przeto uczuciem i niemal macierzyńską miłością patrzyła na Rudowskiego, mówiąc do siebie:

— Pocziwy, dobry chłopiec, szczerzy i otwarty... Ludka będzie z nim szczęśliwą.

Po śniadaniu, gdy panowie przeszli do gabinetu Zahorskiego na kawę czarną i cygara, pani Zahorska, pod wpływem nadmiaru radośnego uczucia, zbliżyła się do Ludki, i biorąc ją w swoje objęcia i całując gorąco, powiedziała:

— Wyglądałaś dziś prześlicznie... Nie spuszczał z ciebie wzroku...

— Kto, mateczko?—zapytała Ludka, udając, że nie domyśla się, o kim mowa.

Na te słowa starsza siostra Ludki, Ala, rozśmiała się głośno.

— Z czego się śmiejesz? — zagadnęła ją Ludka tonem ostrym.

— Z tego, że udajesz niewiniątko. Nie tylko mama, lecz i ja i Jadwinia obserwowałyśmy ciebie i Rudowskiego i widziałyśmy wszystko.

— Co mogłyście widzieć? — zapytała prawie z gniewem panna Ludwika, rumieniąc się mocno.

— Że jest w tobie zakochany na „ament,“ jak mówi nasza dawna niania.

— Zdaje się wam...

— Nie tylko nam, ale i tobie—docięła Ala, zapalając się również i łyskając czarnymi ślepkami, w których migotały iskierki zazdrości podlotka wobec odniesionego sukcesu starszej siostry.

U Ali było to tem wyraźniejsze, że Rudowski jej samej bardzo się podobał, tak dalece, że po raz pierwszy w życiu uczuła ciężar swych skończonych dopiero lat 15-tu i—nieodłącznych od tego wieku panińskiego—nauk, lekcyi muzyki, tańca i t. p. uzupełnień domowego wykształcenia; panny Zahorskie bowiem kształciły się w domu.

— Kto wie?... gdybym tak już miała lat siedemnaście, to może nie ja Ludce, lecz ona mnie musiałaby zazdrościć! — myślało dziewczątko, zzymając się na nieubłagalną powolność

czasu, który nie pozwalał jej dotąd na dłuższą o pół łokcia sukienkę.

W swej naiwności sądziła, że gdyby pozwolono jej tylko włożyć długą suknię, byłaby już dziś panną dorosłą, a wówczas... to „kto wie?..“ -- mówiła do siebie, kręcąc figlarnie główką i z pewną wyzywającą złośliwością mierząc wzrokiem mało co od niej wyższą Ludkę.

Tej ostatniej wyzywające spojrzenie Ali nie podobało się, dlatego też, zwracając się do matki, powiedziała:

— Że też mamusia pozwala im przyjmować udział w większym zebraniu towarzyskiem... Na to mają jeszcze dość czasu... U państwa Białobrzeskich starsze panienki, są od Ali i Jady, a mimo to nigdy nie wychodzą do gości na większych zebraniach...

— No, proszę!... czego ci się zachciewa?— wybuchnęły razem Ala i Jadwinia, oburzone do głębi.

— Czyżbyś się obawiała z naszej strony rywalizacji?—dodała Ala z przekąsem.

Pani Zahorska nie mogła się powstrzymać od śmiechu nad tem dziecinnem starciem jej dziewczątek, z których dla Ali miała największą słabość. Nazywała ją zawsze „żywym srebrem“ i kochała niezmiernie, więcej niż inne, co wyrzucała sobie niejednokrotnie, będąc zdania, że nie należy wyróżniać żadnego z dzieci; lecz miłość dla Ali była najśłodszą słabostką jej serca,

której żadne rozumowania i teorye wychowawcze zwalczyć nie mogły,—dlatego też i teraz, nie zważając na widoczne niezadowolenie Ludki, ujęła Alę w swe objęcia, i całując jej główkę z spadającymi z niej w wijących się pierścieniach, czarnymi jak węgiel włosami, powiedziała pieszczotliwie:

— Cicho bądź, cicho, moja ty terkotko! Nie zapominaj, że Ludka jest starszą siostrą, i że powinnyście być zawsze ze sobą w zgodzie...

— Alboż ja się kłóczę, mamusko? To ona irytuje się niewiadomo czego, zamiast się cieszyć, że taki... taki pan Rudowski zakochał się w niej — dodała, a głos jej rwał się, gdy to mówiła.

— No, no!... dosyć już tego przekomarzenia się! Pójdźcie lepiej do buduaru i poprawcie sobie uczesanie, które powichrzyło się nieco — rzekła pani Zahorska i wypchnęła z lekka Alę i Jadwinę do drugiego pokoju, przymykając drzwi za niemi.

— Mama je zanadto rozpieszcza — ozwała się panna Ludwika z niezadowoleniem w głosie.

— Nie więcej, jak i ciebie, moja droga Ludko. Zresztą jestem dziś szczęśliwa i radabym was wszystkich przytulić do serca i pieścić... Obyś tylko umiała i ty ocenić los, jaki cię spotyka. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Rudowski jest zakochany w tobie; patrzył w ciebie jak w tęczę przez cały czas śniadania...

i z tobą tylko rozmawiał. O czem mówiliście ze sobą?

— O wyścigach...

— Jakto! *tylko* o wyścigach?—zapytała matka z żartobliwym przekąsem.

— Najwięcej... wiedziałam przecież, że to go najbardziej może zainteresować. O ile mogłam zmiarkować, to on bardzo dużo wydaje na konie i dzokiejów zagranicznych.

— Ma na to, jest bardzo majątny podobno.

— W każdym razie to zabawa rujnująca i zupełnie zbyteczna, a w dodatku niezabawna.

— Wytłomaczysz to mu później, moja Ludko — powiedziała pani Zahorska, uśmiechając się.

— Naturalnie, że nie teraz; jest nawet przekonany, że ja przepadam za wyścigami... Jak on śmiesznie opowiadał o swych koniach i dzokiejach, przeplatając opowiadanie terminami sportowymi, tak, że nic a nic nie rozumiałam i musiałam panować nad sobą, żeby nie ziewać, gdyż to wszystko okropnie nudne.

— Być może, ale zato chłopiec przystojny i sympatyczny.

— Prześliczne ma zęby... i wstyd mi było za swoje; sznurowałani też usta, żeby nie dostrzegł dwóch plomb, jakie połyskują złotem u góry.

— Przesadne obawy, moje dziecko; plomb

tych nie dostrzeże najwprawniejsze oko, a nie dopiero młody chłopiec, tak widocznie tobą zajęty.

— Niechże mamusia poprosi Rudowskiego, żeby o nas pamiętał...

— Bądź spokojna!...

— Albo może lepiej nie wspominać o tem wcale. Gotów jeszcze pomyśleć, że tu go ciągną... Jeśli mu się podobałam, to i sam przyjdzie; zresztą jest „na ty“ z Władysławem, co już dostatecznie go zbliża do naszego domu.

Pani Zahorska rozśmiała się.

— Masz, jak widzę, praktyczny rozumek i jesteś dyplomatką.

— To nie to, mamusiu, lecz jestem dumną i nie chciałabym, żeby mnie komu narzucano, a tem bardziej, żebym się miała sama narzucać, lub okazywać zbytnie zajęcie; byłam też z nim, dość powściągliwą i chłodną.

— Oby nie zanadto!.. są mężczyźni, których to zraża.

— Cóż warta miłość, która nie czuje w sobie dość siły, aby zwalczyć przeszkody? Jeśli mu się podobałam i jeśli mnie pokocha prawdziwie, to na nic zważać nie będzie i dołoży wszelkich starań, aby pozyskać wzajemność.

— Mówisz bardzo rozsądnie, i, jak widzę, rady moje są w tym względzie zupełnie zbyteczne — powiedziała pani Zahorska, całując Ludkę w czoło, bez zbytniego wszakże wylewu

miłości macierzyńskiej, gdyż razily ją nieco ten chłód i nadzwyczajna praktyczność dziewczęcia.—Ma dopiero lat dziewiętnaście!—pomyślała, dziwiąc się, skąd jej Ludka mogła nabrać takiego doświadczenia.

Jakże inną jest Ala, będąca dla niej żywym przypomnieniem wiosny jej życia!

Dnia tego Rudowski nie bawił długo, gdyż po kawie czarnej i likierach, łącznie z innymi, pożegnał wkrótce Zahorskich, przyczem dłużej nieco, niżby to wypadało, zatrzymał w swej dłoni rączkę panny Ludwiki, tak, że usunęła mu ją z pewnym wysiłkiem nawet, oblewając się zarazem rumieńcem, który jak zorza poranna skraślił jej lica, podnosząc powab jej urody.

Pani Zahorska, chociaż miała wielką ochotę serdeczniej zaprosić Rudowskiego do bywania w ich domu, podobał się jej bowiem bardzo, ograniczyła się do etykietalnego frazesu, gdy Rudowski ucałował jej rękę:

— Prosimy nie zapominać o nas!...

Powściągliwość tę naprawił wszakże Zahorski, który z kordyalnością starszłachecką uściśnął Rudowskiego mocno, i ucałowawszy z „dubeltówki,“ powiedział:

— A zechciej pan zapamiętać raz na zawsze, że jesteś dla nas bardzo miłym i pożądanym gościem.



Nazajutrz, skoro świt, Zahorski wyjechał z domu rzucić okiem na robotę, która wrzała już na placu w całej pełni.

Zakładanie fundamentów szło szybko: kilkudziesięciu robotników, a wśród nich młode, silne dziewczyny, niewielkiego wzrostu, przeznaczone do układania i noszenia cegieł, rozdzielono na dwie grupy, z których każda zajęta była przy kładzeniu fundamentów ze stron przeciwnych, co niezbędnem było ze względu na pośpiech robót budowlanych.

Dozór główny nad nimi miał stary majster mularski, pan Kacper Ogórkiewicz, który wszakże nie był na miejscu ciągle obecny, gdyż oddalał się do innej budowli, prowadzonej jednocześnie, o kilkaset kroków od placu Zahorskiego, a będącej własnością pana Sobiesława Molskiego, byłego obywatela ziemskiego, który znanym był w Warszawie jako rzutny i śmiały przedsiębiorca budowlany; był on już podobno bardzo majątny.

Ten podział nadzoru nad budowlą zaproponowany został przez Sieradza, w celach oszczędności, tym sposobem bowiem koszta nadzoru zmniejszały się do połowy.

Nic zresztą na tem nie traciło się na dokładności robót, gdyż na placu był zawsze i miał pilny nadzór doświadczony podmajstrzy, Jakób Skwara, który podejmował się sam nawet, na własną rękę, prowadzenia robót budowlanych.

nych na mniejszą skalę, jakie nastęczał mu niekiedy jego pryncypał, pan Kacper Ogórkiewicz.

Ten ostatni miał ogromną praktykę i w ciągu lat dziesięciu wybudował już sam dla siebie dwie piękne kamienice, jak mówiono, z cegły kradzonej przy przedsiębiorstwach budowlanych, które prowadził.

Zresztą nie nazywało się to kradzieżą, lecz oszczędnością kosztorysową.

Mówiono też, że na oszczędności tego rodzaju wielu ludzi porobiło fortuny; zarabiali na niej budowniczowie, majstrowie i ich pomocnicy, doradcy, faktorzy, a wreszcie i niektórzy właściciele i dzierżawcy cegielń, gdyż wszedłszy w znowę z przedsiębiorcami robót, dostarczali o 30 procent mniej cegieł, aniżeli było umówione w kontraktach.

Co więcej, mówiono po cichu o jednym bardzo bogatym jegomościu, który posiadając już znaczną fortunę, nie gardził tego rodzaju zyskami, a czynił to tak jawnie, że przekupywał po prostu woźniców, wożących cegłę, i kazał ją wozić do siebie na plac, gdzie budował kamienicę.

Następstwem tej „przedsiębiorczości“ zawnego obywatela była później sprawa sądowa i sromotny wyrok, skazujący go, jako szlachcica, na pozbawienie praw stanu i więzienie.

Można więc z tych przykładów mieć nie-

jakie pojęcie o trudnościach i komplikacjach, związanych z robotami budowlanymi, i o konieczności nieustannego nadzoru nad personelem robotniczym, który biorąc przykład z góry, kradł również, o ile się tylko dało.

Wiedział coś o tem wszystkim Zahorski i dlatego postanowił pilnie czuwać nad robotami, lub też wyręczać się w tem przez Władysława, który zresztą sam zaproponował czynny i pilny udział w głównym nadzorze.

Był zresztą do pomocy jeszcze i Sieradz, który, niepostrzeżenie dla Zahorskiego, objął finansowy ster przedsiębiorstwa; on to bowiem nastreczył majstrów, on z nimi uprzednio się godził, on w końcu płacił im i robotnikom, strącając przy wypłatach zgodnie umówiony „procent“ dla siebie.

Wprawdzie robotnicy nie cierpieli Sieradza, nazywali go poganinem, oszustem, zdrajcą Chrystusa i t. p. przezwiskami, lecz tolerowali jego wyzysk, wiedząc dobrze, że we wszelkich tego rodzaju przedsiębiorstwach przy każdym godzeniu robotnika bez żyda obejść się nie może.

Taki już był „zwyczaj,“ pewnego rodzaju tradycya, dająca faktorom żydowskim przywilej wyzysku pracy ludu roboczego.

Z razu Zahorski usiłował bronić się przed wścibstwem Sieradza, powoli wszakże dał mu się opanować zupełnie, przekonawszy się, że

bez niego nie dałby sobie rady, lub musiałby płacić za wszystko drożej.

Utarł się bowiem i ten zwyczaj, że wszelki bezpośredni stosunek chlebobdawcy z majstrami i robotnikami wynosił znacznie drożej, niż przy pomocy faktorów. W pierwszym bowiem razie robotnicy starali się sytuację nadmiernie wyzyskać, głusi będąc na wszelkie, najbardziej racjonalne perswazyje, a nawet okazując wrogie niemal usposobienie względem „pana.“

— Pan, jak pan: dba tylko o siebie... więc nie trzeba mu się dawać!—mówili między sobą i w tymże prawie czasie powolni byli na chytre przedstawienia faktorów.

Była to jakaś ślepotą po prostu, która dałaby się chyba wytłómaczyć większą znajomością natury prostego ludu u żydów, niż u inteligencji chrześcijańskiej.

I nic dziwnego—żydzi bowiem od wieków żyjąc z wyzysku klas ciemnych, musieli poznać ich naturę, musieli zbadać najtajniejsze ścieżki, prowadzące do ich serc i umysłów, ubogich duchem, skrytych i nieufnych; słowem musieli się do nich zbliżyć, zżyć się z nimi, pomimo wiary, dzielącej ich od nich, pomimo niechlujnych stron etycznych, wstrętnych dla chrześcijan.

Intelligencya tymczasem stała prawie zawsze na uboczu i zadawalniała się utrzymywa-

niem powierzchownych stosunków, wynikających z współżycia na jednej ziemi.

I stąd ta pełna niedowierzania ostrożność w wzajemnych stosunkach, która trwa dotąd i trwać jeszcze długo będzie, pomimo podjętych w ostatnich czasach starań w literaturze i w prasie, oraz wśród istotnej intelligencji, w kierunku zbliżenia do siebie różnych warstw ludności.

Te rzeczy bowiem, na które się wieki składały, nie mogą być zmienione i naprawione w okresie czasu jednego lub dwóch pokoleń, z których wzroku spadło bielmo średniowieczny i w których zbudziła się świadomość koniecznego zbliżenia się, opartego na ufności wzajemnej, sympatii i prawdziwej miłości, płynącej nie z książek i artykułów umoralniających, lecz z serc ludzkich i z czynów.

Żydzi, jakkolwiek kulturalnie stojący od nas niżej, pod pewnym wszakże względem, ujemnej natury, mają nad nami znaczną przewagę; umieją oni mianowicie oryentować się w słabościach natury naszej.

Są oni nadto urodzeni dyplomaci, umiejący przybierać na siebie skórę taką, jakiej wymagają okoliczności i własny ich interes.

Tej metody trzymając się, Sieradz umiał tak wkraść się w zaufanie Zahorskiego, że stał się w końcu niezbędnym pomocnikiem do wszystkiego, a to tem bardziej, że Zahorski prędko znużył się dozorem nad robotami budowlanymi,

gdy po paru tygodniach przekonał się, że jego obecność na placu, pełnym błota i grzązkiej gliny, tonącym w tumanach kurzu i pyłu wapiennego—jest niepotrzebną.

Nudził się też niemiłosiernie, szczególnie w rannych godzinach; dlatego też z dniem każdym opóźniał swe wycieczki i przyjeżdżał dopiero po południu, po dobrym śniadaniu, razem z Władysławem, żeby było przynajmniej z kim porozmawiać na tem pustkowiu.

Bawili jednak na placu niedługo, czując się jakby zażenowani przeświadczeniem, że ich obecność jest tu zupełnie niepotrzebną i że nikt, oprócz Sieradza, nawet nie zwraca na nich uwagi, spełniając swą czynność odruchowo, mechanicznie, z pewną apatyą ludzi, zmuszonych do ciężkiej pracy na kawałek chleba.

Jeszcze prędzej od ojca zniechęcił się do tych wycieczek Władysław, który z razu zamierzał prowadzić ścisłą kontrolę robót i dostawy materiałów budowlanych, do czego zachęcał go Rudowski, zwracając uwagę na możliwe nadużycia i kradzieże, jakie się praktykują w przedsiębiorstwach budowlanych,—potem jednak uznał, że wystarczy sprawdzanie kwitów, wydawanych przez Sieradza, z rachunkami cegielni i innych dostawców.

Przekonał go o tem Sieradz, dowodząc, że skoro on pokwituje z odbioru na miejscu i materiały przy nim i w obecności Skwary złożą

na placu, to najoczywistszy dowód, że ani jedna cegła przepaść nie może.

— Taką kontrolę prowadzą wszędzie i wielmożny dziedzic może być zupełnie spokojny, że tu wszystko musi być w porządku; zresztą i to nawet niepotrzebne: najlepszą kontrolą są kosztorysy; nasz budowniczy to wielki architekt, on się nie omyli nawet o jeden tysiąc cegieł. Główny interes w tem, żeby mury szły w górę jak najprędzej—dowodził Sieradz, wskazując z dumą na postęp robót, dokonywanych z szybkością niezmierną.

Pod tym ostatnim względem nic istotnie zarzucić nie było można; mury rosły w oczach, a z ich wzrostem umacniała się w Zahorskim otucha, że wszystko idzie dobrze i że do jesieni gmach cały stanie pod dachem.

Zapewniał go o tem uroczyście i budowniczy Woliński, który parę razy na tydzień zjeżdżał na plac, czynił błyskawiczny przegląd robót dokonanych, nakazywał tu i owdzie poprawki drobne, wydawał majstrowi rozporządzenia na cały tydzień, tego i owego z robotników zwymyślał od ostatnich, poczem odjeżdżał, pozostawiając po sobie wrażenie wichru, który zerwał się nagle i zniknął na zakręcie ulicy.

Z tem wszystkiem niesposób mu było odmówić wiedzy zawodowej i rzutności nadzoru; przekonał się o tem Zahorski niejednokrotnie,

widząc, jak za jednym rzutem oka dostrzegał najmniejsze uchybienie w planie, najmniejszą niedokładność w robocie.

Niejednokrotnie, dostrzegłszy nieumiejętność lub niedbalstwo robotnika, rzucał się ku niemu jak wściekły, i odepchnąwszy go na bok, chwycił za kielnię lub młotek i pokazywał, jak czynić należy.

— Tak robić masz, durniu jakiś! inaczej wynoś mi się natychmiast!—wołał z gniewem, poczem zwymyślał majstra i jego pomocnika za słaby nadzór.

Często przy takich „pokazach“ powalał ręce i ubranie gliną, unurzał się w wapnie—i tak siadał do eleganckiego powozu, nie zważając, że pozostawia na poduszkach ślady wapna.

Robotnicy bali się go jak ognia, gdyż umiał im zaimponować i wielką siłą fizyczną, której doświadczali nieraz na swych karkach; Woliński bowiem pozwalał sobie, w przystępie swej porywczosci, dać nieraz bolesną admonicyę—„zamalować,“ jak mówili robotnicy.

Nazywali go oni „jastrzębiem,“ gdyż jak jastrząb spadał zwykle w chwili, gdy nikt go nie oczekiwał.

Często po dwa tygodnie nie widziano go przy budowie; innym razem znów wpadał na chwilę dzień po dniu, a niekiedy i po dwa razy na dzień, gdy dostrzegł poważniejsze niedbalstwo w prowadzeniu robót.



Zahorski był nim zachwycony i cieszył się w duchu, że tak szczęśliwy uczynił wybór. Cokolwiekby mówiono o Wolińskim, to wszakże niezaprzeczoną faktą była ta okoliczność, że w swej olbrzymiej praktyce budowlanej nie miał ani jednego groźniejszego wypadku, ani jednej katastrofy, o którejby w mieście mówiono głośno.

Tymczasem w tym właśnie okresie gorączki budowlanej nie było prawie tygodnia, żeby w tej lub owej stronie miasta nie zawaliła się ściana, nie runęła cała budowla, lub nie rozleciało się na drzazgi rusztowanie, grzebiąc w rumowiskach ofiary z robotników.

Woliński zaś nie miał na sumieniu ani jednego życia ludzkiego, a co więcej—nie miał nawet sprawy sądowej o uchybienie przepisów budowlanych.

Wszystko więc szło dobrze i Zahorski z każdym dniem nabierał coraz więcej pewności siebie i przeświadczenia, że przedsiębiorstwo budowlane jest rzeczą bardzo prostą i łatwą, i że poprzednie jego obawy nie miały najmniejszej racji bytu.

— Daję sobie radę wybornie, gdyż, jak widzę, „nie święci garnki lepią“ — mówił nieraz do siebie, powracając do domu z przeglądu robót.

Pewnego jednak razu ten pogodny nastrój został zburzony; przyjechawszy bowiem na plac,

uderzony został ponurą ciszą i pustką. Ani jednego robotnika nie było przy robocie, a pomiędzy murami chodził samotnie tylko pomocnik głównego majstra, Jakób Skwara, z miną zakłopotaną.

— Co się tu stało? Gdzie są robotnicy?— zapytał z najwyższem zdumieniem.

— Nie przyszli—była odpowiedź.

— Dlaczego? Gdzie jest Sieradz?

— A licho wie, gdzie ten Judasz się podział! Był tu przed chwilą—odparł Skwara dość gburowato, nie okazując najmniejszego uszanowania dla swego chlebobdawcy.

— Dlaczego robotnicy nie przyszli?... wytłómaczże pan, do dyabła!

— Pan to chyba sam musi wiedzieć, więc poco pytać? Nie przyszli...

— Jak /pan odpowiadasz! jak śmiesz?— krzyknął Zahorski z gniewem.

— Jak umiem... Co tu zresztą długo gadać! Nie przyszli, bo im nie płacą. Nikt na darmo nie będzie sił marnować, każdy żyć musi.

— Jakto! nie płacą?! Przecież Sieradz wziął na zapłatę pieniądze, sam mu wydałem; więc i pan nie otrzymałeś?

— Oho!... ja tam swoje wezmę, żydowi z gardła wydrę! Gdybym nie otrzymał, nie byłbym tu... Mnie tam na „kwitki“ żaden Judasz nie weźmie, proszę pana — mówił Skwara już

nico spokojniej, zmiarkowawszy widocznie, że „właściciel“ nie jest wtajemniczony w operacye płatnicze swego faktora.

— Więc jak? co? gadajże pan nareszcie, bo nic nie rozumiem!

— A to i powiem, kiedy pan każe i mówi, że pieniądze żydowi dał... To jest tak: Ten Sieradz to już drugą wypłatę zbywa kwitkami, z którymi trzeba chodzić w sobotę w nocy lub w niedzielę rano na drugi koniec miasta, do innego parcha, młodego jeszcze okpisza, który jest niby kasyerem Sieradza; tamten wytrzyma ludzi po kilka godzin, do późnej nocy, a potem jak zacznie rachować a strącać, wymyślać jakieś kary za opóźnienie, za uszkodzenie materiałów budowlanych i t. p., to z zapłaty pozostają jakieś marne grosze.

— To niesłychane!... Przesadzasz, mój łaskawco!

— To jeszcze nic, proszę pana! — mówił Skwara dalej, rozgadawszy się — ten poganin bowiem, rudy, młody żydek, strasznie jest łasy na dziewczuchy, co do roboty chodzą, i wciąż je napastuje... Słyszanaż to rzecz, żeby taki parszywiec pohańbiał dziewczyny katolickie! Robownicy już kilka razy zbierali się, żeby go przebrać, lecz bestya jest chytry, i zwęszywszy niebezpieczeństwo, wyslizga się im, jak wąż, w samą porę. Ale to mu na sucho nie ujdzie, strasznie się bowiem na niego zawzięli.

Tak opowiadał Skwara z pełnem oburzenia przejęciem, świadczącym, że mówi najczystsą prawdę.

Zahorski, wysłuchawszy tej relacji, zgorzysł się niezmiernie i uczynił w myśli postanowienie, że Sieradza oddali natychmiast, jeśli nie potrafi usprawiedliwić się z tak ciężkich zarzutów.

W tej chwili na placu ukazał się Sieradz, a dostrzegłszy Zahorskiego i Skwarę rozmawiających ze sobą, wnet się zorientował w sytuacji, gdyż przybrał minę człowieka zgnębionego, przywalonego wielkiem nieszczęściem.

Na jego twarzy zresztą malowało się zmęczenie widoczne, był spocony i zziąjany, jak człowiek, który odbył forsowną drogę z wielkim pośpiechem.

— Co się tu dzieje? — zagadnął go Zahorski surowo.

Sieradz, zamiast odpowiedzi, chwycił się obiema rękami za głowę, poczem cisnął czapkę na ziemię ruchem rozpaczny.

— Dlaczego niema robotników? — powtórzył pytanie Zahorski tonem już gniewnym.

— Aj, aj!... wielmożny dziedzicu! dlaczego ich niema?... tych łajdaków, tych rozbójników, co oni chcieli ograbić i zabić mego kasyera... żeby oni zgnili w kryminale te chłopy, zbóje, tfy... te świniel... ja ich skarżę do sądu, do prokuratora, do policmajstra, ja jeszcze wyżej pój-

dę!... niech oni przepadną, zgniją... niech ich, tfy! wielka choroba zatłucze! — zawodził Sieradz, rzucając się jak opętany, rwąc sobie włosy na głowie, miotając pioruny gniewu i oburzenia z oczu krwią nabiegłych.

Zahorski stropił się tym wybuchem swego fatora, — dlatego też, zapominając o tem, co mu przed chwilą mówił Skwara, odezwał się tonem nieco łagodniejszym:

— Niech się Sieradz nieco uspokoi i powie krótko, o co chodzi.

— Aj, aj, wielmożny dziedzicu! jak się tu można uspokoić, jak można krótko opowiedzieć, kiedy to niesłychane rozbójnictwo i złodziejstwo, do którego ja będę musiał duże odszkodowanie zapłacić.

— Jakie odszkodowanie? Co pleciesz, mój łaskawco? Co mi zresztą do waszych spraw i rachunków! — zawołał Zahorski zniecierpliwiony. — Mnie obchodzi to tylko, że robotników niema i że roboty stanęły, podobno z twojej winy, czy tam twego jakiegoś kasyera... Ja pieniądze dałem, a tymczasem słyszę, że robotnicy nie otrzymują należnej im zapłaty.

-- Bodaj tak zdrów był ten, co to powiedział! — odparł Sieradz, łysnąwszy wzrokiem w stronę Skwary. — Ja dla nich byłem jak ich własny brat, jak ojciec, jak matka... ja im na-przód dawałem, gdy nie mieli za co kupić sobie chleba, bo ja mam miękkie serce, ja nie mogę

patrzyć, jak robotnik jest głodny... to ja, gdy nie miałem pod ręką pieniędzy, dawałem im kwitki, ja im dawałem kredyt w sklepach moich dobrych znajomych i oni sobie brali wszystko bez pieniędzy, jak wielkie panowie, a potem gdy to, co nabrali, mój kasyer im strącił, to oni zrobili wielki gwałt i rozbój... oni krzyczeli, jakby kto ich rznął tępym nożem, że ich oszukują; oni rzucili się jak psy na mego kasyera i bili go z pięścią i pazurami i zabrali mu pieniądze... Ja jestem na tem bardzo stratny, bo i pieniądze moje przepadły, i ja będę musiał zapłacić odszkodowanie za pobicie... bo co on winien ten biedny żydek, mój kasyer, że oni są rozbójnicy i łajdaki?... Aj, aj, aj! — biadał Sieradz, chwyciwszy się za głowę.

W tych biadaniach wszakże Sieradz ani razu nie wspomniał, że tym „pokrzywdzonym“ kasyerem jest jego własny zięć, Szaja Lukrec; że robotnicy zbili go istotnie, nie tyle wszakże za oszukańcze rachunki przy wypłatach, ile za gwałtowne i bezczelne zaloty do jednej z dziewczyn, tęgiej i przystojnej Józki, sieroty, którą miał wkrótce poślubić jeden z robotników; że nie był to zresztą sporadyczny wypadek donżuaneryi rudego Szai, lecz że uprawiał on ją stale, prześladując na zmiany wszystkie mniej więcej przystojne dziewczęta, co było również powodem lamentów jego młodej żony, a córki Sieradza, i wielce nieprzyjemnych zajść

między rodzicami państwa „Sieradzostwa“ i państwa „Lukrecostwa,“ jakby powiedziało jedno z pism warszawskich, mające zwyczaj w ten sposób spolszczać żydowskie nazwiska. Zajścia te były tem nieprzyjemniejsze, że rodzice Lukreca nie chcieli zapłacić żądanego przez Sieradza odszkodowania za zdradę zięcia i wynikającą stąd „stratę“ dla pięknej córki Sieradza.

O tych istotnych, gorzkich zmartwieniach Sieradz przemilczał dyskretnie, redukując pretensje robotników do nieporozumień w rachunkach, które zresztą pozostawiały wiele do życzenia—znacznie więcej, aniżeli to przedstawiał Sieradz.

To bowiem, co się działo przy wypłatach, wołało o pomstę do Boga...

Owe bowiem „kwitki,“ a właściwie przekazy na kredyt w sklepach (zaliczki w gotówce wydawał Sieradz wyjątkowo, w bardzo drobnych kwotach, a mianowicie na kupno: kiszek podgardlanych, salcesonów, słoniny i t. p. przysmaków, których w sklepach żydowskich nie trzymano), okazywały się przy porachunku w większej zawsze ilości, aniżeli w rzeczywistości były wydane.

Powstawały więc z tego tytułu ustawiczne spory, których wynik nigdy jednak na korzyść robotników nie wypadł; czuli oni dobrze swą krzywdę, lecz ustępowali zawsze, pokonani przekonywającą wymową „kasyera,“ a bardziej

jeszcze dowodami rzeczowymi, to jest owymi „kwitkami.“

Zwykle rozmowy w tej sprawie prowadziły się w ten sposób:

— Brałeś kwitki?

— Brałem.

— A ile ich było?

— A no pięć.

— A może więcej?

— Chybać nie...

— Tu jednak siedem leży na stole...

— A no leży...

— Wszak ci na imię Maciej?

— A ino, Maciej...

— A przyzwisko Duda?

— Duda.

— Więc czyjeż to kwitki?

— A bo ja wiem?

— Czytać umiesz?

— Nie umiem.

— No to patrz, ty głupi chłopie, że tu wszędzie stoi jak wół: „Maciej Duda.“ Widzisz?

— Widzę— odpowiedział Duda, wpatrując się w hieroglify Sieradza.

— No, to czyjeż te kwitki?

— Dyc wasze.

— Głupiś! A komu wydane?

— A no mnie...

— Więc teraz licz, ile jest kwitków: raz, dwa, trzy...



— Cztery, pięć, sześć i siedem — kończył Duda, przesuając każdy świstek papieru pomiędzy palcami.

— Ileż więc wziąłeś kwitków?

— Wzionem?... A no, oczywiście: siedem.

— Widzisz... a gadałeś, że pięć.

— A bo ja tam wiem... Siedem, to siedem! niech ta będzie moja krzywda; lecz ty, żydzie, nie wydziwiaj i płac co się należy—mówił ogłupiały Duda, nie mogąc sobie zdać sprawy, jakim sposobem kwitków znalazło się siedem, kiedy on dobrze to pamięta, że wziął tylko pięć.

W jego pojęciu kwitek Sieradza, wypisany na jego nazwisko, równoznacznym był z zobowiązaniem się własnoręcznym.

— Zawszeć, co napisane, to święte! — myślał, nie mogąc sobie wyobrazić, żeby największy wynalazek ludzkości mógł służyć komukolwiek do celów oszukańczych. Wszystko „pisane“ stawało się niemal urzędowym dowodem, niepodlegającym zaprzeczeniu lub wątpliwości.

Nic więc dziwnego, że tego rodzaju wypłaty z krzywdą robotników były przez nich akceptowane, mimo to czuli oni uzasadnioną niechęć do chlebobawców chrześcijan, posiłkujących się żydowskim faktorstwem nawet w wynagradzaniu za pracę.

Zresztą praktykowało się to samo we wszystkich przedsiębiorstwach budowlanych, gdyż.

wszystkie one zostawały pod dyrekcją żydów, już to właścicieli, już to ich zastępców.

Nie było więc sposobu na uniknięcie wyzysku, o czym robotnicy dobrze wiedzieli i, radzi nieradzi, musieli się godzić z istniejącym porządkiem.

— A ja coś innego o tem słyshałem—ozwał się po chwili Zahorski, — a mianowicie, że ten twój kasyer demoralizuje dziewczęta, przychodzące do roboty, i że za to go robotnicy obili.

— Demoralizuje?... I wielmożny dziedzic temu wierzy? On, biedny żydek, ma żonę i dzieci, ładną, bardzo ładną żonę, to czy on potrzebuje myśleć o takich, tfy! paskudztwach?... Zresztą, z przeproszeniem wielmożnego dziedzica, u żydów tego niema we zwyczaju i ja z takim łapserdakiem, gdyby taki był, znaćbym się nie chciał i groszabym nie dał na wypłaty.. On jest bardzo porządny i bardzo uczciwy żyd... A że te łajdaki chłopcy tak mówią, to dlatego, że oni potrzebują tak mówić na swoją obronę za ten rozbój, za to ograbienie... oni zbóje są!...

— No, mniejsza już z tem, to mnie nie obchodzi wcale, za co mianowicie robotnicy obili twego kasyera, mój łaskawco; mnie chodzi o przerwanie robót. Skąd wziąć tak zaraz potrzebnych ludzi?

— Oni będą...

— Kiedy?

— Dziś jeszcze, od południa—odparł Sieradz z tryumfem.

— Skądże ich wyrwałeś?

— Skąd?! Ja rozesłałem, wczoraj jeszcze, w nocy, po całej Warszawie i na Pragę swoich żydków... całą noc szukać musieli... Ja im z własnej kieszeni dobrze zapłacił, bo ja wiem, że to byłaby duża strata, gdyby roboty przerwano na dłużej, i wielmożny dziedzic byłby zły na Sieradza... A czegobym ja nie zrobił dla wielmożnego dziedzica!... Ja wolę niedospać, niedojeść, ja wolę stracić, aby tylko wielmożny dziedzic był kontent.

— No, no, pragnę ci wierzyć, mój łaskawco, i dziękuję za życzliwość; żądam jednak, żeby na drugi raz coś podobnego się nie powtórzyło. Wypłatę robocizny proszę powierzyć majstrowi lub podmajstrzemu, skoro sam nie masz na to czasu...

— Jak wielmożny dziedzic każe, tak będzie; ja znajdę czas i na to, i sam będę wypłacać.

— Dobrze więc, a dziś wieczorem proszę przyjść do mnie; mam interes do Liebkinda i trzeba, żebyś załatwił to prędko.

— Rozumiem, to drobna rzecz... jutro będzie.

— Tu o większą sumę chodzi—dodał Zahorski.

— Co to znaczy!... Liebkind powiedział, że ile wielmożny dziedzic zechce, tyle on da, w każ-

dej chwili; dla kogo innego może nie być, ale dla wielmożnego dziedzica musi być zawsze. On to powiedział... On jest wielce życzliwy i mówi, że ma bardzo duży szacunek dla wielmożnego dziedzica, tak duży, że on byłby bardzo szczęśliwy, gdyby pan Zahorski uczynił mu wielki zaszczyt i przyjechał kiedy do niego.

— A to poco?

— No tak... u niego bywają wielcy panowie: dwóch baronów i jeden hrabia, nie taki zwyczajny hrabia, lecz taki, co ma w herbie księcia samego...

Zahorski mimowoli się rozśmiał.

— Wielmożny dziedzic śmieje się, nie wierzy może... a to jest prawda rzetelna...

— Ależ wierzę, wierzę... tylko źleś się wyraził o tym „księciu w herbie;“ chciałeś chyba powiedzieć, że ma mitrę w herbie?

— Tak, tak... „mytrę,“ ja tak samo słyzałem, lecz wyszło mi z pamięci... to jest wielki hrabia, magnat, i on przyjeżdża często, bo ma interesy z Liebkindem, a przytem córka Liebkinda to bardzo mądra i uczona, i bardzo piękna jest, ona w samym Paryżu kończyła edukację...

— I ma pewno ochotę wyjść za hrabiego?

— Dlaczego ona nie ma mieć ochoty? ona jedynaczka... i wszystko, co Liebkind ma, to będzie jej, i to, co się jeszcze dorobi... Kto ją weźmie za żonę, to brylantowy interes zrobi,

delikatny bardzo interes — mówił Sieradz znacząco, z lekka cmokając ustami.

Zahorski spochmurniał, domyśliwszy się, że Sieradz nie bez celu roztacza przed nim perspektywy wielkiego majątku jedynaczki Liebkinda, że ma zapewne na myśli Władysława, dając nawet wyraźnie to do zrozumienia.

Zachnął się więc niecierpliwie wobec zuchwałstwa faktora; wzburzyła się w nim krew prawdziwego karmazyna, którego ród czysty był i bez skazy, nie splamił się bowiem ani jednym mezaliansem w ciągu kilku wieków. Zahorscy pielęgnowali ściśle tradycje starszlacheckie i brali żony z rodów znanych i zasłużonych krajowi.

Dlatego też na samą myśl, że w głowie Sieradza mogło się zrodzić tak zuchwałe przypuszczenie, Zahorski poczerwieniał z gniewu, nic wszakże nie powiedział, a tylko wydawszy usta pogardliwie i zmierzyszy faktora wzrokiem surowym, odwrócił się doń plecami, i przywoławszy do siebie stróża, zaczął mu wydawać jakieś rozkazy.

Sieradz zmiarkował natychmiast, że nie w porę, a nawet pod złym adresem wyrwał się z pochwałami dla córki Liebkinda i z obliczeniem jej wielkiego posagu, że lekka alluzya do możliwości małżeństwa z nią syna Zahorskiego spotkała się z wyniosłą pogardą, tak wielką, że

Zahorski uważałby sobie nawet za ublżenie wyraźnie ją okazać.

Zły więc był sam na siebie za swą niezręczność, jaką popełnił, wykoleiwszy się z roli usłużnego i pokornego faktora, a jednocześnie uczuł w tej chwili zbudzone nagle wrogie, nienawistne prawie uczucie dla dumnego szlachcica, który miał taką pogardę dla żydów. Zmierzył go więc złem, krokodylem spojrzeniem i powiedział do siebie:

— Poczekaj ty, wielki pan!... Może twego syna zwyczajna żydówka nie zechce, a nie dopiero córka Liebkinda!... Nie tacy, jak ty, lub twój syn, gorsze biorą za żony!

Dnia tego Zahorski pozostał dłużej na placu, żeby się doczekać przybycia świeżo zgodzonych robotników.

Zaczęli oni ściągać pojedynczo około 1-ej po południu.

Byli to ludzie o wyglądzie wcale nieobiecującym: jedni z nich, wątli i zbiedzeni niezmiernie, ledwie okryci byli strzępami ubrania; drudzy mieli miny wyzywające, zuchwałę, twarze posiniaczone, widocznie w bójkach, oczy podbite, wielu z nich było już pod dobrą datą, gdyż wyziewy wódki „prościuchy“ były od nich z daleka.

Z ich podochocenia łatwo się było domyślić, że namawiano ich do zgody na robotę za pomocą obfitych libacyi szynkownianych.

Zahorski, przyjrząwszy się tej zgrai, zebranej z rozmaitych stron miasta, przeraził się po prostu na myśl, że z takimi nędzaczami i wyrzutkami przyjdzie mu mieć do czynienia, — dlatego też z gniewem powiedział do Sieradza:

— Jak można było godzić takich ludzi! wyglądają raczej na żebraków i wyrzutków, aniżeli na robotników; jakaż to będzie robota?

— Wielmożny dziedzic może być spokojny; to dobry robotnik, ja ich znam, oni u mnie już robili na ulicy Młynarskiej... No, a co to szkodzi, że oni wyglądają trochę na bydło?...

— Ależ to pijacy!...

— To nie szkodzi... oni wypili tylko na zgodę, oni inaczejby nie przyszli; ja ich znam, i dlatego ja im kazałem dać wódki, mnie to kosztowało dużo. A co do roboty, to ja ręczę, że ona będzie dobra: taki robotnik, co pije, lepszy jest od takiego, co trzeźwy. Wielmożny dziedzic sam się przekona.

Perswazyje te nie przekonały wszakże Zahorskiego, gdyż odszedł zły i zagniewany na faktora, któremu przypisywał winę odejścia poprzednich robotników.

Na dobitkę, czekała go dnia tego jeszcze inna niespodzianka.

Oto bowiem, gdy miał już plac opuszczać, podszedł doń pan Kacper Ogórkiewicz, majster mularski, i wręczając mu kartę wizytową, powiedział:

— Ten pan pyta się, czy mógłby się z panem zobaczyć?

Zahorski wziął kartę do ręki i przeczytał:

— „Sobiesław Molski.“ Któż to jest?

— To obywatel, który ma w tych stronach kilka domów i u którego ja mam dozór nad robotami budowlanymi — objaśnił Ogórkiewicz.

— Aa... pan Molski! wiem już, wiem... owszem, z całą przyjemnością, proszę mu to powiedzieć.

— On tu zaraz miał nadejść, proszę pana.

Istotnie, w kilka minut później na placu zjawił się mężczyzna młody jeszcze, wytwornie ubrany, o ruchach niezmiernie żywych, gorączkowych, które w dziwnej były sprzeczności z chorobliwym, suchotniczym wyrazem twarzy, bardzo szczupłej i bardzo bladej, tą trupią prawie bladeścią ludzi, których dni zdają się być policzone.

Twarz ta jednak nabierała niezwykłego ożywienia pod wpływem blasku oczu szafirowych, o wyrazistym, energicznym i przenikliwym spojrzeniu, świadczącym o dużej inteligencji. Z oczu tych, gdy się ożywił rozmową, strzelały błyskawice; zdawały się one przeszywać osobę, na którą spojrzenie swe zwrócił.

Szybkim krokiem podszedł on do Zahorskiego, i wyciągając doń rękę, niezmiernie szczupłą, o długich, chudych palcach, powiedział:



— Jestem Molski, sąsiad i towarzysz niedoli budowlanej szanownego pana.

Zahorski uściśnął mocno dłoń wyciągniętą, i przedstawivszy się również, powiedział:

— Bardzo mi przyjemnie, zem poznał pana, o którym już wiele słyszałem, jako o człowieku bardzo...—tu jednak Zahorski urwał nagle swe powitanie, dostrzegłszy, że poza Molskim o kilka kroków, u samej prawie bramy wjazdowej, stoi jakaś dama, bardzo jeszcze młoda i bardzo urodziwa, ubrana wielce gustownie, z wyszukaną starannością najdrobniejszych szczegółów toalety.

Z jej postawy zakłopotanej, z niezdecydowanego ruchu, z jakim ujmowała w swe rączki suknię, aby ją nieco unieść, ze względu na błoto, jakie ją otaczało, a które przejść widocznie zamierzała, ze spojrzeń trwożliwych, nieco zawstydzonych, jakie rzucała na Molskiego, łatwo było odgadnąć, że przyszła tu z nim, lecz że wahała się, czy przejść do niego, czy też pozostać na miejscu.

Molski jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jej obecności, gdyż spojrzawszy na nią, uderzył się w czoło i rozśmiał się głośno, poczem zawołał:

— Jakże jestem roztargniony! Wybaczą mi państwo... Pozwoli mi moja pani przedstawić naszego sąsiada, któregośmy naszli: pan Zahorski... moja żona, nieodstępna towarzyszka mego

życia, która ani na chwilę nie daje mi swobody i samodzielności ruchów—zaprezentował żartobliwie, z uśmiechem niewysłowionej dobroci na ustach, przyczem spojrzął na żonę wzrokiem, pełnym niezmierniej miłości i przywiązania.

Nagle na bladej jego twarzy, pogodnej przed chwilą, pojawił się niepokój wielki, a jednocześnie występować na niej zaczęła czerwoność, obejmująca szybko policzki i czoło, jak u człowieka, który czyni jakiś niezmierny wysiłek.

Pani Molska, dostrzegłszy to, utkwiała swój przerażony wzrok w twarz męża, którego w tejże chwili chwycił gwałtowny, przenikliwy kaszel. Trwał on kilkadziesiąt sekund bez przerwy i tak zmęczył Molskiego, że później przez kilka chwil nie mógł słowa przemówić i chwycił zmęczoną pierś powietrze.

Widać było, że doświadcza ostrego bólu w piersi, nad którym chciałby zapanować, aby nie domyślano się, jak cierpi. Dopiero gdy zdołał odetchnąć głębiej, wyraz cierpienia znikł z twarzy w jednej chwili, a na ustach pojawił się uśmiech pogodny, żartobliwy, pełen niewysłowionej dobroci.

— To nic, to nic! droga Marylko!... lekki tylko kaszel, zapewniam cię!—mówił pokornie, jakby usprawiedliwiając się z winy, którą popełnił przed chwilą.

W przerażonych jednak wciąż oczach pani Molskiej kręciły się łzy.

Widząc to, wziął jej rękę, i podniósłszy do ust, ucałował kilkakrotnie, zapewniając raz jeszcze, że to nic, że to był lekki tylko kaszel, poczem zwrócił się do Zahorskiego, mówiąc żartobliwie:

— Widzi pan, pod jak surową jestem kontrolą; mojej żonusi wciąż się zdaje, że taki lekki kaszel bardzo mi szkodzi... ale to przesadne obawy... przeciwnie, wzmacnia on mi klatkę piersiową i płuca, które nie są istotnie w zupełnym porządku. Tymczasem moja pani tak jest surową, że domaga się koniecznie, żebym zaprzestał już raz na zawsze przedsiębiorstw budowlanych.

— I czyż nie mam słuszności, mój Sławku? — zauważyła pani Molska z wyrzutem w głosie.

— Nie, aniołku! nie, moje złotko!... przeciwnie, to mi do życia potrzebne... to podtrzymuje energię; zresztą już samo to, że ciągle prawie jestem na powietrzu, w nieustannym ruchu, powinno być najlepszym dowodem, że nie może to szkodzić zdrowiu...

— Tak?... a wilgoć? a pył wapienny?... czyżby i to miało być pomocnem? — powiedziała smutno.

— Staram się też, żeby się na nie nie narażać; zresztą nie długo już twych niepokojów, mój skarbie... pokończę tylko rozpoczęte przedsiębiorstwa, a potem wyjedziemy na cały rok na Madagę, albo do Egiptu.

Pani Molska nic już na to nie odpowiedziała, z piersi jej tylko uleciało głębokie westchnienie, a twarz przyoblekała się smutną rezygnacją.

Zahorski patrzył z wielką sympatią, rozczulony niemal, na tę parę, złączoną, jak widać, węzłem wielkiej, głębokiej miłości, której podkładem była jedna z tych tragedii życiowych, jakich pełno na świecie wśród niedoli ludzkiej, obejmującej wszystkie warstwy społeczne, wszystkie sfery towarzyskie, bez względu na stanowisko, dobrobyt i majątek.

Dość było bowiem spojrzeć na Molskiego, aby zrozumieć, że jest on suchotnikiem zdeterminowanym, w okresie ostatniego rozwoju tej zabójczej choroby, że dni jego są policzone i że, być może, nie przeżyje on wiosny nawet. Łatwo też było domyślić się, że żona jego rozumie to również i widzi powolne konanie człowieka, którego miłuje całą duszą, ubóstwia nawet.

Mówiły o tem jej spojrzenia tkliwe, pełne miłości i serdecznego niepokoju, ile razy zwróciła swój wzrok na męża. Z tego wzroku przeglądała, zda się, cała dusza kobiety, oddanej sercem, myślą i każdym tchnieniem swej istoty.

Było to tem godniejsze podziwu i tem bardziej rozczulało, że Molska, będąc jeszcze bardzo urodziwą, w najpiękniejszym rozkwicie życia, zdawała się rezygnować zupełnie ze swej urody i młodości, ze swych praw do życia i szczęścia, poza mężem nie widząc nic na

świecie, nie pragnąc niczego dla siebie samej, a tylko dla niego.

I tak było istotnie: miłość jej bowiem była najczystszy, najidealniejszy altruizmem, niezbrukany żadnym mętem egoizmu ludzkiego, tem trwalszym i czcigodniejszy, że podkładem jego była wdzięczność...

Idylla ich miłości nie obfitowała w wypadki nadzwyczajne i epizody romantyczne; nikt nie stawał na przeszkodzie ich szczęściu: ani surowi rodzice, ani opiekunowie, ani też rywale lub rywalki; zbliżyła ich do siebie cicha, pogodna z razu sympatya, która stopniowo, niepostrzeżenie dla nich samych, zmieniła się w afekt silny, gorący, pełen czarów miłości...

Molska miała lat 17 zaledwie, gdy poznała swego męża. Była sierotą zupełną i przebywała na wsi, u dawnych znajomych swych rodziców, w charakterze nauczycielki do dwojga małych dzieci.

Tu poznał ją Sobiesław Molski, młody obywatel wiejski, najbliższy sąsiad z okolicy—i w rok potem poprowadził ubożuchną Marylkę Daniecką do ołtarza.

Była to dla niej, jak mówiono w okolicy, partya świetna...

Molski pochodził z dobrej rodziny szlacheckiej, o szerokich koligacyach w najwyższych sferach arystokratycznych, w których, gdyby chciał, mógłby wybrać żonę również młodą

i przystojną, a nadto z dużym posagiem,—tymczasem ożenił się z biedną dziewczyną, która, oprócz dwóch sukienek ozdobniejszych, żadnej ponad to nie miała ślubnej wyprawy.

Gdybyż Molski był dość zamożnym... i to nie—gdyż folwark, jaki odziedziczył po rodzicach, był mocno obdłużony, tak, że gospodarować na nim było bardzo ciężko, a nawet trudno było utrzymać się przy ziemi.

Wiedział o tem doskonale młody Molski, na nic jednak nie zważał i poprowadził swoją ukochaną do ołtarza.

Był przecież młody, silny, inteligentny, czuł w sobie olbrzymi zasób energii do walki z życiem i wierzył mocno, że potrafi wyjść z niej zwycięsko, dlatego też bez żadnej obawy o przyszłość wprowadził do swego skromnego dworku ukochaną Marylkę.

W owym czasie nie przypuszczał nawet, że nosi w sobie zarodek zabójczej choroby, odziedziczonej po matce, gdyż zdawało mu się, że zdrowie ma niespożyte i siły ogromne. Gdyby nie to przeświadczenie, nie porzucałby może wsi i pracy na roli, w której wzrósł, do której się przyzwyczaił i polubił, a która prawdopodobnie nie pozwoliłaby się rozwinąć zarodkom suchot, jakie nosił w swych płucach.

Nie wiedział jednak o tem; że zaś warunki gospodarcze stawały się coraz cięższe, że nadto czuł ogromny zasób energii do pracy na szers-

szem polu działalności, przeto, prędko po ożenieniu się, do wsi zniechęcił się. Było mu w niej za ciasno i za ubogo, on zaś pragnął dać swej Marylce nieco więcej przyjemności życiowych, aniżeli mogła je dać wieś uboga.

Chciał zresztą i sam zobaczyć świat szerszy i pokazać go żonie, i ją pokazać światu; kochał ją bowiem niezmiernie, aż do próżności, i dlatego, być może, chciał, aby ją cały świat podziwiał.

— Wyjedziemy stąd, wyjedziemy w świat szeroki, naprzód do Warszawy, a potem za granicę, do stolic świata... Cóż warte życie takiego skorupiaka, jak wyrobnik rolny, który, pracując na wszystkich, sam ledwie żyć może? Pojedziemy więc, mój skarbie!... Pojedziemy, moje ukochanie! Pokażę cię światu i krzyknę: Patrzcie, jaki mam skarb! patrzcie i zazdroście!—mówił Molski w przystępie dobrego humoru i miłosnego upojenia, chwytając swą Marylkę w objęcia i unosząc w powietrze.

Słuchając tych słów, drżała z rozkoszy, a serce jej, pełne szczęścia i uwielbienia dla męża, biło przyspieszonym tętnem. Tuliała się wówczas do Sławka, do swego pięknego, rozumnego Sławka, i całowała jego usta, oczy, czoło i rękę.

Wierzyła, że to, co mówi, jest dobre i mądre, że to, co zamierza — wykona, jakikolwiek

cel wytknie — osiągnie. Był dla niej wyrocznią i bóstwem.

Ta wielka miłość trwożyła ją niekiedy, przerażała po prostu. Była bowiem bardzo religijna i obawiała się, czy tak wielkie, bezmierne uczucie miłości, jakie żywiła dla męża, nie wchodzi w grzeszną kolizję z miłością ku Bogu? czy nadmiar doczesnego szczęścia, jakiego doświadcza, nie będzie musiał być okupiony cierpieniem w życiu przyszłym?

Te wątpliwości ją męczyły i były jedynym cieniem słonecznej świadomości szczęścia, jakim przepelnione było całe jej jestestwo.

Występowały one również i wobec zamiarów męża porzucenia wsi dla zgiełku miast wielkich.

Tak im/ było dobrze na wsi, tak byli szczęśliwi, tak nikt im nie mącił harmonii domowej! Tam zaś — w Warszawie, za granicą — kto wie, jak będzie?

Trąpiona tą myślą, tuliła się mocniej do męża, i kładąc swą głowę na jego ramieniu, mówiła szeptem:

— Ja się trochę boję, mój Sławku...

— Boisz się! ze mną? — śmiał się Molski.

— Nie, nie! z tobą wszędzie będzie dobrze; nie boję się! to tak, coś, sama nie wiem, co...

— Dzieciaku ty mój najmiłszy!...

W rok potem byli już w Warszawie.

Po sprzedaniu wsi, Molskiemu pozostało



na czysto dwadzieścia dwa tysiące rubli, przy pomocy których zamysłał wstąpić do czynnej spółki w jakimś przemysłowym lub handlowym przedsiębiorstwie, by, tym sposobem, za swój udział w pracy, mieć, poza procentami od kapitału, pewien dochód, wystarczający na życie przyzwoite i dostatnie.

Nie mogąc wszakże znaleźć od razu czegoś odpowiedniego, postanowił tymczasowo zdobyć jakąś posesję na kolei, lub w którejkolwiek z instytucji kredytowych. Zaledwie chęć tę objawił, znaleźli się wnet ludzie „usłużni,” którzy ofiarowali się posesję „wyrobić.” No, i wyrobili. Kosztowało to wprawdzie jednorazowo sześćset rubli i trzy dobre śniadania, ale ostatecznie Molski dostał miejsce na jednej z kolei, z płacą 900 rubli rocznie jak „na początek.”

Ten sposób wyrabiania posesji kolejowych wydał mu się coprawda niekoniecznie uczciwym, lecz przekonał się, że była to droga najpewniejsza i bardzo utarta, poza nią zaś jeżyły się trudności niesłychane, dla przebycia których potrzeba było bohaterstwa, cierpliwości i niezmiernej giętkości karku.

Zresztą na posiadzie tej Molski niedługo pozostawał; po roku zaledwie zaczęto mu robić rozmaite szykany i przykrości, czem zrażony, podał się do dymisyi, tem chętniej, że uplanował już sobie inne zajęcie, samodzielne i obie-

cujące większe korzyści, aniżeli je dać mogła najlepsza nawet posiadłość.

Zajęciem tem były właśnie interesy budowlane, o których mówiono w całej Warszawie; w owym bowiem czasie zbudziła się dopiero gorączka budowlana, która poczęła się rozwijać w szalonym tempie i przyciągać ku sobie ludzi rzutniejszych i odważniejszych. Pobudkę do niej, jak wiadomo, dali żydzi, pociągając za sobą i kapitalistów chrześcijan.

Molski był olśniony perspektywą wielkich korzyści, i rozpatrzywszy się bliżej w całej machinacji tych interesów, postanowił przyjąć w nich udział. Było to bardzo łatwo: kręciło się wówczas po mieście mnóstwo ludzi, niemających stałego zajęcia, ani też pieniędzy, których przemysłem było właśnie wyszukiwanie i następczenie interesów ludziom pieniężnym, co przynosiło im znaczne korzyści.

Była to liczna falanga faktorów, przeważnie jednak żydów, którzy zogniskowali w swych rękach cały handel placami w różnych stronach miasta i na przedmieściach.

Rychło też Molski ujrzał się właścicielem placu, kupionego, w trzech czwartych częściach wartości, na kredyt, dzięki czemu miał do rozporządzenia około ośmnastu tysięcy rubli w gotówce.

Z tą niewielką sumą rzucił się na przed-

siębiorstwo budowlane, przechodzące pierwotnie jego fundusze, i wziął się gorąco do pracy.

Odwaga i rzutność przyniosły spodziewane owoce: po dwóch latach, wybudowawszy dom—natychmiast sprzedał, przyczem czystego zysku otrzymał trzydzieści tysięcy rubli.

Prawda, że pieniądze te zdobyte były nadzwyczajnym wysiłkiem energii i pracy: w ciągu tych dwóch lat większą część roku żył jak wyrobnik zwyczajny; od kwietnia do początków listopada przebywał na placu, gdzie dom budował—od świtu do późnego wieczora. Tu kazał sobie przynosić śniadanie i podwieczorek, i tylko na obiad wpadał na godzinę do domu, nie zmieniając na tę wycieczkę wyszarzanego ubrania, powalanego gliną lub wapnem. Bardzo często przyjmował czynny udział w robotach najgrubszych; nie poprzestawał bowiem na samym tylko ogólnym nadzorze, lecz wglądał w każdą poszczególną część robót budowlanych, co więcej—sam kładł cegły i murował, mieszał wapno i t. p., pragnąc każdą rzecz zbadać na praktyce.

Robotnicy z razu uśmiechali się, patrząc na ten niezwykły ferwor ich chlebodawcy, i głośno żartowali z „pańskich zachcianek,“ powoli wszakże oswoili się z nimi i, co więcej, powzięli dlań szacunek, jako dla człowieka, który, chociaż „pan,“ nie gardził pracą i dzielił ją z nimi. Polubili go nawet za jego przystępne,

umyślnie rubaszne obejście z nimi i „lubienie“ to okazywali większą sumiennością pracy.

— Robota idzie *na schwał!*— mówili nieraz, z lubością przyglądając się rosnącym szybko murom i nadzwyczajnej dokładności roboty.

— Taka chałupa nie zawali się — wtórzili inni.

— Nie żal przynajmniej pracy!...

— To nie to, co u żydów!...

Bez żydów jednak nie obszedł się i Molski. Miał bowiem z pośród nich faktorów i dostawców, a przede wszystkim wytrawnych pośredników w uzyskaniu kredytu.

Był między nimi i Sieradz, który od samego zapoczątkowania gorączki budowlanej najżywszy przyjął w niej udział.

Dzięki jemu to i kilku innym pomniejszych faktorom Molski przekonał się o dobrodziejstwach kredytu.

Zdumiony był z razu niezmierną łatwością, z jaką mu go udzielano; tysiące, dziesiątki tysięcy rubli nawet, wydawano mu na prosty weseł bez czyjegoś żyra... prędko wszakże z tą manipulacją kredytową tak się oswoił, że uważał ją za naturalny i konieczny czynnik rozwoju ekonomicznego w społeczeństwie.

— Na to są przecież banki i towarzystwa kredytowe, które z tego żyją, na to kapitaliści, co sami nie są zdolni do puszczenia kapitału w obrót przemysłowy, którego przedstawicie-

lami my właśnie jesteśmy, ludzie czynu, energii i pracy! Jesteśmy im potrzebni!—tak twierdził Molski i z coraz większą swobodą korzystał z ułatwień kredytowych, szczególnie, gdy po sprzedaży pierwszego domu podjął od razu kilka nowych przedsięwzięstw budowlanych.

Początkowo, korzystając z kredytu, prowadził najskrupulatniejszy rachunek sum podejmowanych z banków i płaconych weksli; później wszakże, gdy obroty pieniężne zaczęły się niepomrotnie zwiększać, a ilość weksli rosła—mniej ścisłą prowadził ich kontrolę.

Nie miał po prostu na to czasu: samo wypisywanie weksli i ciągle wypłaty tak go absorbowwały, że kontrolę poprzednią ograniczył do natychmiastowego niszczenia weksli wykupywanych.

— To najlepsza kontrola—mówił do siebie, przerywając weksel i rzucając go na płonący kominek, lub paląc nad świecą.

Gniewało go tylko, że każdy z jego weksli opatrzony musi być żyrem jednego z finansistów żydowskich, żeby mógł być przez banki akceptowany; miał wprawdzie w dwóch czy trzech instytucjach kredytowych swój osobisty kredyt, lecz w tak drobnych rozmiarach, że ogólna suma, jakąby mógł z tego źródła osiągnąć, była, wobec ogromu jego interesów, kroplą w morzu.

Gniewało go to dla dwóch przyczyn: po

pierwsze dlatego, że „żyra“ żydowskie trzeba było opłacać drogo, a powtóre i dlatego, że cierpiała na tem jego miłość własna, jako zamężnego już człowieka, którego majątek po dziesięciu latach jego rzutnej pracy „obliczano“ na setki tysięcy rubli.

Ile jednak właściwie wynosił ten majątek, samby tego określić nie umiał. Wiedział tylko, że wybudował kilkanaście dużych posesyi, że był w ostatnich czasach właścicielem trzech ogromnych kamienic i że czwartą, rozmiarami swymi przewyższającą poprzednio wybudowane, miał już na wykończeniu; zarazem jednak wiedział, że znaczne bardzo sumy i zobowiązania wekslowe ciążyły na jego majątku, że hipoteki były na dwóch domach wyczerpane. Nie troszczył się wszakże o to, gdyż łatwość kredytowa nie tylko nie ustawała na chwilę, lecz przeciwnie—zwiększała się. Wiedział, że jeśli zechce, może w ciągu dni kilku otrzymać sto i więcej tysięcy rubli na proste weksle, przy pośrednictwie tych samych faktorów.

— Najlepszy to dowód, że sytuacja finansowa jest niewzruszona! — uspokajał siebie w chwilach znużenia w pracy i wątpliwości...

Wydatki miał ogromne, w miarę rozrostu swych interesów nie rachował się z nimi; samo utrzymanie domu i przyjemności życiowe, któremi chciał osłodzić samotne chwile, jakie spędzała jego Marychna, gdy on przebywał po-

za domem—wnosiły kilkanaście tysięcy rubli rocznie.

Na wszystko to jednak starczyło i nigdy przez ostatnich lat ośm nie odczuwał braku pieniędzy; płynęły one z rozmaitych źródeł kredytu, z dochodu domów wreszcie, których był właścicielem.

W kasie ogniotrwalej miał zawsze kilkanaście tysięcy rubli gotówki, a w szufladzie olbrzymiego biurka dębowego stopy złota i srebrnej monety, potrzebnej na wyłaty.

Służba wiedziała o tem i biła czołem przed potęgą finansową pana, lokaj zaś chciwie zapuszczał wzrok do szuflady, aby napić się ponętym widokiem błyszczących półimperyałów—wyglądał też niecierpliwie chwili zapomnienia klucza w zamku, aby mieć sposobność bliżej przyjrzeć się zawartości szuflady.

— Ani chybi, że tego złota pan nigdy nie liczy!—myślał, pożerany chciwością i zazdrośnem uczuciem zepsutego sługi względem bogatych państwa.

— Takim to dobrze! Na wszystko mają, pieniędzy wbród i nie potrzebują się namordować pracą, jak my! — wzdychała zazdrośnie pokojówka w poufnej rozmowie z lokajem.

Słowem wszystkie przytaczane tu okoliczności złożyć się musiały na famę wielkiej zażności Molskiego i szczęścia do interesów, które same szły mu do ręki.

W ostatnich na przykład czasach nie mógł się on opędzić od propozycji drobnych kapitalistów i kapitalistek, przeważnie emerytek i emerytów, a również ex-obywateli, którzy szli do niego gromadnie i ofiarowywali mu do dyspozycji swe oszczędności: po kilka, nawet po kilkanaście tysięcy rubli, w nadziei, że pieniądze te w rękach Molskiego przyniosą znaczny procent.

— Któż panów do mnie skierował?—pytał Molski, zdumiony i zakłopotany zarazem.

— Nikt, proszę pana; my sami pragnęlibyśmy, żeby nasz kapitalik przyniósł nieco więcej, niż listy zastawne.

— Umieście go więc na hipotekę... teraz płacą dobry procent: po ośm do dwunastu...

— Boimy się... dać łatwo, ale odebrać później trudno; nie o jednym takim wypadku słyszeliśmy—mówiła jakaś para małżeńska, ludzie już starsi, których całym majątkiem było kilka tysięcy rubli, jakie pragnęli umieścić u Molskiego;—to nasz cały kapitalik, jedyny i ostatni ratunek; mieliśmy więcej, lecz sporo pieniędzy nam przepadło na hipotekach, oszukano nas, więc teraz obawiamy się...

— A mnie powierzyć nie obawiacie się państwo? — zapytał Molski z uśmiechem, połączony przyjemnie tym dowodem zaufania ze strony ludzi, których po raz pierwszy widział w życiu.



— O, nie! tak wiele słyszeliśmy o panu dobrodzieju, tak wiele dobrego... prócz tego zawsze pewniej mieć do czynienia ze swoim, a tymczasem dziś tylko żydzi pożyczają na hipotekę.

-- Ale ja pieniędzy obecnie nie potrzebuję—tłómaczył się Molski;—zresztą to suma zbyt drobna, żebym ją miał wciągać na hipotekę... mam znacznie większe na swych domach...

— W takim razie niech pan dobrodziej weźmie tak, na weksel; nam wszystko jedno; żebyśmy tylko wiedzieli, że pieniądź nasz jest w pewnych rękach i że otrzymamy niezgorszy procencik—nalegali natarczywie.

Takich propozycji Molski miał sporo, lecz żadnej nie przyjął, pomimo, że pokusa była wielką...

W ten sposób bowiem mógłby, nie obciążając hipotek, ani też nie potrzebując uciekać się do pośrednictwa żydów, zwiększyć rozporządzalną gotówkę o kilka tysięcy rubli, co, na owe czasy, pomimo nawet niezmiernych ułatwień kredytowych, było rzeczą nie do pogardzenia. Kredyt ten wypadłby znacznie taniej, aniżeli kredyt wekslowy, krótkoterminowy, z dużym haraczem za owe „żyra“ żydowskie.

Kombinował to Molski wybornie, a jednak wzdragał się korzystać z ofert, czynionych przez ludzi, kierowanych do niego bezwzględ-

dnem zaufaniem i wiarą w jego szczęście do prowadzenia interesów.

Powstrzymywało go od tego jakieś dziwne uczucie obawy, strach niemal, aby tego zaufania i wiary mimowoli nie nadużyć, lub też w razie, gdyby, skutkiem zmienionych okoliczności na rynku interesów budowlanych, albo przyczyn ogólniejszej natury, których przewidzieć nie mógł, znaleźć się miał w trudnem położeniu finansowem—nie mieć wówczas na sumieniu strat, albo i ruiny ludzi, którzy mu dziś, z taką ufnością, powierzyć chcą swój grosz ostatni.

Wprawdzie żadnych tak niepomysłnych konjunktur nie przewidywał i sam siebie uważał za człowieka dość już zamożnego i silnie stojącego na nogach—to jednak wołał zachować pewną w tym względzie ostrożność.

Co innego kredyt wekslowy przy pośrednictwie żydowskich banków i żydów—dawał on gwarancję jego zdolności płatniczej i był najlepszym miernikiem sytuacji majątkowej...

— Gdyby było inaczej, nie miałbym u nich kredytu—myślał, rozumując, do pewnego stopnia słusznie, że kredyt taki jest najlepszą kontrolą pomysłności interesów, które prowadził.

— Oni lepiej znają mój stan majątkowy, aniżeli ja sam!—uspokajał siebie w chwilach osłabienia energii przedsiębiorczej i ufności w swą gwiazdę szczęśliwą.

A chwile takie przychodziły coraz częściej, od czasu, gdy skutkiem wyczerpującej pracy, niewygód i gorączkowego podniecenia, w jakim ciągle przebywał, zdrowie jego zaczęło się rujnować, gdy poczuł w sobie rozwijanie się zabójczej choroby, jakiej zarodki odziedziczył po matce...

I wówczas wpadł z jednej ostateczności w drugą: rozwinął bowiem przesadną ostrożność i pedanterię w pielęgnowaniu zdrowia; otoczył się wygodami i zbytkiem; zapewnił sobie, za grube pieniądze, stałą opiekę pierwszorzędných lekarzy; zamienił wspaniałe mieszkanie, które zajmował w domu własnym, w jakieś sanatorium, w którym przestrzegane były najsurowiej wszelkie wymagania higieny; słowem nie zaniedbał niczego, co uważał za niezbędne do do pielęgnowania zdrowia.

Pedanterya ta posunięta była do tego stopnia, że każdy interesant, który chciał się z nim zobaczyć w mieszkaniu, musiał przechodzić formalną kwarantannę w urządzonej odpowiednio poczekalni; przestrzegane to było szczególnie w porze zimowej i stosowane najgorliwiej do żydów, którzy musieli najmniej kwadrans wyczekać w atmosferze, nasyconej zapachem karbolu i chloru.

Nie nawykli do takiej procedury dezynfekcyjnej, żydzi kręcili znacząco nosami i niecierpliwili się bardzo, szczególnie, gdy wypadł

im interes pilniejszy, niecierpiący zwłoki; jednocześnie wszakże ta trudność dostania się przed oblicze pańskie podnosiła zarazem w ich oczach znaczenie i powagę Molskiego, i zniewalała do uginania karków nieco niżej.

Był to bezwiedny z ich strony przejaw kultu dla jego siły finansowej.

— Nu! on jest wielki bogacz! Do niego dostać się tak trudno, jak do samego cadyka!— mówili żydzi między sobą, cmokając ustami.

— Jemu nie pilno! jemu nigdy nie jest gwałt—potwierdził to mniemanie jeden ze stałych faktorów Molskiego; — ja mu przywiozłem raz piętnaście tysięcy rubli samem złotem, to on całą godzinę kazał mi czekać, zanim raczył wziąć pieniądze.

— Aj, aj!—dziwili się inni, słysząc o tak niezwykłym fakcie.

Nie wszystkich jednak żydów olśniewała ta niedostępność Molskiego. Byli bowiem i tacy, którzy pałali nienawistnem ku niemu uczuciem, szczególnie zaś Liebkind, za to głównie, że, chociaż sam bogacz i potentat finansowy, traktowany był na równi prawie z innymi, pomimo, że z Molskim od dawna już prowadził interesy pieniężne.

— Co on sobie myśli ten Molski?! On mnie, Liebkindowi, podaje rękę jak z łaski... półtora palca... Tfy!—pluł Liebkind, gdy uprzy-

tomniał sobie wyniosłe, wielkopańskie jego zachowanie się.

Zahorski słyszał już wiele o tych „oryginalnościach“ Molskiego—i chociaż nie znał go, żywił dlań bezwiedną sympatyę; dlatego też z prawdziwą przyjemnością powitał sposobność poznania go i zawarcia z nim bliższych stosunków towarzyskich, a to tem bardziej, że nie tylko on sam, lecz i pani Molska uczyniła na nim miłe wrażenie.

— Niech państwo będą łaskawi przejść tu, na swobodniejsze i suchsze miejsce—zapropozował Zahorski, gdy minął atak kaszlu u Molskiego; a zwracając się do stróża, polecił mu przynieść dwa krzesła.

— A to poco? Oto tu, wyborne miejsce — odparł Molski z uśmiechem i usiadł na stosie cegieł, zapraszając gestem żonę do naśladowania go.

Pani Molska wszakże nie tylko sama nie usiadła, lecz spojrzawszy z niemym wyrzutem na męża, powiedziała:

— Jak możesz, Sławku? Wiesz, jak ci szkodzi wilgoć i najmniejsze zaziębienie...

— Ach, prawda! Wybacz mi, aniołku! zapomniałem—usprawiedliwił się Molski i pośpiesznie wstał.

Tymczasem stróż nadbiegł z krzeselkami.

— Ja tu do szanownego pana z interesem,

a właściwie z sąsiedzkiem ostrzeżeniem — zaczął Molski.

— Z góry za nie dziękuję — powiedział Zahorski.—O cóż to chodzi?

— Dowiedziałem się, że w partyi robotników, świeżo ugodzonych, znajduje się kilku nicponiów, którzy przedtem byli u mnie. Czy ma pan listę robotników?

— Jeszcze nie miałem jej w rękę, zresztą nie interesuję się tem tak dalece, pozostawiając ocenę ich wartości podmajstrzemu i faktorowi— odparł Zahorski.

— Nie zawsze to dogodne—zauważył Molski z uśmiechem.—A jak się nazywa ów faktor, jeśli można wiedzieć?

— Sieradz.

— Aa!.. znam go wybornie; jest to człowiek bardzo sprytny i przydatny, pilnować go wszakże trzeba, a na dowód niech pan będzie łaskaw kazać sobie podać listę nowego robotnika.

Zahorski wydał odpowiednie rozporządzenie i po kilku minutach miał już w rękę arkusz brudnego papieru, wypełniony nazwiskami, wypisanymi fatalną ortografią i cudacznie brzmiąciami.

Molski uważnie przejrzał listę i podkreślił w niej kilka nazwisk czerwonym ołówkiem, mówiąc:

— To są zawodowi złodzieje budowlani,

pracowali oni u mnie w roku zeszłym przez dwa miesiące i pokradli materiałów budowlanych za kilkaset rubli.

— W tej chwili każę ich wypędzić! — zawołał Zahorski porywczo.

— To niekonieczne, a przynajmniej nic pilnego—zauważył Molski z uśmiechem;—robotnik to bardzo dobry, tylko że potrzebuje dozoru, jak zresztą wszyscy, bo wszyscy kradną, o ile tylko się uda...

— Mile stosunki!

— Tak, niewesołe; już to wogóle, a w szczególności w interesach budowlanych, cudza własność nie jest uznawaną... Trudno nawet temu dziwić się, gdyż nie tylko robotnicy kradną... czynią to samo i nadzorcy robót. Czy pan jest pewny nadzoru?

— O tyle, o ile. Główny nadzór ja sam prowadzę, materiałów zaś zobowiązał się pilnować Sieradz, a wreszcie stróż...

— Hm!... A z czyjej poręki jest ten człowiek?

— Nastreczył go Sieradz.

Molski rozśmiał się dobrodusznie.

— W takim razie gwarancya uczciwości, względnej przynajmniej, redukuje się do jednej osoby.

— Jakto?

— W sposób bardzo prosty: stróż z poręki nadzorcy musi być powołnem jego narzę-

dziem; zależność zaś taka jest niewątpliwą, tem bardziej, gdy nadzorcą jest taki człowiek jak Sieradz, sprytny, ale przebiegły niezmiernie.

— Więc pan radzi...

— Dać im rozwód: jeden albo drugi...

— Nie omieszkałam zastosować się do tej rady—powiedział Zahorski, uznając w zupełności słuszność uwagi Molskiego i czyniąc w myśli postanowienie, że stróża oddali niezwłocznie. O oddaleniu Sieradza nie pomyślał nawet; był on, jak dotąd, niezbędny.

— Nie radziłbym też zbyt ufać Ogórkiewiczowi, który i u mnie ma nadzór nad robotami. Majster to rutynowany i zdolny, lecz główną jego wadą, zarówno dla pana, jak i dla mnie, jest ta okoliczność, że podjął się dostawy materiałów budowlanych jednemu z pomniejszych przedsiębiorców, który buduje dom na sąsiedniej ulicy...

— Jak widzę, jest pan wybornie poinformowany—zauważył Zahorski z uśmiechem.

— O, ja muszę wszystko wiedzieć! Inaczej nie mógłbym prowadzić interesów... Zresztą Ogórkiewicz ma już za sobą wielką pod tym względem popularność, której zawdzięcza dwie ładne kamienice, będące jego własnością; jest to więc człowiek dziś już zamożny, zaręczyć jednak mogę, że mury tych kamienic rosły w trzech czwartych częściach z cegły kradzionej... Przepraszam pana... jak często szanowny



pan osobiście kontroluje postęp i dokładność robót i w jaki sposób?—zagadnął Molski nie spodzianie.

— To rzecz budowniczego; co do mnie, nie bardzo znam się na budownictwie.

— A jednak znać się trzeba; kontrola budowniczego, choćby takiego Wolińskiego, nie wystarcza; jemu chodzi tylko o ściśle wykonanie planu, reszta mniej go interesuje.

— Więc cóż mam czynić?—zagadnął Zahorski nieco zaniepokojony, rzucając okiem na mury, które sięgały już drugiego piętra.

Spojrzał w tę stronę Molski, poczem zapytał:

— A jak często zagląda pan na górę?

— Gdzie?

— Na górę, gdzie kładą cegłę.

— Alboż to potrzebne?

— Konieczne.

— To rzecz majstra i podmajstrzego.

— Zapewne, lecz *interes* w tem właściciela. Ja codziennie oglądam mury z wierzchu.

— Dla mnie byłoby to za trudno: miewam zawroty głowy, a przejście po deskach niezbyt bezpieczne—tłómaczył się Zahorski.

— Pozwoli mi pan rzucić okiem na roboty?—zagadnął Molski.

Usłyszawszy to pytanie, pani Molska spojrziała z niepokojem na męża, co zauważył Za-

horski i dlatego powiedział z pewnem ociąganiem się:

— Ależ owszem... tylko obawiam się, żeby się pan nie utrudził; tymczasowe schody nie są ani zbyt wygodne, ani nawet pewne.

— O, co do tego, jestem przyzwyczajony; zresztą chodzą przecież robotnicy, a to już jest dostateczną gwarancją bezpieczeństwa—odparł Molski, i powstawszy, postąpił kilka kroków w kierunku robót, po chwili jednak zawrócił nagle, a podszedłszy do żony, ujął jej rękę i podniósł do ust, mówiąc:

— Niech się pani moja nie niepokoi, w tej chwili wrócę.

— Dobrze, lecz proszę: zachowaj się ostrożnie—szepnęła z drzeniem w głosie.

— Naturalnie! — odparł i ruszył szybkim krokiem na przód.

Podążył za nim Zahorski.

Ze zręcznością wytrawnego gimnastyka Molski wbiegł na cienką, uginającą się pod nogami kładkę, a z niej na tymczasowe schodki, prowadzące na górę. Za nim, zachowując wszelakie środki ostrożności, szedł Zahorski.

Dostrzedz ich musieli robotnicy, pracujący na górze, gdyż zaprzestali na chwilę roboty i zaczęli między sobą coś szeptać.

Nastreczała się im wyborna gratka: oto bowiem mogli dostać suty napiwek od Molskiego, który po raz pierwszy zjawił się na placu,

gdzie prowadzono budowę domu, i w dodatku piał się jeszcze na górę, gdzie szła robota. Takich niespodzianych gości zawsze „wiązano,” jak to się czyni na wsi, gdy ktoś z obcych po raz pierwszy zajrzy do żniwa; tu zaś rzucano pod nogi heblowiny lub sznur do prostowania linii muru.

Był to zwyczaj odwieczny i robotnicy przestrzegali go troskliwie, we własnym interesie.

— Taki pan, jak Molski, to byle papierkiem się nie wykręci, sypnie jak się patrzy, może pięć, a może i dziesięć rubli! — mówiono półgłosem, oczekując w skupieniu ukazania się panów.

Na ich spotkanie wybiegł tymczasem Skwara, podmajstrzy, przyczem mruczał pod nosem:

— Czort przyniósł tego Molskiego! taki ci zdechlak, a wszędzie ci wleźć musi.

— A... pan Skwara! Jak się masz, przyjacielu?—powitał go pierwszy Molski.

— Chwalić Pana Boga! żyje się, proszę łaski pana—odparł Skwara, zdejmując czapkę i oddając niski ukłon.

— Jakże tam idzie robota?

— Jak ma iść?... Jak zwykle: cegła i wapno, wapno i cegła...

— A no, zobaczymy—powiedział Molski i skierował się w stronę, gdzie szła robota.

— Tu lepiej będzie, proszę łaski pana: mur świeżo wyrównany, a i przejście łatwiej-

sze—zachęcał Skwara, wskazując inny kierunek, aniżeli ten, jaki obrał sobie Molski.

— Nic nie szkodzi! dostaniemy się i tam, ale później—odparł Molski, idąc dalej.

— Czort!—szepnął do siebie Skwara i szedł dalej.

— Boże dopomóż!—wołał Molski z daleka do robotników, którzy ugrupowali się, żeby go powitać.

— Dziękujewa wielmożnemu panu!—odpowiedziano chórem.

Molski sięgnął do kieszeni, będąc już z góry przygotowany na obowiązkowy haracz, i wyjął garść rubli srebrnych, które miał zwyczaj zawsze nosić ze sobą.

Ceremonia powitalna odbyła się szybko; na rzecz robotników przypadło siedm rubli, które Molski rzucił do nadstawionej czapki.

— Dziękujewa pokornie! niech żyje hojny pan!—ozwał się tęgi chłop, o minie zawadyackiej, z okiem podbitym sińcem, z krwią pod skórą zaskrzepłą.

— Niech żyje! powtórzyło kilka głosów, poczem robotnicy rozstąpili się i udali na swoje miejsca.

Molski tymczasem zaczął się pilnie rozglądać wkoło siebie, nagle zawołał głosem donośnym:

— Panie Skwara! chodźno pan tu do nas! Skwara niechętnym, wolnym krokiem zbli-

zał się na wezwanie, a gdy zrównał się z nimi, Molski powiedział, wskazując laską na mur świeżo prowadzony.

— Jak kładziecie cegłę?—zapytał surowo.

— Jak trzeba, proszę pana.

— Mur w środku pusty!

— Bogać tam pusty! tyle że cegła była pokruszona, więc dodawszy gliny, sklepaliliśmy... i to tylko w tem miejscu.

— Tylko w tem? Bo gdzieindziej sprawdzić trudno! Jak można tak stawiać mur główny?

— Tak kazali, żeby się cegła nie marnowała...

— Kto kazał?—zapytał Zahorski ostro.

— Któż, jak nie ten... żyd!—odparł Skwara ponuro.

— Wołać tu Sieradza!—krzyknął gniewnie Zahorski.

Daremnie go wszakże szukano—znikł jak kamfora, chociaż widziano go przed chwilą.

— Niema go, proszę wielmożnego pana—zameldował stróż.

— Jak mogliście zgodzić się na taką fuszerkę?—zagadnął Molski.

— To żadna fuszerka! Taki mur jeszcze silniejszy. Zresztą, jak nam grają, tak śpiewać musimy. Zawszeć to taniej wypada, jak się nic nie zmarnuje... My o pańskie dobro stoimy!... Nam jeszcze lepiej, jak jest czysta cegła... a jak

nie dają, to co robić? — usprawiedliwiał się Skwara.

— A budowniczy wie o tem?

— Pewnikiem wiedzieć musi...

— A no, zobaczymy! — powiedział Zahorski, nie będąc pewny, czy taki sposób stawiania murów jest zły, czy też tylko „oszczędny.“

Zapytał o to Molskiego, gdy znaleźli się na dole.

— Jest to dopuszczalne — odparł Molski, — o ile robota jest sumiennie prowadzona i dokładna; wymaga ona wszakże dłuższego czasu na ubijanie gruzu wewnątrz muru, gdy tymczasem z czystej cegły mur szybko idzie do góry.

— Ja też sam uważam, że roboty idą dość opieszale.

— Na to mogły wpłynąć i inne przyczyny...

— Jakie mianowicie?

— Lenistwo robotników i niedbalstwo nadzoru... tym ludziom trzeba patrzeć na ręce! — powiedział Molski z mocnem przekonaniem doświadczonego praktyka, który nie jedno już widział.

— Muszę nakazać pilniejszy nadzór — oświadczył Zahorski z miną zakłopotaną.

— To nie zawadzi. Tymczasem może pozwoli mi pan obejrzyć materiały budowlane, a głównie cegłę; wiedziałem, że jest zwieziona w większej ilości.

— Tak.

— Z czyjej cegielni?

— Rudowskiego.

— To najlepsza u nas cegła—powiedział Molski i szybkim krokiem skierował się do stosów cegły, zajmującej spory kawał placu.

Cegła ułożoną była w równiutkie czworoboki, pozwalające ocenić wyborny istotnie gatunek cegły, doskonale wypalonej, pięknego koloru pomarańczowo-ceglastego.

Molski wziął do ręki jedną cegłę i uderzył w jej środek srebrną główką laski.

— Dźwięczy jak metal... dzwoni po prostu—orzekł zadowolony, z miną fachowego znawcy, oceniającego dobroć towaru.

— Rudowski to dobry nasz znajomy—powiedział Zahorski, jakby chcąc tem objaśnić przyczynę wyjątkowej dobroci cegły.

— To nie ma wpływu... oni już mają markę wyrobioną i nie wypuszczą w świat złej cegły; za to też biorą nieco drożej, lecz to się opłaca—odparł Molski i wszedł w środek placu, okolonego murem cegły.

Zaledwie wszakże tam się znalazł, zawołał głośno:

— A co! miarkowałem, że tak jest!..

— Co takiego? — zapytał Zahorski zaniepokojony.

— Wyraźne oszukaństwo!—odparł Molski i wskazał na stosy cegły źle wypalonej, pokruszonej, która w wielkiej ilości leżała na

placu, osłonięta dobrą cegłą, którą się Molski tak zachwycił.

— W czym je pan widzi?

— Ta cegła pochodzi z innej cegielni...

— To być nie może!

— Tak jest, mogę zapewnić pana; zresztą wkrótce się o tem przekonamy; niech szanowny pan naciśnie ostro Skwarę, a zaręczam, że, przyciśnięty do muru, wyjawi nam tajemnice tej szacherki.

Wezwano Skwarę.

Ten widocznie bez wielkiej chęci, krokiem powolnym, podszedł do panów.

— Kiedy to przywieźli?—zapytał Zahorski, wskazując na pokruszoną cegłę.

— Kilka dni temu; wożą zresztą codziennie—dał odpowiedź wymijającą.

— Dlaczego taka pokruszona?

Skwara spojrział i przez jego usta przemknął zaledwie dostrzegalny uśmiech, poczem powiedział:

— Musiała się potłuc przy zwałeniu z wozów...

— Ależ to być nie może!—wybuchnął Zahorski.—Pan sam widzisz chyba, że ta cegła jest zła i musiała być potłuczona przed jej złożeniem na placu. Zresztą to zupełnie inna cegła! W tem musi być jakieś oszukaństwo, o którym musisz coś wiedzieć... wszak to pan przyjmujesz, sprawdzasz i wydajesz kwitki?



— Przyjmuję co przywożą, a kwitki wydaje Sieradz; jeżeli więc jest jakie oszukaństwo, to on wie o tem lepiej.

— I dużo takiej cegły nazwożono? — zapytał jeszcze Zahorski, mocno już podrażniony.

— Wozili, a ile... trudno pamiętać; ja tam, proszę wielmożnego pana, w to nie wchodzę, nie moja rzecz!

— Jakto nie pańska? Powinieneś był mnie o tem wcześniej powiedzieć, jeśliś widział, że cegła zła i potłuczona!

— Skąd ja mogę wiedzieć? Myślałem, że to się bez wiedzy pańskiej nie dzieje... Wielkiej szkody z tego niema: byłem przy budowie wielu domów, gdzie gorszą jeszcze cegłę brali, a nawet nie cegłę, a gruz ze starych rozbiórek i piasek, a przecież domy stoją i ludzie w nich mieszkają—tłómaczył się Skwara, usiłując zażegnać burzę, jaką przeczuwał, że zbiera się nad głową Sieradza, a może i nad majstrem Ogórkiewiczem, który, domyślał się, był wtajemniczony w machinacye z cegłą.

Zahorski, widząc, że od Skwary niczego się nie dowie, odwrócił się do niego plecami, dając tem poznać, że nie ma już z nim nic do mówienia.

Skwara odszedł, rozmyślając nad skutkami dokonanego odkrycia.

Że nadużycia były, o tem wiedział; zwraca-

cał na to w swoim czasie uwagę Ogórkiewicza,— ten wszakże zbył go krótko, mówiąc:

— Nie twoja to rzecz... nie trzeba wści-  
biać nosa, gdzie nie proszą...

Z tej odpowiedzi Skwara wymiarkował, że jego majster toleruje nie bez kozery szacherki z cegłą—i dlatego więcej się już do tego nie mieszał, tem bardziej, że na drugi dzień po tej rozmowie Sieradz przy wypłacie tygodniowego zarobku „dorzucił“ mu całe pięć rubli, mówiąc:

— To za to, że pan Skwara dobrze pilnu-  
je, żeby się cegła nie marnowała...

Mądrej głowie dosyć było tych słów, żeby zrozumieć, o co chodzi; pięć rubli zaś dokonały reszty. Teraz bowiem na pewno już wiedział, że Sieradz szachruje do spółki z Ogórkiewiczem; milczał jednak.

— A niech tam! — co mi do tego... nie moje!—myślał i oczekiwał w dalszym ciągu dowodów wdzięczności za to milczenie.

Zawiódł się jednak, albowiem Sieradz musiał uznać, że pięć rubli dla takiego „głupiego chłopca,“ jak Skwara, wystarczy i przy następnej wypłacie już nic mu nie dodał. A tymczasem na plac zwożono wciąż najlichszy materiał budowlany.

Widząc to, Skwara hamował w sobie złość na Sieradza i chętkę zwrócenia uwagi właściciela na nadużycia z cegłą,—powstrzymywała go

bowiem obawa narażenia się Ogórkiewiczowi, z którym od lat już wielu pracował.

Teraz wszakże, gdy zmiarkował, że cała sprawa wyjdzie na jaw, dał ujście swemu niezadowoleniu i postanowił Sieradza „utopić.“

— Będzie lepiej, jak tego żyda dyabli wezmą!—powiedział do siebie i odszedł, namyślając się, w jaki sposób to uczynić, a przez to samo zasłużyć sobie na względy Zahorskiego.

Trzeba było jednak zebrać dowody szacherek, przy pomocy robotników i ludzi, którzy cegłę zwozili.

Zahorski tymczasem, zafrasowany mocno niemilem odkryciem, rozglądał się po placu, szukając wzrokiem Sieradza. Nie było go wszakże. Przepadł jak kamień w wodę.

— To nie ucieknie... Niech tylko szanowny sąsiad ostro na niego natrze, a wyśpiewa wszystko; wówczas zaś łatwo będzie zaradzić złemu i zabezpieczyć się na przyszłość; co do mnie, to ten Skwara wydaje mi się człowiekiem niepewnym i nie dałbym grosza za to, że on sam zamieszany być musi w szacherkach z cegłą...

— Dziękuję, serdecznie dziękuję za życzliwe ostrzeżenie; nie omieszkać z niego skorzystać... Ale oto i mój syn, Władysław—dodał z ożywieniem, dostrzegłszy Władysława, który wysiadał w tej chwili z parokonnej dorozki na gumach.

Był, jak zawsze, ubrany bez zarzutu, pełen wytworności w postawie i ruchach. Twarz jego tryskała życiem i zdrowiem.

Molski zazdrosnem spojrzeniem człowieka schorowanego objął dorodną postać młodzieńca i westchnął nieznacznie, jednocześnie wszakże uczuł bezwiednie do niego sympatyę—Władysław bowiem, mimo całej swej lekkomyślności, miał szczęście do ludzi, i nie zdając sobie z tego sprawy nawet, zjednywał ich dla siebie przy pierwszym poznaniu. Wyrobiło to w nim pewność i swobodę towarzyską, która, przy jego otwartej, jakby dobrodusznej nieco fizyognomii, ułatwiała stosunki z ludźmi i prędko do nich zbliżała.

Stało się tak i obecnie, gdyż po dopełnionej prezentacji rozmawiał z Molskim poufale i serdecznie niemal, jakby znał się z nim już od bardzo dawna.

— Jak dobrze się stało, że powziąłem szczęśliwą myśl odwiedzenia panów! Teraz, skorośmy się poznali, będziemy częściej się widywać i dzielić naszymi kłopotami; będzie nam raźniej na tem pustkowiu — mówił Molski;— lecz na dziś dość już mamy tych spraw budowlanych, tem bardziej, że widzę, jak moja biedna pani błagalnie spogląda w naszą stronę; idźmy do niej.

Gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie oczekiwała pani Molska, Władysław nie mógł ukryć

wrażenia, jakie sprawił na nim widok młodej, wytwornej i pięknej damy, która wśród tego rozgardyaszu budowlanego wydała mu się jakimś czarodziejskiem zjawiskiem.

Był nią po prostu olśniony.

Uwielbienie swe dla niej wyraził w głębokim, pełnym najwyższego szacunku ukłonie.

Pani Molska nie byłaby kobietą, a do tego młodą i piękną, żeby nie odczuła wrażenia, jakie wywarła—i to wprawiło ją w pewnego rodzaju zakłopotanie i onieśmienie.

Trwało ono wszakże jedną chwilę zaledwie, gdyż prędko zapanowała nad tem onieśmieniem i pokryła je pewną sztywnością i chłodem powitania wielkoświatowej damy, umiejącej utrzymać mało znanego mężczyznę na dalekim dystansie towarzyskim.

Nienawykła była zresztą do hołdów, składanych przez młodych ludzi każdej niebrzydkiej i młodej kobiecie, gdyż, jak dotąd, oprócz interesantów, przychodzących do męża, nie miała nawet sposobności obcować z ludźmi właściwej sobie sfery towarzyskiej.

Od czasu bowiem, jak przyjechali do Warszawy, nie mieli sposobności nawiązać stosunków światowych; a że dawnych stosunków nie mieli, przeto żyli prawie samotnie, oddani sobie całkowicie w tych krótkich chwilach, jakie mogli spędzić razem poza gorączkowem zajęciem męża interesami, które prowadził.

Niewiele jednak było tych chwil wypoczynku, do których wzdychali oboje, wyczekując ich z upragnieniem.

Zwykle następowały one w święta i niedziele, lecz i w te dni nawet nie mogli oddać się sobie zupełnie, gdyż od rana do późnego wieczora przychodzili interesanci, przeważnie żydzi, dalej dostawcy materiałów budowlanych, majstrowie rozmaitych rzemiosł, dozorczy i rządcy domów, a wreszcie inni oficjaliści, których Molski miał kilkunastu, prowadził bowiem po dwa, trzy przedsiębiorstwa budowlane jednocześnie, w rozmaitych stronach miasta.

Załatwienie się z nimi, przyjęcie rachunków, dopełnienie grubszych wypłat i t. p. zabierało prawie dzień cały, tak, że gdy zbliżała się godzina rozpoczęcia widowisk w teatrze, uciekali po prostu z domu, aby ich kto nie zaszedł niespodzianie i nie pozbawił tej jedynej rozrywki, jaka im była dostępną. To też na święto i na każdą niedzielę mieli już z góry bilety kupione—choć nie zawsze udało się im z nich skorzystać.

Do tego trybu życia tak się wreszcie przyzwyczaili, że nie odczuwali potrzeby towarzyswa ludzi obcych. Było im najlepiej razem, we dwoje.

Niekiedy tylko ta monotonnaść ich życia przerywaną była niespodzianie przyjazdem dalekich krewnych ze wsi, których przedtem nie

znali prawie, a którzy sami przypomnieli się ze swem pokrewieństwem, gdy Molski zasłynął już jako człowiek bardzo zamożny, gdy zajmował piękny apartament na pierwszorzędnej ulicy, miał powóz i konie.

Przyjazdy te wszakże były dla nich ciężarem niewysłowionym, gdyż wykolejały ich ze spokojnego, chociaż bardzo pracowitego życia, na czas dłuższy.

Rzecz dziwna—o tem wszystkim pani Molska nigdy nie rozmyślała; przyszło to jej na myśl dopiero teraz, gdy przysłuchiwała się rozmowie jej męża z Zahorskimi, z których młodszy wydał się jej chłopcem bardzo przystojnym, lecz i bardzo młodym zarazem.

Przyglądała mu się z pewnem zaciekawieniem i słuchała niby uważnie tego, o czem mówił z jej mężem,—lecz zajmował ją więcej dźwięk jego głosu, aniżeli treść rozmowy; wydało się jej bowiem, że w głosie tym, o brzmieniu łagodnem i przyjemnem, jest pewna sztuczna modulacya.

— Ciekawa rzecz, czy on tak zawsze mówi?—zapytała się w myśli i uśmiechnęła się.

Zwróciła również jej uwagę niezwykła staranność i elegancya w ubraniu, które w porównaniu z ubraniem jej męża, wprost zaniedbanem, wydawało się bardzo pretensyonalnem; bawiły ją również i szykowne lakierki, na cieniutkich jak papierek podeszwach, z wydłużonymi mo-

cno nosami; uważała przytem, że ich właściciel spoglądał na nie dość często, z pewną nawet przyjemnością, pozorując swe spojrzenia skupieniem uwagi nad tem, co mówił jej mąż z wielkiem, jak zawsze, ożywieniem i przejęciem.

— Jest bardzo zabawny! — uczyniła wreszcie w myśli konkluzję—choć przystojny, nawet bardzo przystojny—dodała po chwili, jakby chcąc uzupełnić swą ocenę.

Tymczasem Władysław, nie podejrzewając nawet, że poddany został dość surowej krytyce pięknej pani, rwał się do niej myślą i niespokojnie przestępował z nogi na nogę, wyczekując stosownej chwili, aby uwolnić się od Molskiego, który wpadłszy na jakiś temat z dziedziny stosunków ekonomicznych kraju, wyповідаł cały o nich traktat, dowodząc, że od nich zależy odrodzenie i przyszłość społeczeństwa.

— Tak, tak, to zupełnie słuszne — przywtórzył Władysław, żeby coś powiedzieć, nie myślał bowiem wchodzić w zasadniczy spór z człowiekiem, który dysputował zbyt namiętnie.

Na szczęście, wmieszał się do rozmowy stary Zahorski i wystąpił z gorącą opozycją przeciwko krańcowo prozaicznemu i filisterskiemu ideałom społecznym, jakich hołdownikiem zdawał się być Molski.

Z wmieszania się ojca skorzystał Władysław i zbliżył się do pani Molskiej.

W tej chwili krzesło, na którem siedziała



przechyliło się skutkiem osunięcia się gruntu; uczyniła więc ruch nagły dla zachowania równowagi, co widząc Władysław, jednym skokiem znalazł się przy niej i silnym ruchem ją podtrzymał, przyczem mimowoli dotknął jej ramienia.

Wydała lekki, mimowolny okrzyk i powstała, mówiąc:

— Dziękuję panu, chociaż i takbym nie upadła...

— Niebezpieczeństwo jednak było—zauważył Władysław zartobliwie, wskazując na przechylone krzesło, którego dwie nogi zagłębiły się mocno w grunt wilgotny. — Zaiste, niefortunny wybór miejsca na wypoczynek...

— Przeciwnie!... bardzo... Naokoło nas wre gorączkowa praca—odparła, wskazując ruchem ręki na mury i ciemne sylwetki robotników, ostro odbijające się na tle nieba;—w tych warunkach możność wypoczynku winna się cenić tem bardziej; zresztą do tego rodzaju niewygód już miałam czas nawyknąć: mąż mój jest zapalonym „budowniczym,” a ja spełniam najsuamienniej rolę jego pomocnika—dodała i uśmiechnęła się, ukazując dwa rzędy prześlicznych zębów.

— Wobec tego *nie dziwię się* wielkiemu zamiłowaniu pana Molskiego do budownictwa—powiedział Władysław z przesadną nieco galanterią.

Spojrzała nań wzrokiem, w którym zadrgały iskierki wesołej ironii; śmiesznym się jej wydał ten zdawkowy komplement, jaki wyraził się w silniejszym zaakcentowaniu słów „nie dziwię się.“ Miała nawet ochotę odpowiedzieć na to nieco złośliwie, lecz powstrzymała się; odparła więc tylko:

— Na szczęście, w tym roku wszystko się skończy; mąż dał mi słowo, że więcej budować nie będzie. Już i tak nadszarpał mocno zdrowie—dodała z mimowolnem westchnieniem, a wzrok jej pobiegł w stronę, gdzie stał Molski i ojciec Władysława, zaabsorbowani obydwaj ożywioną dysputą.

Władysław spojrział również i dopiero teraz uderzony został kontrastem, jaki zachodził między tą piękną, zdrową, drgającą wiosnianą niemal energią życia, pełną czarujących powabów kobietą a jej mężem, człowiekiem wątłym, jak cień wychudłym, z twarzą trupio bladą, na której igrały w tej chwili wypieki chorobliwe. Zabójcza choroba tak wyniszczyła organizm i tak wydłużyła rysy twarzy, że trudno na niej było dostrzedz śladów dawnej, męskiej prawdziwie urody, jaką się odznaczał Molski przed kilku jeszcze laty.

Jedynie oczy piwne, pełne wyrazu, gorejące blaskiem niezwykłym, świadczyły, że w tym człowieku, którego dni życia są policzone, odbywa się zacięta walka między silnym duchem

i wielkiem pragnieniem życia a złowrogim postępem zabójczej choroby, trawiącej kruchą tkankę doczesną.

— Ależ to trup żywy!—powiedział do siebie Władysław i wzdrygnął się mimowoli na myśl, że ten cień człowieka jest mężem Molskiej; poczem spojrzawszy na nią, pomyślał jeszcze: czy też ona może go kochać?

Molska jakby odgadła myśli Władysława, gdyż na jej policzki wystąpiły żywe rumieńce, a oczy powlekły się mgłą niezadowolenia... Ona bowiem, również patrząc na męża, czyniła w myśli porównanie między nim a stojącym przed nią młodzieńcem, od którego tryskało zdrowie i szedł strumień życia, wdzierający się przeniocą w sferę jej zmysłów, budzący w jej duszy jakiś niepokój, którego nie zaznała przedtem nigdy.

Zdjęło ją nagle jakby uczucie gniewu przeciwko samej sobie i przeciwko człowiekowi, który stał się mimowolną przyczyną tych niepokojów.

— Jakże mogłam, jak mogłam czynić jakiegokolwiek porównanie między tym pustym, tak widocznie dbającym tylko o swą powierzchowność młodym chłopcem, zwykłym elegancikiem, lalką salonową, a moim dzielnym Sławkiem, ukochanym, jedynym, biednym Sławkiem!—myślała z przygnębieniem, nazywając siebie w myśli złą, przewrotną, niewdzięczną.

Przejęta tem niemiłym poczuciem winy i chcąc ją zmazać, odeszła od Władysława i zbliżyła się do męża, a wsparłszy się na jego ramieniu, powiedziała z czułością w głosie:

— Pójdźmy już, mężu!...

— Aha! znudziła się już moja pani? — powiedział Molski, uśmiechając się dobrotliwie.

— Tak — odparła głośno, rada, że odpowiedź tę usłyszeć musiał Władysław, który zbliżył się również.

— A więc pójdziemy! — rzekł Molski — i tak już za długo trwa nasza „wizyta.“

Pożegnali się bardzo serdecznie, szczególnie Molski, który poczuł szczerą sympatyę zarówno do ojca, jak i do syna.

Stary Zahorski z zamaszystą, staropolską galanterią ucałował rękę pani Molskiej, natomiast Władysław, jakkolwiek z razu miał ochotę pójść za przykładem ojca, w ostatniej chwili rozmyślił się, gdy zauważył, że chłodną obojętnością podała mu rękę, a właściwie tylko końce jej palców. Ubodły go zarówno sztywna jej poza, jak i owe bezceremonialne „tak,“ potwierdzające, że się znudziła w jego towarzystwie.

— Gąska prowincjonalna! — pomyślał, widząc, jak ostentacyjnie uwiesiła się na ramieniu męża. Udaje, że jest w nim rozmiłowana niezmiernie — dodał, przeświadczony mocno, że nie

może być nawet mowy o miłości w takim małżeństwie.

— Dzielny to człowiek! — powiedział Zahorski, gdy powrócili na plac po odprowadzeniu Molskich do powozu.

— Może był takim dawniej — zauważył Władysław, — teraz bowiem niewiele, zdaje się, od życia mu się należy... wygląda jak upiór, jakieś człowieka... suchoty w ostatnim stopniu.

— Przesadzasz, mój drogi. Tak znowu źle z nim nie jest. Ma dużo w sobie życia i energii; kilka miesięcy pobytu w gorącym klimacie może go postawić na nogi; mają zamiar wyjechać na jesień na czas dłuższy. Bardzo rad jestem, że się z nim poznał, a i ty mógłbyś wiele od niego skorzystać.

— W czym mianowicie? — zapytał zdziwiony.

— W tem, jak można własną pracą, z niczego prawie, dorobić się znacznej fortuny. Liczą go podobno na milion rubli — dodał z lekkim westchnieniem.

— Słyszałem o tem. Nie każdy jednak jest zdolnym do takiego groszorbstwa... trzeba się do tego urodzić. My, Zahorscy, nie mamy przecież tak poziomych aspiracji — rzekł Władysław z poczuciem dumy rodowej.

— Hm! pieniądź jest wielką potęgą i nie ubliża nikomu, gdy się troszczy o jego zwiększenie; co do urodzenia zaś, to Molski nie

ustępuje w niczem Zahorskim: jest on skoligacy z najlepszymi rodami w kraju, a nawet z nami: jedna z Molskich wyszła za Zahorskiego i wniosła sute wiano: ośm pysznych folwarków w dobrej glebie. Była to mianowicie twoja prababka.

-- Tym sposobem jesteśmy skuzynowani?

— Prawdopodobnie; zapomniałem mu nadmienić o tem.

— Szkoda tylko, że to tak dalekie pokrewieństwo, inaczej bowiem... kto wie? Molscy są bezdzietni, możeby nam coś przypadło w sukcesyi—mówił Władysław tonem niby żartobliwym, w którym wszakże dźwięczała źle ukrywana nutka zazdrości, że tak znaczna fortuna jest w posiadaniu człowieka, który nie będzie w możności użyć jej, gdy tymczasem on musi liczyć się z każdym groszem.

— Daj pokój tym niewczesnym żartom, mój drogi! Zostawmy Molskiego w spokoju i zajmijmy się własnymi sprawami—powiedział Zahorski poważnie.—Nie wiesz, że nas okradają...

— Okradają! Kto? Nic mi ojciec o tem nie mówił dotąd.

— Bo dopiero Molski otworzył mi oczy na nadużycia, jakie się tu dzieją, a winien temu ty jesteś...

— Ja?...

— Tak, ty... Gdybyś wypełniał to, do czegoś się tak solennie zobowiązał, nie byłaby

możliwą szacherka, jaka się tu praktykuje od dawna.

Tu Zahorski opowiedział wszystko i swe domysły, kto jest sprawcą nadużyć.

— I cóż ojciec myśli uczynić?

— Wyrzucić Sieradza! Rzecz oczywista, że nikt inny, tylko on uprawia szacherki z cegłą.

— Hm! być może; jednakże to jeszcze rzecz niedowiedziona—powiedział Władysław, zaniepokojony myślą, że jeśli Sieradz będzie oddalony, to utraci z nim źródło kredytu, z jakiego czerpał dotąd. Winien już był Sieradzowi około tysiąca rubli, które rozeszły się niewiadomo gdzie. Co gorzej, że wówczas dowie się ojciec o wszystkim, gdyż Sieradz o pieniądze upomni się niezwłocznie; dlatego też postanowił powstrzymać ojca od zbyt porywczej decyzji.

— Tak, mam ochotę go wyrzucić stąd; jedno mnie tylko niepokoi, że bez niego nie dam sobie rady z kredytem wekslowym i z Liebkindem, który, pomimo wielkiej uprzejmości na słowach, stawia coraz twardsze warunki — powiedział Zahorski z miną zafrasowaną.

— To też nie trzeba się śpieszyć, proszę ojca; lepiej nawet spolitykować, bo możemy dostać jeszcze gorszego pośrednika; natomiast wzmocni się nadzór; biorę to na siebie...

— Obiecywałeś to już przedtem—zauważył

Zahorski z wyrzutem w głosie;—to trudno... ja sam wszystkiemu podolać nie mogę.

— Niech ojciec tym razem zaufa mi zupełnie—powiedział Władysław, czyniąc silne postanowienie, że odtąd nie dopuści do żadnych nadużyć.

— Dobrze, dobrze... tym razem ufam ci, mój chłopcze; zresztą nie będzie to znów tak uciążliwe: jest nas dwóch, możemy się luzować; trzeba jednak, żeby zawsze ktoś był obecny przy robotach. Co zaś do Sieradza, to dziś jeszcze wezmę go na spytki.

Tego samego jeszcze dnia późnym już wieczorem wsunął się Sieradz do gabinetu Zahorskiego; nie zatrzymał się jednak, jak zwykle czynił, u drzwi, lecz z miną tajemniczą podszedł do samego biurka, przy którym siedział Zahorski.

— Aa... pan Sieradz! I cóż mi powiesz?—zapytał Zahorski tonem wyniosłym.

— To, co ja mam do powiedzenia, to ja bym wcale nie chciał opowiadać, bo to jest bardzo brzydka rzecz... Całe szczęście, że ja w porę jeszcze to wszystko złapał... Wielmożny dziedzic myśli, że Sieradz nie wiedział wcześniej, co jest?

— O czym? mów wyraźnie!—przerwał Zahorski niecierpliwie.

— Jakto, o czym? o tej cegle, co ten łajdak kradł...



— Kto?

— Kto? Czy ja potrzebuję jeszcze mówić? Nu, ten Skwara...

— Jakto! więc to Skwara? Nie może być!

— Co to nie może być, kiedy jest! Wielmożny dziedzić myśli, że ja nie miałem na oku tego Skwarę... ja go bardzo dobrze miałem, ja się domyślałem, że on złodziej, lecz nie mogłem go złapać...

— Gadajże wyraźnie! jak? co? — zapytał Zahorski, już prawie udobruchany i rad w duchu, że podejrzenia co do Sieradza mogą upaść.

— Co tu długo mówić!... Ten Skwara to on jest wielki pijak... i jak po robocie, to on lubi pójść nie do prostego szynku, lecz do bawaryi i restauracyi, jak jaki pan; no, a to kosztuje dużo, więc on się zmówił z jednym chłopem od cegielni, co wozi cegłę, i oni do spółki zaczęli szachrować: ten chłop dobrą cegłę woził do jednego żydka, co też buduje, a stamtąd zabierał stary gruz, który ten żydek kupił po rozbiórce...

— A to łajdaki!—zawołał Zahorski z oburzeniem.

— Oj, oj! jakie to łajdaki są!... wielmożny dziedzić wielką prawdę powiedział... i jakie głupie to chłopcy przytem są: oni za cały wóz dobrej cegły dostawali raptem pół rubla na dwóch... to co oni mogli z tego mieć? Jeśli dwa, a najwyżej trzy razy obrócił, to mieli pół-

tora rubla, z których Skwara brał rubla, a tamten pół... a co oni szkody zrobili!...

— Ładne rzeczy, niema co! Trzeba ich oddać do kryminału i tego oszusta żyda. W tej chwili zawiadomię policyę... Przecież na tysiące rubli oszukać mnie mogli.

— Czemu nie! oni bardzo mogli... Całe szczęście, że Sieradz dobrze patrzył na to łajdactwo...

— Ładnieś patrzył, łaskawco! Może setki wozów pokradli?

Sieradz rozśmiał się głośno i odparł z miną tryumfującą:

— Oniby może i ukradli tyle, ale oni wiedzieli, że ja pilnuję bardzo, że się trochę domyślłam, to oni się bali i dlatego tylko jedenaście wozów ukradli...

-- Skądże to wszystko wiesz tak dokładnie?—zapytał Zahorski z odcieniem niedowierzania w głosie.

— Skąd ja wiem? A coby Sieradz był wart, żeby nie wiedział? Za co wielmożny dziedzic Sieradzowiby płacił? Ja muszę wiedzieć, to mój interes jest wiedzieć... Kiedy ten pan Molski... on jest bardzo mądry i bogaty... przyjechał do wielmożnego dziedzica, to ja już nie tylko wszystko wiedziałem, lecz byłem już u tego żydka łajdaka i zagroziłem mu wielkim kryminałem...

— Naturalnie, wniosę zaraz skargę za złodziejstwo!—zawołał Zahorski.

— Ja sam tak myślałem, lecz to wielki ambaras jest... adwokat, apelacya, kasacya... i on może jeszcze wygrać i nowe mogą być straty... to ja chciałem tej brzydkiej rzeczy uniknąć i dlatego kazałem mu za te jednaście wozów zapłacić...

— I zapłacił?

— Jak on mógł nie zapłacić? On zapłacił, on jeszcze więcej zapłacił, bo cały koszt cegły, bez potrącenia tego gruzu, co do nas przywieźli... Oto pieniądze są, co on zapłacił — dodał, kładąc na biurku paczkę drobnych banknotów,— czyste pieniądze są!...

— No, no! Dobrześ się spisał, ani słowa! chociaż, z drugiej strony, należałoby może tych złodziei zaskarżyć... byłaby to dobra nauczka.

— On, ten żydek, już i tak ma wielki wstyd! Z niego się wszyscy śmieją, że on potrzebował do swego interesu dopłacić... dla takiego szachraja to wielki wstyd; no, a ten drugi lajdak, Skwara...

— Jutro rano go rozliczyć! — powiedział Zahorski tonem surowym i stanowczym.

— On jest bardzo dobry podmajstrzy, on zna się na robocie, jego szkoda stracić—wstał się Sieradz.

— Ani słowa więcej! Powiedziałem, i tak być musi! Ja złodziei u siebie trzymać nie będę,

a to jeszcze podmajstry, który winien mieć sam dozór... Żebym jutro już go nie widział!— zdecydował Zahorski tonem gniewnym.

Sieradz schylił głowę pokornie.

— Jak wielmożny dziedzic każe, tak być musi! Niech ten łajdak zdycha sobie z głodu.

— A teraz dość już o tem; przyniosłeś pieniądze?

— Przynieść, to ja przyniosłem, ale musiałem drogo płacić za indos; teraz gotówka jest coraz droższa.

— Ile?

— Ośm i pół procent...

— Jakto! z terminem czteromiesięcznym? Chyba za rok?

— Wielmożny dziedzic żartuje... teraz na pierwszy numer hipoteki dają dwanaście i piętnaście procent...

Zahorski westchnął ciężko. Ta łatwość kredytu była nadmiernie kosztowną: za weksel z czteromiesięcznym terminem, na 2,000 rubli, zapłacić musiał 170 rubli—wynosiło to rocznie przeszło 25 procent. Jak pójdzie tak dalej, koszt budowy podniesie się w dwójnasób i zamiast spodziewanych zysków mogą być znaczne straty.

Próbował wprawdzie wyswobodzić się z tej zależności od pośrednictwa, lecz daremnie. Weksli jego bez żyra żydów w żadnym z ban-

ków przyjąć nie chciano—tym sposobem, rad nie-rad, musiał opłacać niesłychany haracz.

Co gorsza, że nie mógł nawet rozporządzić hipoteką, na której wisiała, zaraz po Towarzystwie, „kaucya“ Liebkinda; winien był mu tylko 20,000 rubli, a tymczasem hipoteka obciążoną była w dwójnasób, tak, że Zahorski nie mógł zaciągnąć dogodniejszej pożyczki, Liebkind bowiem na propozycję uwolnienia hipoteki lub przeniesienia wierzytelności na dom nowobudowany dał odpowiedź odmowną, motywując ją tą okolicznością, że w takim razie jego należność za plac kupiony, będąca na ostatnim numerze wartości, nie miałaby dostatecznego zabezpieczenia.

— Zresztą, poco to szanownemu panu? Lepiej, że hipoteka na nowym domu będzie zupełnie czystą... toż to gotowy pieniądz za rok, a może i wcześniej... Co zaś do kredytu, to przecież ja go daję na każde żądanie, ile pan dobrodziej chce tylko.

— Tak, ale ten kredyt jest bardzo drogi—zauważył Zahorski z miną zafrasowaną.

— Drogi? On nie jest wcale drogi! Wszyscy tak płacą, a nawet więcej; żebym ja tylko chciał dawać go naszym żydkom, tobym miał dwadzieścia pięć i trzydzieści nawet procent; ale ja nie chcę, ja tylko panu dobrodziejowi chcę wygodzić... no, ale stracić nie mogę...

Tak odpowiadał zawsze Liebkind, dowo-

dząc tonem miodowym, że nikt inny nie mógłby wyświadczyć Zahorskiemu tyle grzeczności, ile świadczy on, Liebkind, któremu o zyski nie chodzi wcale, bo on ma już, Bogu dzięki, dość duży majątek, żeby potrzebował korzystać z tak „szanownego obywatela.“

Tymczasem ta rzekoma „bezinteresowność“ przynosiła mu imponujące odsetki: każdy weksel Zahorskiego przechodził przez jego ręce, dając mu 8 do 10 procent na czysto. A że kredyt był krótkoterminowy, najwyżej czteromiesięczny, przeto ogólny obrót roczny wynosił już przeszło siedmdziesiąt tysięcy rubli, od której to sumy na rzecz Liebkinda przypadało około 7,000 rubli.

Że zaś przy wymianie weksli na gotówkę urywał sobie Sieradz za pośrednictwo dwa procent, przeto Zahorski płacił rocznie procentów około 10,000 rubli, nie zdając sobie sprawy z tak hazardownych obrotów kredytu; bo jakkolwiek zapisywał weksle wydane, to wszakże ogólnego rachunku nie sprawdzał, uważając to za rzecz zbyteczną.

Zresztą, gdyby nawet to czynił, nie mógłby nic zaradzić: pieniędzy było potrzeba ciągle, z dnia na dzień, płynęły one niby wartki strumień: na wypłaty, na dostawę materiałów, na wynagrodzenie robotników, majstrów, budowniczego, mającego zwierzchni dozór nad budową.

Dotąd wszakże, dzięki wielkiemu doświadczeniu Wolińskiego, Zahorski zdołał uniknąć nieprzyjemności, kosztowało to jednak sporo: często otrzymywał on od Wolińskiego lakoniczne lecz wymowne dyspozycye:

— Trzeba posłać!

I nie było sposobu uchylić się od wypełnienia tych rad, na których wspierał się wówczas interes budowlany, wymagający przede wszystkim: zaufania, dyskrecyi i wielkiej delikatności w obchodzeniu się z ludźmi, którzy byli potrzebni.

Gdybyż jeszcze na tem się ograniczały straty przedsiębiorcy budowlanego, który pierwsze dopiero stawiał kroki na tem polu, trapieniem przez niesumiennosc, wyzysk i oszukaństwa wszelkiego rodzaju (jak na przykład kradzieże materyałów w budowlanych), z których drobna zaledwie cząstka dochodzi do wiadomości właścicieli!

Tak było i z kradzieżą cegły, którą Sieradz potrafił dowcipnie zbagatelizować i wystawić nawet jako *plus* korzyści przed Zahorskim, i tym sposobem uspokoić jego podejrzliwość.

W rzeczywistości jednak cała ta sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej: kradł bowiem cegłę nie Skwara, jak to już zresztą wiemy, lecz jego zwierzchnik Ogórkiewicz do spółki z Sieradzem.

Początkowo szacherka jego z cegłą pole-

gała na zamianie dobrej cegły na braki i gruz, będący w posiadaniu pomniejszego przedsiębiorcy żydowskiego,—potem wszakże uznano tę manipulację za uciążliwą i poczęto kraść cegłę bez żadnej już zamiany. Odwożono ją mianowicie z cegielni Rudowskiego wprost do owego żyda, gdzie wydawane były kwitki, podpisane przez Sieradza. Dzięki temu „kontrola była ściśle wykonaną.“

Ukradziono tym sposobem przeszło sto wozów i kradzionoby dalej, gdyby nie odkrycie Molskiego.

Sieradz, zmiarkowawszy prędko o niebezpieczeństwie, jakie grozi jemu i Ogórkiewiczowi, pośpieszył do niego na poufną naradę. Nie była ona pierwszą w ich praktyce.

— Ten łajdak Skwara nas zdradził!—powiedział szeptem, wpadłszy, zdyszany, aż na najwyższą kondygnację murów, gdzie znajdował się Ogórkiewicz.

— Co? jak? Nie może być!

— Kiedy ja mówię, to jest!

— Toś ty winien, parszywcze! — zachnął się pan Ogórkiewicz, poczerwieniawszy jak burak.

Byli od dawna w najlepszej komitywie i mówili sobie po przyjacielsku „ty,“ tylko że Sieradz trzymał się zawsze w pewnej rezerwie przed gwałtownością majstra.

I tym razem przeto mimowoli się cofnął



przed Ogórkiewiczem aż na sam brzeżek kładki, mówiąc:

— No, no, niech się Ogórkiewicz nie unosi! . co to jest „parszywcze?”

— Albo co! nie wolno mi? patrzcie go!... Sam naszachował, poskaپیł grosza głupiemu Skwarze, a teraz „gwałt!” Zdradził! Już ja cię znam, ty rabuśniku, oszukańcze, zdrajco Chrystusa! I cóż teraz myślisz robić? Czy wiesz, czem to pachnie? Kryminałem! Ty nie masz nic do stracenia, ale ja... ja mam dwa domy i poważanie. Pamiętaj, że jak się to wyda, to pogruchocę ci kości, ty stary głupcze, oszuście!

Sieradz się stropił—wiedział, że z Ogórkiewiczem żartów niema—był to bowiem gwałtownik i człowiek zdeterminowany na wszystko, a siłę miał ogromną.

— Taki zbój to naprawdę zabić może!—pomyślał z przestachem.

— Pamiętaj, żydzie! rób co chcesz, ale tak, żebym ja o tem więcej nie słyszał! — powiedział Ogórkiewicz i odwrócił się pogardliwie.

— Aj, aj! patrzcie, jaki wielki pan! Jak zrobić dobry interes, to on gotów, a jak z tego wyniknie brzydka rzecz, to on potrzebuje się odwrócić i grozić!... ja z takim rabusiem więcej już żadnych interesów nie będę robić!—mówił Sieradz, dotknięty do żywego.

— No, no! uspokój się, Sieradzku! nie od

dzisiaj się przecież znamy i obrabiamy rozmaite geszefta... Trudno! jestem impetyk i rodzzonego bratąbym skaleczył, jakim zły... Ciebie jednak lubię... wiesz o tem! Radźmy więc do spółki, jak wypić piwo, któreś nawarzył przez swoje skąpstwo...

— Jakie skąpstwo? Ja temu łajdakowi dałem pięć rubli.

Ogórkiewicz się rozśmiał na cały głos, mówiąc:

— Cóż to, myślisz, że Skwary rozum wart tylko pięć rubli?... a toż chłop setny i wcale nie-głupi... zmiarkował on ci widać dobrze, gdzie trawa rośnie!...

— No, on zmiarkował, ale co nam z tego przyjdzie? Co robić?

— To już twoja rzecz; wymyśl co, a ja się zgodzę, żeby tylko mieć spokój...

Wynikiem tego namysłu była właśnie wyżej opisana relacja Sieradza przed Zahorskim i zwalenie całej winy na Skwarę.

— Szkoda mi Skwary, to dobry chłop... no, ale trudno! jak trzeba, to trzeba. Pamiętaj jednak, żeby w to mnie nie wmieszać; ja mu nawet postaram się o robotę gdzieindziej, chociaż to dzisiaj nie tak łatwo: nawaliło tego tałałajstwa z prowincyi, że aż strach!

Nazajutrz czekała Sieradza niemiła jeszcze przeprawa ze Skwarą.

Gdy mu bowiem oznajmił, że nie ma już

po co przychodzić na robotę i wręczył należność do końca tygodnia, z góry za tydzień, był to bowiem poniedziałek, Skwara wybuchnął:

— Poczekaj, ty rabuśniku, złodzieju! ja cię urządzę!—mówił głosem złowrogim, a oczy przy tem pozieleniały mu z irytacyi i gniewu.

— Czego się pan Skwara gniewa? Co ja tu winien? Tak kazał sam Zahorski, któremu ten Molski musiał coś nagadać na pana Skwarę...

— Co? ten zdechlak, ta śmierć angielska?! Jeśli to prawda, to ja mu pokażę! — odgrażał się, podnosząc pięść do góry.

— Pewno, że on! Ja się tak domyślam... bo któżby inny śmiał coś złego powiedzieć na takiego porządnego majstra, jak pan Skwara!...

— Gadaj sobie co chcesz, parchu! Lecz i tobie nie ujdzie na sucho... Myślisz, że ja nie wiem o twoich sprawkach?... ty będziesz kraść i brać pieniądze, a ja będę cierpieć? Oho! niedoczekanie wasze! — powiedział Skwara i poszedł, wymachując groźnie rękoma.

— Tfy!—splunął Sieradz, gdy Skwara był już daleko.—Ile to porządny człowiek musi się namartwić, żeby coś zarobić!

## VI.

W kilka tygodni potem Zahorscy zaproszeni zostali przez Molskiego na uroczystość poświęcenia ogromnej kamienicy, która została świeżo wykończoną, a o której na kilka miesięcy jeszcze przed jej ukończeniem były nader pochlebne wzmianki w pismach brukowych.

Gmach to był istotnie olbrzymi, wychodzący na trzy świeżo wytknięte ulice, zwracający wszakże uwagę nie tyle swymi rozmiarami, ile oryginalnością architektoniczną, piękną elewacją frontonów i różnemi ozdobami.

Prócz tego uwzględnione w nim były wszelkie nowoczesne wygody z idealnem rozplanowaniem lokali, tak, że każde, najmniejsze nawet mieszkanie, złożone z dwóch pokoi i kuchni, zaopatrzone było w rozmaite schowanki, skrytki, szafy w murze i spiżarki; w każdym mieszkaniu były urządzenia do oświetlenia gazowego, o ile kto z niego chciał korzystać, dzwonki elektryczne, tuby i t. p.

Każde okno okolone było galeryjką żelazną, pozwalającą na urządzenie kwietników, a nadto musiał być i balkonik.

Balkony frontowych mieszkań odznaczały się niezwykłą, jak na warszawski szablon budowlany, oryginalnością: każdy z nich bowiem był naturalnem następstwem kombinacji linii

architektonicznej; wylaniał się więc z załamu muru i był już to jego uzupełnieniem koniecznym, już to artystycznie pomysłaną ozdobą, bez której, zdawało się, nie mogłoby być harmonii w całej fasadzie gmachu.

Na szczegóły te zwracał uwagę Molski, oprowadzając Zahorskich na kilka dni przed uroczystością poświęcenia, umyślnie ich zaprosiwszy do obejrzenia ostatniego swego dzieła.

Był z niego dumnym po prostu.

— Budowałem ten gmach z myślą, że będzie on uwieńczeniem mojej dziesięcioletniej pracy na tem polu — mówił, prowadząc ich z piętra na piętro, z jednej oficyny do drugiej.

— Istotnie, niczego tu niebrak, wszystko zostało uwzględnione—chwalił Zahorski, przejęty bezwiednem uczuciem zazdrości, że plan kamienicy, którą on budował, o całe niebo stoi niżej.

— Takiego domu Warszawa dotąd nie ma!—mówił dalej Molski—nie żałowałem i nie żałuję zachodu, pracy i pieniędzy, żeby zostawić po sobie pamiątkę i wzór, jak trzeba budować domy, aby one upiększały, a nie szpeciły miasta. Dziś panuje w niem zabijający szablon, styl iście lichwiarski... Proszę spojrzeć na przeciwległą kamienicę... jak to wygląda? Balkony są poprzylepiane, nie mają żadnego estetycznego oparcia, zdają się być czasowo tylko umo-

cowane, jakby wypożyczone... gdy tymczasem u mnie wszystko jest logicznem następstwem architektonicznych wymagań, ozdobnem uzupełnieniem i zakończeniem linii...

— Tak, tak, to bardzo piękne! Ale to i kosztuje niezmiernie dużo—wtrącił Zahorski, tłumiąc westchnienie.

— Zapewne... sam plan wypadł mi około dziesięciu tysięcy. Ogłosiłem nań konkurs. Miał pan słyszeć o tem?

— A jakże, słyszałem.

— Trzy tysiące rubli pierwsza nagroda. Najlepszy budowniczy ją zdobył. Nie żałowałem jednak pieniędzy, gdyż budowałem dla siebie... To jest uwieńczenie mej pracy na tem polu... Mam już jej dosyć. Ten dom uważam za swoje najlepsze dzieło i zatrzymam go dla siebie, a inne domy sprzedam—mówił Molski głosem urywanym, widocznie podniecony i zgorączkowany widokiem wspaniałego dzieła, które ukochał, któremu poświęcił resztę swej energii życiowej, a może i życie samo.

W ostatnich czasach zdrowie jego widocznie się pogorszyło: jeszcze bardziej wychudł i zeszczupłał, policzki miał zapadnięte, usta blade i cienkie, tylko w oczach gorzał wciąż dawny blask, wszakże nie tej już niespożytej energii, jaka biła z nich nieprzepartą, zda się, siłą, lecz nerwowego niepokoju, jaki go trawił, a któ-

ry był może wynikiem suchotniczej gorączki, potęgującej się w nim z dnia na dzień.

Czuł to widocznie, gdyż się śpieszył ukończyć wszystko jak najprędzej. Nie tylko chodziło mu o samo wykończenie domu, lecz i o uregulowanie swoich interesów, nader skomplikowanych, i o ostateczną ich likwidację.

Domy uprzednio wybudowane trzeba było sprzedać, aby spłacić wszelkie zobowiązania pieniężne, jakie zaciągnął w ciągu dwóch lat ostatnich.

Były one bardzo znaczne...

Budowa wspaniałej ostatniej kamienicy pochłonęła sumy olbrzymie, które Molski tylko przy ogromnym kredycie, jaki posiadał, mógł wy dostać.

Sam koszt budowy wynosił, jak to obliczył już w przybliżeniu—około 600,000 rubli! Początkowo nie miał wcale zamiaru tak daleko się awansować, pragnąc wybudować kamienicę dobrze procentującą; plany te wszakże pokrzyżował budowniczy, laureat konkursowy, który, chcąc przy pomocy Molskiego wystawić sobie samemu trwałą pomnik swego talentu, umiał uderzyć w słabą u Molskiego stronę miłości własnej i zachęcić do wydatków na przepych budowlany.

— Stworzymy dzieło, które będzie ozdobą miasta!—dowodził budowniczy, trawiony ambicyą zawodową.

Molski był również ambitny i miał sporą dozę próżności—uległ więc. Gdy jednak skutkiem tego stanąć musiał oko w oko z rzeczywistością, z praktyczną stroną interesu, przekonał się, że interesa finansowe ma nieco zawikłane i że nie jest pewny, czy uda mu się pozostawić dla siebie ostatnią nieruchomość czystą zupełnie, bez długów prywatnych, z jedną tylko wiarytelnością Towarzystwa Kredytowego.

Wartość sprzedażną ostatniego gmachu obliczał wprawdzie na 700,000 rubli, tyle bowiem wzięćby musiał, żeby wyjść na swoim, żeby powetować koszta konkursu, szalone procenta wekslowe i wiele innych, nieprzewidzianych w kosztorysie wydatków.

Tymczasem dochód z kamienicy, przy wygórowanej do ostateczności normie komornego, wynosił brutto tylko 50,000 rubli, tak, że po odtrąceniu podatków i kosztów na administracyę, pozostawało na czysto zaledwie 5 procent. Było to śmiesznie mało wobec ogromnych dochodów, jakie przynosiły naówczas domy budowane oszczędnie, z lichwiarskiem wyrachowaniem, by procent nie był mniejszy od 15-tu.

Podnosiło to wartość sprzedażną nieruchomości do tego stopnia, że często przy sprzedaży obrotny przedsiębiorca budowlany zarabiał od 30 do 60 procent.

Rozumiał to doskonale Molski, gdyż sam



w ten sposób doszedł do znacznej fortuny, i drżał na samo przypuszczenie, że gdyby, skutkiem zbiegu nieszczęśliwych okoliczności, zmuszony był dom sprzedać, lub gdyby sprzedano go przez licytację—wówczas, zamiast spodziewanych 700, a wreszcie 600 tysięcy rubli, mógł otrzymać zaledwie połowę tej sumy, lub jeszcze i mniej—co równałoby się zupełnej niemal ruinie...

O kilku takich wypadkach już wiedział.

Na szczęście, był on w innem położeniu i nie było najmniejszej obawy, by w czasach ogólnej gorączki spekulacyjnej cena sprzedażna mogła spaść tak nisko.

Zresztą sprzedawać nie zamierzał, ani też potrzebował o tem myśleć, będąc pewny, że bez wielkiego zachodu ureguluje swoje interesy i zostanie przy kamienicy, jeśli nie zupełnie czystej, to w najgorszym razie z hipoteką obciążoną tylko pożyczką Towarzystwa.

— Mniejsza z tem, że będę mieć dochód mniejszy, niż początkowo obliczałem, lecz to wystarczy nam na byt dostatni do końca życia, a nawet i na zbytkowne kaprysy mojej Marychny!—mówił sam do siebie, uśmiechając się z zadowoleniem na myśl, że jego Marychna nie tylko, że nie ma zamiłowania do zbytków, lecz i nie ma żadnych kaprysów.

O ile Molski niekoniecznie był zadowolony

z ostatecznego wyniku swych trudów dziesięcioletnich w przedsiębiorstwach budowlanych, o tyle jego żona była szczęśliwą nad wyraz: gdy dowiedziała się bowiem, że usuwano ostatnie rusztowanie, zasłaniające mury, rzuciła się na szyję mężowi, mówiąc ze łzami szczęścia w oczach:

— Nareszcie!... Teraz dopiero będziemy szczęśliwi zupełnie!... Teraz odpoczniesz, pomyślisz o swoim zdrowiu... mój Sławku! mój jedyny!

— Tak, tak! mój aniele.

— Wyjedziemy stąd na całą zimę?...

— Tak, tak!...

— Na cały rok?...

— Na ile tylko zechcesz, moja złota Marychno!

— I kiedy?

— Wkrótce...

— Jak prędko?... Chciałabym wiedzieć dzień, godzinę...

— Jakżeś niecierpliwa!...

— O tak, bardzo! bo wierzę, że tam, w południowym klimacie, powrócą ci zdrowie i siły, że znów będziesz, jak dawniej, moim wyłącznie, jedynym, ukochanym... Więc powiedz, kiedy?

— Później, później dowiesz się, mój skarbie!...

— Chciałabym wiedzieć dziś, zaraz, żeby już jutro zacząć się układać do drogi, pokupować niezbędne rzeczy. Tak dawno nie wyjeżdża-

liśmy w dalszą drogę! — mówiła pani Molska, drżąc z samej nadziei szczęścia i z niecierpliwości, by prędzej mogła go zakosztować.

— Czyżby ci tak uprzykrzyła się już Warszawa?

— O tak!... bardzo!... Tu straciłeś zdrowie!...

— Ale zyskałem majątek.

— Co mi po nim!—szepnęła ze smutkiem.— Wiesz, jak mało jestem wymagająca, jakim ciężarem są dla mnie te zbytki, jakie od lat kilku nas otaczają, a z których nie korzystamy prawie... Tak nam było dobrze na wsi, tak byliśmy szczęśliwi, chociaż nieraz brakło nam do obiadu... mięsa... pamiętasz?—pytała ze łzą w oku, na wspomnienie pierwszego roku ich pożycia.

— Pamiętam! — odparł Molski, wzruszony również.

— Byłeś zdrów i silny jak Samson...

— I teraz mi niebrak siły... o, patrz!—dodał i uniósł żonę w górę jak piórko, zdawało się, bez żadnego wysiłku.

Krzyknęła wylęknięta, gdyż doktorzy zabronili mu forsować siły i wogóle polecili bardzo uważać na siebie.

— Dzieciaku! czego się boisz? Nic mi się przecież stać nie może; widzisz przecież sama, że silny, jak i dawniej — powiedział, uśmiechając się pogodnie, lecz w tejże chwili na twarz

jego wystąpiły silne wypieki, a w oczach pojawił się wyraz lęku i niepokoju.

Uczył nadludzki wysiłek woli, żeby zaplanować nad gwałtownym atakiem kaszlu, który dusić go począł; nie mógł wszakże już go stłumić, tem bardziej, że w piersiach mu się coś rwało, coś chwytalo za gardło i dusiło.

Chwycił się obiema rękami za pierś i cisnął ją mocno, a jednocześnie dał się słyszeć suchy, jakby drewniany, urywany kaszel.

Pani Molska ukradkiem otarła łzy i z anielskim uśmiechem na ustach odmierzyła kilka kropel lekarstwa z flakonika, który zawsze nosiła ze sobą. Był to flakonik złoty, wymierzający dozy za pociśnięciem sprężynki.

Molski chciwie połknął silny narkotyk, który jedynie powstrzymywał gwałtowniejsze ataki kaszlu, poczem w kilka sekund uspokoił się, a na twarzy jego pojawiła się zwykła pogoda.

— To nic, to nic! to nie ten zły kaszel, to taki zwyczajny... zapewniam cię, Marychno. Przecież wiesz sama dobrze, że teraz prawie już nie kaszlę, jest mi znacznie lepiej—uspokajał żonę, w której oczach dostrzegł jeszcze niezatarty wyraz lęku i przerażenia.

Uśmiechnęła się smutnie i szepnęła:

— Wiem, wiem, Bogu dzięki; lecz niepotrzebnie się forsujesz, to ci bardzo szkodzi!...

— Już nie będę, nie będę! Uczynię wszystko co zechcesz! Jak tylko wyjedziemy, oddaję

się zupełnie pod twą władzę, moja ty droga doktorko!...

— Jedźmy więc prędko, jak najprędzej...

— Dobrze, dobrze! Po poświęceniu domu wyjedziemy niezwłocznie. Do tego czasu załatwię się pewnie z Towarzystwem Kredytowem, a potem... bywaj nam zdrowa, Warszawo!...

Tak planował Molski, będąc pewnym, że pożyczkę Towarzystwa uzyska się prędko, dzięki stosunkom i wpływowi w dyrekcyi, z której członkami był w najlepszej komitywie. Miał już sposobność o tem się przekonać w poprzedniej swej praktyce, gdy chodziło o kredyt hipoteczny w normie możliwie najwyższej.

Nie tylko, że nie czyniono mu wówczas żadnych trudności, a przeciwnie—starano się wszystko ułatwić i przyspieszyć.

— Dla kogóż, jeśli nie dla szanownego pana, Towarzystwo powinno czynić wszelkie uwzględnienia, naturalnie w granicach obowiązującej ustawy?—mówił dyrektor, zawsze uprzejmy dla Molskiego i pełen galanteryi dla pani Molskiej, która zawsze towarzyszyła mężowi, pragnąc nie tyle wtajemniczać się w interesa pieniężne, związane ze sprawami budowlanemi, ile nie odstępować go ani na chwilę.

Zresztą nie lekceważyła i znajomości tych spraw, by w razie koniecznej potrzeby móż wyręczyć męża i być pomocną.

Uprzejmość dyrekcyi i jej organów Molski

cenieć umiał, właściwie nawet była ona koniecznym następstwem jego umiejętności załatwiania wszelkich interesów pieniężnych, w stosunku do jakiegokolwiek rodzaju instytucji, od których pośrednio lub bezpośrednio one zależały.

Znał wszelkie drogi i sposoby, nieomylnie prowadzące do celu...

Doświadczenia tego nabył dzięki wskazówkom swych faktorów, którzy kierowali jego pierwszymi krokami przy załatwianiu spraw tego rodzaju.

Mieli oni wszędzie „swoich ludzi,“ znali ukryte schody i wejścia, przeznaczone specjalnie do wszelkiego rodzaju ułatwień.

— Tu wystarczy dwieście rubli — dyrygował pan Aron Grünbaum, znany w Warszawie *nad*-faktor, mający duże znaczenie i ogromne stosunki we wszystkich instytucjach, w których skupiały się sprawy, dotyczące interesów budowlanych.

— Tam trzeba dać tysiąc rubli!

— Czy nie można trochę mniej?

— Ani grosza mniej! Grünbaum na wiatr mówić nie potrzebuje! — odpowiadał pan Aron z wielką powagą i z mocnym przeświadczeniem, że to, co powie, jest wyrocznią i musi być wypełnione.

Ten system załatwiania spraw był wprawdzie dość kosztowny, lecz za to nieomylnie prowadził do celu, to też osoba pana Grünbauma

cieszyła się wielkiem poważaniem nie tylko w sferze obywateli miejskich, lecz i w odnośnych instytucjach, w których Grünbaum występował jako zaufany pośrednik osób trzecich.

Największą jednak estymą cieszył się pan Aron w Towarzystwie kredytowem miejskiem, gdzie nie tylko urzędnicy, ale i dyrektorzy ścisłali mu dłoń nader serdecznie, znosząc z wielką wyrozumiałością i pobłażaniem poufalość Grünbauma, jaką okazywał względem dygnitarzy kredytu hipotecznego.

Ta wyrozumiałość miała jeszcze i inne przyczyny, sięgające głębiej wewnętrznych stosunków instytucyi, aniżeli interes wzajemnego popierania się, w myśl mądrej życiowej zasady, że „ręka rękę myje, noga nogę wspiera...”

Mówiono bowiem na ucho, że pan Aron Grünbaum ogromny ma wpływ na wybory i że, gdy zechce, potrafi obalić dyrektorów i na ich miejsca wybrać nowych. Ze swem znaczeniem pod tym względem nie krył się nawet pan Aron, gdyż nieraz w przystępie dobrego humoru, lub też i wtedy, gdy był podrażniony niedość szybkim wypełnieniem jego żądań, odzywał się głośno:

— Pan myśli, że Grünbaum to taki sobie faktor, zwykły gałgan, faktor?... No, to się pan bardzo myli... bo pan Aron Grünbaum to nie jest jeden Grünbaum, ale całych pięćset!...

— Jakto?

— Zwyczajnie... Jak Grünbaum zechce, to on się pomnoży przez pięćset i na wyborach zrobi co zechce—mówił Grünbaum niemal groźnie, prostując dumnie swą „wspaniałą“ postać wobec jakiegoś mizeraka-ofycjalisty biurowego.

I nie była to wcale czcza pogroźka, wiedziano o tem dobrze; pamiętano również i o tem, że jeden z dyrektorów, który chciał okazać względem pana Arona niezależność stanowiska, na pierwszych zaraz wyborach przepadł z kretesem.

Liczono się więc z Grünbaumem bardzo poważnie, a woźni biurowi w pas mu się kłaniali, gdy przychodził do biura, pewny siebie, z głową wysoko podniesioną i dumny ze swego znaczenia i poważania w jednej z pierwszorzędných w kraju instytucyi kredytowych, udzielającej kredytu na miliony.

Odpowiednią do swego wpływowego stanowiska miał pan Aron i postawę.

Był to okazały mężczyzna, wysoki i barczysty, starannie zawsze ubrany, niezupełnie po europejsku wszakże, gdyż przestrzegał ściśle długości swoich wykwinnych surdutów i paltotów, co uważał za niezbędne dla utrzymania popularności w ciemnych masach żydostwa z pośród właścicieli domów w Warszawie, gdzie też mówiono o nim:

— Grünbaum to nasz! prawdziwy żyd, nie trefny, chociaż z wielkiem państwem przestaje... On chałata nie zrzucił, jak inni.



Ceniono go też bardzo i przyjmowano jego rady i dyspozycje wyborcze z bezwzględnym posłuszeństwem.

Sytuacja finansowa Grunbauma była świetną: obliczano, że roczny jego dochód wynosi więcej, aniżeli szacunek jego domu, który miał gdzieś na ulicy Pawiej—i dziwiono się, że taki bogacz nie wybuduje sobie wielkiej kamienicy w Alejach Ujazdowskich.

— Stać go na to i nie na jedną kamienicę, a na dwie i trzy, na „hrabiowski pałac“ nawet!

Pan Aron jednak nie był pod tym względem ambitny i czynnego udziału w przedsiębiorstwach budowlanych nie brał, nie kupował też, ani sprzedawał domów, zadawałnając się skromną rolą faktora, a właściwie króla faktorów, *nad-faktora*.

— Po co mnie to? na co mnie to?—mówił do żony, ubrylantowanej zawsze pani Dwojry, chorującej na arystokratkę, która chciałaby mieć swój „hrabiowski pałac“ w Alejach.

— Ty, Aron, nie masz żadnej szlacheckiej ambicyi!—czyniła uwagę pani Dwojra, zgorszona prostactwem swego męża.

Ona sama była osobą wielce edukowaną, skończyła w Peszcie wyższą pensję i w żaden sposób nie chciała pogodzić się z myślą, że mąż jej to tylko faktor, wielki wprawdzie faktor, ale zawsze faktor...

— Nu, czego ty jeszcze chcesz? Ty masz

brylanty w uszach jak tureckie orzechy i czego ty jeszcze chcesz? Chcesz, żeby one były większe? No, to one mogą być i większe... ja ci kupię... Jak ty masz brylanty i pieniądze, to ty jesteś jak sama hrabina, jak księżna... Ty głupia, ty tego nie rozumiesz! Po co ja mam sam budować sobie na jednej ulicy, kiedy inni budują dla mnie na wszystkich ulicach? Te wszystkie wielkie obywatele to oni są moi ludzie, moi budowniczo- wie, moi architekci i moi majstro- wie. Oni budują, bo ja tak chcę, bo ja im każę budować, żebym ja miał z tego dochód... Więc po co ja sam mam budować, lub kupować tytuł własności? Na co taki głupi interes, kiedy ja mam lepszy... Taki Molski na przykład... on wielki pan, on wybudował taką dużą kamienicę, jak dwie, jak trzy bóżnice razem wzięte, nu, i co mu z tego? On wielki teraz kłopot ma... on potrzebuje chodzić i kłaniać się i prosić... kogo? Arona Grünbauma. Rozumiesz teraz, jaki w tem interes jest?

Tak tłumaczył Grünbaum swej żonie korzyści swego położenia i tem uspokajał na czas jakiś arystokratyczne zachcianki pani Dwojry.

Co się tyczyło wszakże Molskiego, to pan Grünbaum nieco przesadzał, gdyż, jak dotąd, Molski ani go prosił, ani mu się kłaniał. Był on bowiem pewny, że sprawę kredytu hipotecznego sam załatwi w Towarzystwie bardzo prędko.

Przeszkód żadnych być nie mogło: wspa-

niały gmach, jaki świeżo wystawił, był wzorowo zbudowany i mógł śmiało być uznany za ozdobę miasta.

Nie przypuszczał też żadnych trudności w uzyskaniu najwyższej sumy pożyczki, którą obliczał według szacunku technicznego najmniej na 250,000 rubli.

Zresztą był w najlepszych stosunkach z dyrektorem, miał swego zaufanego doradcę i życzliwego we wszelkich interesach pomocnika w jednym z urzędników Towarzystwa, który był prawą ręką dyrekcyi; znał wreszcie wybornie całą procedurę, jaką przejść trzeba było, żeby dopiąć tego, czego się chciało,—słowem był dobrej myśli, że żadne trudności nie mogą mu stanąć na przeszkodzie.

Jedna tylko okoliczność go niepokoiła i tępowała pośpiech w uzyskaniu pożyczki Towarzystwa: oto kurs listów zastawnych zaczął w owym czasie spadać gwałtownie, aż doszedł wreszcie do 88 za sto.

W tych więc warunkach zaciągnięta pożyczka narażała na stratę od 30 do 40 tysięcy rubli przy jej realizacji.

Widząc tak fatalny spadek kursu, Molski wahał się czas jakiś, mając nadzieję, słabą wprawdzie, że kurs się podniesie i że wówczas skorzysta z przyjaznej chwili i pożyczkę zrealizuje...

Na wszelki jednak wypadek należało zapewnić się uprzednio co do możliwie najwyższej

jej normy, a to tem bardziej, że zamierzona likwidacja interesów, połączona ze sprzedażą trzech domów, uprzednio wybudowanych, szła bardzo tępo. Kupców na domy trudno było znaleźć; ci zaś, którzy się zgłaszali, zachęteni przez faktorów, proponowali ceny niemożliwie niskie.

Molski był tem zdumiony po prostu: rok temu jeszcze dobijano się o nabycie, proponowano ceny wysokie, licytowano się wzajemnie, podbijając cenę,—a dziś trzeba było namawiać, zachęcać, przedstawiać wszelkie możliwe korzyści kupna—i to bez skutku...

Było to jedno z nieuniknionych, a ujemnej natury następstw, wywołanych posuniętą do ostatnich granic spekulacją, na tle gorączki budowlanej, która rozbudziła nadmierny i niezdrowy apetyt na wielkie zyski.

Nie zadawałniano się już 10 procentami dochodu z domów, żądano 12 i 15 i, względnie do wysokości dochodu, szacowano je przy kupnie; co gorsza, każdy nowy nabywca podwyższał niezwłocznie komorne, skutkiem czego doszło ono do norm niesłychanych.

Utrudniało to znacznie sprzedaż domów budowanych sumiennie, z uczciwem obliczeniem procentów od wyłożonego kapitału. Domy zaś Molskiego były właśnie takie—i ta okoliczność paraliżowała korzystną ich sprzedaż.

Że zaś w tymże czasie zaczęła się ujawniać pewna równowaga i upamiętanie wśród kapi-

talistów, ku czemu niemało przyczyniła się prasa, wskazująca na niebezpieczny hazard spekulacji i zgubne jej skutki, gdy nastąpi nieuniknione przesilenie,—przeto dawał się już odczuwać, chociaż w małym jeszcze stopniu, pewien zastój w interesach budowlanych, który wszakże był groźnym zwiastunem reakcyi na całej linii.

Na przyśpieszenie tego zwrotu w gorączce spekulacyjnej wpłynęło kilka wielkich katastrof budowlanych, które przyprawiły o bankructwa bardziej ryzykownych aferzystów.

Były to krytyczne prawdziwie chwile dla przedsiębiorców budowlanych.

— Zet, znany bogacz, zachwiany!—mawiano szeptem na giełdzie.

— Igrek podobno uciekł za granicę...

— Iksa zapakowali do kozy...

Te i tym podobne pogłoski krążyły po mieście, niosąc wszędzie popłoch i obawy, mniej więcej uzasadnione.

Co gorsza, utrudniło to kredyt wekslowy.

Popłoch zwiększył się jeszcze bardziej, gdy dowiedziano się, że w portfelach miejscowych banków akcyjnych znajdują się weksle, niemające żadnej prawie wartości, tak zwane „piwniczne,” wystawione przez żydków nędzarzy, których całym majątkiem było pióro, jakim wypisywali tekst zobowiązań pieniężnych.

Były również weksle wprost fikcyjne, któ-

rych wystawców niktby doszukać się nie mógł; znalazły one jednak dobre przyjęcie w miejscowych bankach, dzięki „żyrom“ różnych „macherów,“ którzy potrafili sobie wyrobić ogromny kredyt w instytucjach kredytowych.

Do czasu utrzymywano to w wielkiej tajemnicy; gdy wszakże jeden z takich macherów, obłowiwszy się porządnie, prysnął do Ameryki, wtedy zaczęto głośno już mówić o nadużyciach kredytu i przebąkiwać, że one mogą zachwiać egzystencją banków.

Wpłynąć to naturalnie musiało na większą oględność zbyt „łatwowiernych“ dotąd dyrekcji i kredyt znacznie utrudnić.

Doświadczyli tego na sobie między innymi Molski i Zahorski.

Molski jednak, powziąwszy niezłomny zamiar wycofania się z interesów, nie bardzo się trwożył zmienioną konjunkturą; z kredytu wekslowego korzystać już nie miał zamiaru, szło mu jedynie o sprzedaż domów i o pożyczkę Towarzystwa kredytowego.

Był zresztą o to spokojny, wiedząc, jak wziąć się do rzeczy, aby dopiąć tego, co zamierzył.

Przedewszystkiem więc udał się z wizytą do jednego z „dygnitarzy“ Towarzystwa, w całej paradzie wyjazdowej: powozem, z lokajem na koźle, jak zwykle jeździł, gdy wypadało mu coś ważniejszego do załatwienia.

Nie był wprawdzie zwolennikiem tej wystawy dla siebie samego, lecz miał sposobność przekonać się niejednokrotnie, że pomagała ona wielce w załatwianiu interesów: ludzie, których potrzebował, stawali się grzeczniejsi i czynili możliwe ułatwienia.

Leży to już zresztą w naturze ludzi społecznych, wychowanych w szkole materjalizmu i kultu dla „złotego cielca,“ że istotna zamożność, czy też jej pozory nawet, wpływają na nich ugrzeczniająco. Trudno przecież okazać się gburem wobec człowieka, który zajeżdża przed dom błyszczącym powozem z ugalonowanym lokajem na koźle.

Często Molski podejmował w tym kierunku próby — po prostu dla facecyi; udawał się więc, skromnie ubrany, na piechotę, do kogoś, kto go znał już przedtem i wiedział, z kim ma do czynienia; wówczas jednak ten ktoś, pomimo pozornej uprzejmości, wynajdywał jakieś przeszkody i utrudnienia w załatwieniu najprostszej rzeczy, szczególnie, gdy Molski udał, że przywiązuje do niej wielkie znaczenie—i, naodwrot: gdy zjawiał się w całej wystawie człowieka bogatego i z pewnem lekceważeniem wyłuszczał interes daleko ważniejszy, tenże ktoś zadziwiał po prostu usłużnością i giętkością swego karku.

— Przebrzydłe lokajstwo!—oburzał się wówczas Molski, lub też drwił niemiłosiernie z lo-

kajskiej duszy danego osobnika, przy pierwszej lepszej sposobności.

Od tego lokajstwa nie byli wolni nawet i ludzie zajmujący wybitniejsze już stanowiska na świecie, a w pierwszym rzędzie i ów dygnitarz w Towarzystwie kredytowym.

Zdziwił się przeto Molski, gdy tym razem przyjął go dość sztywno i chłodno.

— Czem panu mogę służyć?—zapytał, zapomniawszy nawet zaproponować Molskiemu krzesło.

Molski więc sam je sobie przysunął, i usiadłszy naprzeciwko, po drugiej stronie biurka, odparł z całą swobodą:

— Jak zwykle, chcę uzyskać pożyczkę Towarzystwa na świeżo wykończony dom...

— Wiem, wiem... i jakiej sumy pan żąda?

— Większej, niż uprzednio...

— A mianowicie?

— Trzysta tysięcy...

— Rubli?! — zawołał dygnitarz kredytowy z przerażeniem w głosie.

Molski uśmiechnął się dobrodusznie i odparł:

— Przecież na „złote“ Towarzystwo nie oblicza swoich pożyczek...

— Tak... ależ to suma ogromna!

— I kamienica jest odpowiedniej wielkości — objaśnił Molski z tymże samym uśmiechem.



— Jaki szacunek techniczny?

— Około pięciukroć...

— To być nie może...

— Tak jest—odparł z naciskiem; — zresztą będzie to udowodnionem w drodze właściwej; wiem przecież, że Towarzystwo nie udziela pożyczek na słowne zapewnienia—dodał, dając tem do zrozumienia, że wyrażona wątpliwość jest nie na miejscu.

Musiał to zrozumieć dygnitarz, gdyż uśmiechnąwszy się słodko, powiedział:

— Ależ tak, naturalne... zdumiony tylko byłem ogromną sumą szacunku technicznego... to chyba nie dom, a kilka domów na jednej posesyi?

— Właściwie tak jest...

— Słyszałem coś o tem, słyszałem, lecz, wobec otrzymanej niedawno poufnej instrukcyi, zmuszeni jesteśmy z wielką oględnością określać normę pożyczek; pan szanowny rozumie, dlaczego; byliśmy dotąd bardzo względni, skutkiem czego Towarzystwo omal że nie było narażone na straty...—mówił pan dygnitarz słodkiutko.

— Nie z mojej przecież winy...

— Któż śmiałyby to twierdzić? Lecz nie zaprzeczy pan, że jest to następstwem ogólnej gorączki budowlanej, która zniewoliła do ostrożności w udzielaniu kredytu; zresztą wyznaczmy delegacyę szacunkową; od niej zależeć

będzie określenie wysokości pożyczki — mówił dygnitarz tonem urzędowym.

— Zapewne, że zależy to od delegacji, lecz ostateczna decyzja w rękach pańskich— powiedział Molski tonem znaczącym, patrząc mu prosto w oczy.

Ten dyskretnie opuścił wzrok i odparł wymijająco:

— Cóż ja mogę uczynić nad to, co przewiduje ustawa, do której stosować się muszę?

— Tak, lecz i ustawa jest wielce rozciągłą; tu więc idzie o zastosowanie najkorzystniejszego dla mnie mnożnika...

— Czy dom jest zamieszkały?—zapytał nagle pan dygnitarz.

— Dotąd nie, dopiero go ukończyłem.

— Aaa... to będzie trudno, bardzo trudno!

— Co mianowicie?

— Wykazać dochód...

— Jakto? przecież od tego są delegacje szacunkowe!

— To prawda!.. lecz w ostatnich czasach daje się uważać pewna niższa w dochodności domów. Należy oczekiwać spadku cen na lokale. Wystawiono nowych domów w tym roku przeszło 400, taką samą mniej więcej liczbę złożono planów do zatwierdzenia; wobec tego do domów świeżo wystawionych, a dotąd niezamieszkałych, musi być stosowane surowsze kryterium.—mówił „dygnitarz kredytowy“ tonem suchym, urzędowym.

Ten ton, a zwłaszcza dość uzasadnione motywy zagrażającego przesilenia w ruchu budowlanym, które Molski sam wyczuwał, wywołały poważną zadumę na jego czole.

— Nie jest dobrze—powiedział do siebie po wyjściu z gabinetu, i zamyślony skierował się w przeciwną stronę biura, do jednego z urzędników, który, chociaż zajmował niewielką posadę, miał opinię wszytkowiedza i niezawodnego doradcy.

Był to mały człowieczek, w dosłownem tego wyrazu znaczeniu. Na króciutkich nóżkach chwiały się duże względnie tułowia, a na nim, bezpośrednio prawie, z pominięciem szyi, której nie było widać, osadzoną była ogromna głowa z powichrzonymi na niej włosami.

Gdy Molski wszedł do pokoju, małe nóżki człowieczka wykonały ruch wdzięczny, a głowa zatoczyła krąg powitania.

— Witamy, witamy szanownego dziedzica dobrodzieja! — zawołał głośno, wybiegając na spotkanie Molskiego aż na środek pokoju.

Tak tytułował każdego z obywateli miejskich z przyzwyczajenia, gdyż dawniej był urzędnikiem w Towarzystwie kredytowym ziemskim, gdzie każdego interesanta nazywało się dziedzicem.

— Dzień dobry, dzień dobry, panie Dąbrowski!

— Co sprowadza do nas szanownego dziedzica dobrodzieja?

— Pragnąłbym zasięgnąć pewnej informacji...

— Do usług, do usług, jestem na rozkazyl—mówił Darewski, zataczając swym grubym tułowiem elipsę i zacierając ręce.

— Podaję się o pożyczkę do Towarzystwa...

— Wiem, wiem... już czytałem.

— Chodzi mi o pośpiech...

— Ależ naturalnie... zrobimy wszystko, co potrzeba, w mig, ale niech szanowny dziedzic dobrodziej raczy usiąść — dodał, podsuwając swój fotel i siadając na stojącym obok krzeselku

— Dziękuję... Liczę też na pana i postaram się odwdzięczyć...

Darewski opuścił skromnie oczy i zatarł znów ręce, poczem zapytał tonem tajemniczym:

— Czy szanowny dziedzic był już *tam*? — dodał, wskazując ręką na wyższe piętro.

— Byłem...

— I cóż?

— Ni to, ni owo... niewyraźny...

— Tak, tak!... i nic dziwnego... dotąd byliśmy bardzo względni, boć przecie szło tu o popieranie rozwoju miasta, a tem samem i instytucji, lecz tę chwalebną dążność potrafili wnet wyzyskać żydzi i oto dziś zmuszeni jesteśmy zachować jak największą oględność—mówił Da-

rewski w liczbie mnogiej, chcąc widocznie tem zaakcentować, że podziela w zupełności zdanie swych zwierzchników i że solidaryzuje się ze zwrotem, jaki nastąpić musiał w dotychczasowej hojności kredytowej

— Tak, zapewne— zgodził się Molski,—żydzi ze swą lichwą budowlaną wiele zła dokonali; nie powinno to jednak w żadnym razie odbijać się ujemnie na obywatelach miasta, którzy sumiennie prowadzili przedsiębiorstwa budowlane i najuczciwiej wywiązują się ze swych zobowiązań.

Darewski żywo poruszył się na krześle i zawołał:

— A któż o tem mówi?! Któż śmiałyby to przypuszczać? To też uczynimy wszystko, żeby szanowny dziedzic dobrodziej nie miał powodu do narzekań; niech tylko delegacya szacunkowa *zrobi co do niej należy* — powiedział z naciskiem, — a o resztę nie ma co szanowny pan kłopotać się; uczyni się wszystko... wszystko możliwe...

— Chodzi jednak o pośpiech.

— Naturalnie... ja to pojmuję wybornie!... W tych sprawach kilkodniowa zwłoka może zawikłać bieg interesów; z tej więc strony może szanowny dziedzic dobrodziej być zupełnie spokojny.

— Chodzi również i o skład delegacyi... pan rozumie... chciałbym, żeby jej członkami byli

ludzie sumienni, a nie formalści; u nas formalizm zabija wszystko.

— Tak, tak, święta prawda!... Wszystko... tamuje rozwój, postęp; krzywdzi, ogłupia; przykłady mam przed oczami codziennie, codziennie, gdy mi się przychodzi stykać z automatami formalizmu... Czyż oni mogą zrozumieć, że niekiedy... potrzeba... potrzeba być człowiekiem, potrzeba ocenić położenie i... ten tego... słowem umieć ocenić położenie... Oni tego nie rozumieją i stąd ustawiczne nieporozumienia tam, gdzie powinna być zgoda i jedność! Czyż mówię nieprawdę?—zapytał, rad widocznie z wygłoszenia tak mądrej, obywatelskiej tendencji.

— A więc mogę liczyć na odpowiedni wybór członków do delegacyi szacunkowej? — zagadnął w końcu Molski.

— A jakże, a jakże, panie dobrodzieju; już ja się postaram jak najlepiej...

— W każdym razie chciałbym wiedzieć wprzód, kogo do niej zaproponują.

— To się wie! Skład członków przedstawię szanownemu dobrodziejowi do uprzedniej aprobaty.

— Owszem, owszem, chociaż zdaje się, że mogę z góry poprzestać na pańskim wyborze; idzie tylko o to, żeby uniknąć styczności z ludźmi z góry uprzedzonymi...

— Oczywiście... Przecież nie wybierzemy

takiego na przykład Baryckiego... człowiek to przekorny i przyczepa, pozuje na Katona...

— Naturalnie... a przytem nie ma on najmniejszego pojęcia o istotnych obowiązkach, jakie leżą na delegatach.

— Tak, tak... człek ciemny po prostu—potwierdził Darewski.

— Więc mogę polegać na pańskim doświadczeniu i życzliwości? — zapytał Molski na odchodnem, ściskając dłoń Darewskiego.

— Postaram się uczynić wszystko dla szanownego dziedzica dobrodzieja, tak jak dla siebie samego — zapewniał Darewski tonem uroczystym.

W kilka dni po tej rozmowie Molski otrzymał od Darewskiego list z zawiadomieniem, że komisya szacunkowa już została wyznaczoną i że w skład jej wejdą: panowie Danecki, Krukowicz i Wejnert.

— Doskonale! — zawołał Molski i rozśmiał się głośno, zadowolony widocznie z kompletu delegacyi.

— Z czegoś tak się ucieszył, mój mężu?— zapytała pani Molska.

— Wyznaczono już delegacyę szacunkową.

— Kogo mianowicie?

— Same „bibuły.“ Trzeba będzie kupić bardzo dobrego wina, koniaków, starki i odpowiednie zakąski... już wiesz, mój aniołku.

— Wiem, wiem — odparła pani Molska,

z lekkim westchnieniem, przypomniawszy, że każde tego rodzaju przyjęcie delegacyi mąż jej musiał odchorować, gdyż nie mógł się uchylić od niektórych toastów, jakie podochoceni członkowie delegacyi wnosili, zmuszając go do picia.

— Trzeba jednak, żebyś nie żałowała, kochanie, pieniędzy; w takiej sprawie paręset rubli...

— Aż tyle?

— To drobnostka!...

— W roku zeszłym nie wydałam nawet stu.

— Wówczas był kto inny, ci zaś to „znawcy...“ byle czem zbyć ich nie można, wyrobili sobie smak i apetyt na delegacyach; żaden kupiec win, żaden najwytworniejszy kiper im nie dorówna. Napisz więc kartkę do Fukiera i poślij Mateusza.

— Dobrze, dobrze, mój Sławku; wszystko się zrobi... nie pierwszy to raz przecie.

---

Przyjęcie panów delegatów było wspaniałe; z razu wzdragali się... lecz widok czteroliterowych Martelów i omszałe butelki węgrzyna, jakimi zastawiono stół, był zbyt wielką dla nich pokusą.

Na chwilę zostawieni byli sami w pokoju jadalnym, gdyż Molski wyszedł do gabinetu po jakieś papiery, które przejrzeć mieli.



Z chwili tej skorzystał pan Danecki, gruby, opasły obywatel, z nosem mocno zaczerwienionym, pokrytym ornamentacją niebieskawych żyłek, które układały się i na policzkach w przeróżne desenie. Zbliżył się on do stołu, i lykając ślinkę wobec wytwornych smakołyków, przeglądać zaczął etykiety na butelkach, aż wreszcie zatrzymał wzrok swój na jednej, dziwnego kształtu i niezgrabnej, pokrytej czarną pleśnią.

Wziął ją ostrożnie do ręki, podniósł do samych oczu, i dostrzegłszy na niej skrawek pergaminu z wypisaną na nim datą, mlasnął językiem i wyszeptał z zachwytem:

— *Kometowe!*...

— Czy być może? — zawołał Krukowicz i z lubością wziął butelkę pod światło, obejrzał ją na wszystkie strony, poczem postawił ją na stole z wielkiem namaszczeniem.

— I cóż?

— Au-ten-tycz-ne! — powiedział Danecki.

— Jego bo stać na takie rzeczy! — szepnął pan Wejnert.

— To jeszcze niedosyć... trzeba się znać i umieć godnie przyjąć — zauważył Krukowicz i wznosił oczy w górę, jakby chciał wezwać niebo na świadka, że to, co mówi, jest świętą prawdą.

Krukowicz był żywym przeciwieństwem Daneckiego: wysoki, chudy niezmiernie i blady wyglądał prawie na suchotnika, tymczasem był

to człek mocy niespożytej, gdyż najmocniejsze, najstarsze wino podolać mu nie mogło.

Poufne to samnasam panów delegatów przerwało wejście Molskiego.

Wkrótce potem nadeszła i pani Molska, której ręce ucałowali kolejno z wielką czułością.

Wzdrygnęła się, poczuwszy dotknięcie grubych, obrzmiałych ust Daneckiego, który nie tylko że był smakoszem i amatorem dobrego napitku, lecz i gorącym wielbicielem płci pięknej; skorzystał więc z okazji i wpił się ustami w delikatną jak aksamit rękę pięknej kobiety. Usunęła mu ją szybko, i wchodząc w rolę gościnniej gosposi, zaprosiła do stołu.

Uczył się w jednej chwili gwar niezwykły.

Introdukcyja do biesiady pod postacią koniaku, starki i „angielskiej gorzkiej“ rozwiązała języki panom delegatom i uruchomiła ich szczęki.

Ze stołu znikwały prędko, z błyskawiczną niemal szybkością, zakąski: kawior, homary i inne smakołyki, podniecające apetyt i pragnienie.

Jednego kawioru zjedli we trzech trzyfuntową puszkę, nie mówiąc o innych zakąskach.

Koniak i starka zachęcały do jedzenia, a stary, wytrawny węgrzyn trawił tak, że gdy przyszły na stół gorące dania: sarna i cietrze-

wie, wzięto się do nich z wielkim ferworem gastronomicznym.

W końcu tej biesiady nastrój był tak serdeczny, że wszyscy kolejno dali sobie buzi z dubeltówki, obcałowali Molskiego i potłuszcili swem „cmoktaniem“ ręce pani Molskiej.

Następnie panowie delegaci przeszli w wybornych już humorach do gabinetu Molskiego na kawę czarną, likiery i cygara, gdzie ostatecznie uregulowaną została norma szacunku nieruchomości, ku zupełnemu zadowoleniu gospodarza.

Co więcej, zwrócił on nawet uwagę, że, być może, szacunek ten dyrekcyja uzna za nieco wygórowany.

— Dobrego nigdy nie za dużo! — powiedział Danecki z rubasznym uśmiechem — kto chce przeskoczyć na łokieć, musi wziąć rozmach na dwa...

— Tak, tak! — potwierdził Krukowicz - dyrekcyja może coś obciąć i urwać...

— Otóż to! chciałbym tego uniknąć, gdyż z góry potrzebuję wiedzieć, jaką sumą będę mógł rozporządzać; jeśli zaś chodzi mi o normę jak najwyższą, to dlatego, że kurs listów zastawnych jest niezmiernie niski i tak więc na pożyczce poniosę straty kilkadziesiąt tysięcy rubli...

— Naturalnie! my to rozumiemy doskona-

le, lecz i na to jest rada—powiedział Danecki z miną tajemniczą.

— Jaka?

— Trzeba zrobić tak, żeby dyrekcyja nie mogła się przyczepić do wysokości szacunku; trzeba mianowicie, oprócz innych danych i motywów, dochód z nieruchomości *udowodnić*.

— A to w jaki sposób, skoro dom jest dopiero na wykończeniu i dotąd niezamieszkały?—zapytał Wejnert.

— Otóż to! w tem cały szkopał... lecz i na to jest rada—powiedział znacząco Danecki.

— Jakaż mianowicie?

— Trzeba jak najprędzej lokale wynająć, porobić kontrakty... i rzecz gotowa.

Molski uderzył się w czoło. Istotnie, rada ta była bardzo dobrą, wykonanie jej wszakże nie było znów tak łatwe. Dotąd wynajęto tylko sześć lokali, o inne nikt się jeszcze nie dobiwał, gdyż okolica mało dotąd była zaludnioną, a zresztą dopiero za dwa miesiące rozpoczynał się kwartał świętojański, nikt więc nie śpieszył się z wynajmowaniem lokali.

Komorne w owe czasy było tak wygórowane, że mieszkańcy Warszawy wzięli się na sposób i dopiero w przeddzień przeprowadzki decydowali się dawać zadatki na nowe mieszkania. Czynili tak w tej nadziei, że właściciele domów w ostatniej chwili obniżą komorne, z obawy, żeby mieszkania nie stały pustką.

Tak było co kwartał, lecz kamienicznicy zachowywali się odpornie, i chociaż cierpła im skóra ze strachu na myśl, że mieszkania mogą pozostać niewynajęte, to wszakże do ostatniej chwili w cenie się trzymali.

Solidarność ich w tym kierunku była godną lepszej sprawy. Porozumiewali się oni wzajemnie i z góry określali normę komornego, która wynosiła przeciętnie od 150 do 200 rubli za pokój, w stosunku do ilości pokoiów.

Była to po prostu zmowa, formalny syndykat, zobowiązujący uczestników do przestrzegania interesów właścicieli nieruchomości. Za inicjowali go początkowo żydzi, którzy obrabowali jedną z większych cukierni za miejsce posiedzeń syndykatu, ustanawiali ceny na lokale i komunikowali je wszystkim współwyznawcom za pomocą specjalnych faktorów, zostających na żołdzie grubszych ryb syndykatu, „królików budowlanych.“

Faktorzy ci snuli się po mieście, wpadali do domów żydowskich, szybko się porozumiewali z właścicielami lub rządcami i szli dalej, niosąc wszędzie rozkazy i dyspozycje syndykatu.

Właściciele domów chrześcijanie prędko zorientowali się w sytuacji, i nie wchodząc nawet w bliższe porozumienie z syndykatem żydowskim, zawarli między sobą milczącą zgodę na tych samych zasadach; każdy z nich bowiem

łatwo zrozumiał, że należy korzystać ze sposobności, jaka się sama nastęrcza.

Pokusa zresztą była zbyt wielką, wobec której znikły wszelkie skrupuły sumienia, że był to przecież wyzysk ludzi biednych, którzy za dach nad głową, tę nieodzowną potrzebę życia, musieli płacić połowę swych zarobków.

— Trudno!... Jest to nieubłagane prawo ekonomiczne „podaży i popytu“—perswadowali sami sobie niektórzy właściciele domów, niezupełnie jeszcze wyzuci z szlachetniejszych, bardziej humanitarnych poglądów na stosunki życiowe i obowiązki obywatelskie.

Tak rozumował i Molski, który usprawiedliwiał siebie i tem jeszcze, że został przedsiębiorcą budowlanym dlatego tylko, żeby dorobić się fortuny. Za zasługę zaś swą uważał tę okoliczność, że budował sumiennie, unikając tandety budowlanej, przy uwzględnieniu której mógłby daleko prędzej zrobić majątek.

Był więc wobec lokatorów twardy i przy wynajmowaniu lokalów nie powodował się żadnymi względami na sytuację życiową reflektantów. Zresztą sam się tem nie zajmował nawet, ani też nie widział swych lokatorów, oznaczał tylko ceny na mieszkania, a resztę pozostawiał swym rządcom i administratorom, w czynności których nie wglądał.

Tak samo postąpił odnośnie do ostatniej posesyi, poleciwszy administratorowi nie ustę-

pować ani grosza od ceny przez niego wyznaczonej.

Dlatego więc z wynajmowaniem lokarów szło niesporo.

— A jednak trzeba je powynajmować jak najprędzej!—powtórzył Danecki, a za nim i pozostali delegaci.

Molski zamyślił się; rada istotnie była dobrą, gdyż tym sposobem udowodni się kontraktami dochód z domu i ułatwi zadanie komisji szacunkowej.

Tej praktycznej metody trzymali się żydzi, dzięki czemu nie tylko uzyskiwali najwyższą normę pożyczek hipotecznych, lecz i najwyższą sumę sprzedażną.

Łatwiej bowiem było znaleźć nabywcę, gdy świeżo wybudowany dom był już zamieszkały, aniżeli gdy lokale stały pustką.

Łatwo również było wykazać dochód z domu większy, aniżeli był istotnie.

Od tego przecież były kontrakty odpowiednio sporządzone, opiewające cenę najmu o 25 do 30 procent wyżej.

Tak na przykład lokator, który miał płacić 400 rubli, podpisywał kontrakt na 500 rubli, a jednocześnie kwitowano go z odbioru 125 rubli, jakoby już zapłaconych z góry za kwartał pierwszy, wtedy, gdy istotnie wpłacał tylko 25 rubli.

Tym sposobem przez pierwszy kwartał

mieszkał prawie za darmo—i to właśnie stawało się wielką pokusą dla ludzi biednych, liczących się z groszem, którzy, będąc przyciśnięci potrzebą, przymykali oczy na nieuczciwość, tkwiącą w tem fałszowaniu kontraktów.

Następstwa tego oszukaństwa dla nowonabywcy były fatalne... Po upływie roku za ledwie, a często i wcześniej, przekonywał się on, że lokatorowie są niewypłacalni, oraz że ogólny dochód był o 25 procent mniejszy, aniżeli ten, jaki wykazano mu kontraktami.

Nie na tem wszakże kończyły się kłopoty nowonabywcy, gdyż oprócz tego, że dochód był mniejszy, trzeba było jeszcze opłacać podatki od sumy dochodu urojonej, figurującej wszakże w wykazach komisji szacunkowej, opartych na tych właśnie kontraktach oszukańczych.

Słowem okazywało się później, że dom został znacznie przepełacony i że trudno się było przy nim utrzymać, zwłaszcza, gdy ciążyły na nim wierzytelności hipoteczne, oprocentowane wysoko.

Wielu też właścicieli domów zabrnęło skutkiem tego w długi i po latach kilku musiało pozbyć się swych nieruchomości z wolnej ręki, lub też pod przymusem licytacyjnym.

Takich bankructw było mnóstwo.

Wiedział o tem Molski i dlatego nigdy nie



uciekał się do tego rodzaju podstępów, które mu teraz podsuwali panowie delegaci.

Zamyślił się więc poważnie. Sytuacja była wielce kłopotliwa. Czuł jednak, że był to najlepszy, bądź-co-bądź, sposób załatwienia sprawy. Nie wydał mu się on nawet nielegalnym. Wszyscy przecie tak robili. Zresztą przy wynajmowaniu lokalów w domach nowych zwykle coś się opuszcza w pierwszym roku od cen przeciętnych. Na drugi zaś rok wysokość komornego doprowadza się do norm, ustalonych w mieście.

— Muszę o tem pomówić ze swoim rządcą—powiedział wreszcie, decydując się w myśli na wspomnianą manipulację z kontraktami.

— Tak, tak!... rządcą najlepiej to załatwi!—wyraził swoją aprobatę pan Danecki.

— A jeszcze lepiej doświadczony faktor, który nawet wyszuka i lokatorów—wtrącił Krukowicz.

— Gdy zaś rzecz ta uskuteczni się, wtedy dopiero ostatecznie oznaczymy szacuneczek—dodał Danecki, zacierając ręce wielce znacząco.

— A więc za parę tygodni będę znów panów fatygować—powiedział Molski.

— Owszem, z największą chęcią, jesteśmy zawsze na usługi szanownego sąsiada i dobrodzieja—odparł ze szczerem wylaniem Danecki, oblizując się na myśl powtórnej delegacyi u tak gościnnego obywatela.

— Stawimy się na pierwsze wezwanie — dodał Krukowicz.

— Niech pan zawiadomi nas chociażby w przeddzień, gdy wszystko będzie gotowe— powiedział Wejnert, ściskając mocno obydwie dłonie Molskiego.

— Dziękuję, dziękuję panu, serdecznie dziękuję — rzekł Molski, żegnając się z panami delegatami.

— Zacny obywatel! — odezwał się Danecki, gdy się znaleźli już na schodach.

— Dobry szła...a...chcic — wtórował Krukowicz, usiłując opanować czkawkę, która zaczęła go męczyć, gdy zawiało go świeże powietrze.

— Znać, że szlachcic... przyjąć potrafi i nie żałuje — potwierdził Wejnert.

— O! że nie, to nie! Ta jedna butelczyna to... pięćdziesiąt rubli, jak jeden grosz! znam się na tem — rzekł Danecki.

— Jeszczeby też!... przecież sąsiad dobrodziej dwadzieścia już lat chodzi jako delegat.

— Phil... Dawniej ludzie mniej byli gościnni!... Stawiali podły cienkusz i zrazy z kaszą — odparł Danecki z westchnieniem żalonym.

Po wyjściu delegatów, Molski odetchnął pełną piersią. Trzygodzinna biesiada w dusznej atmosferze, przesiąkniętej wyziewami potraw i alkoholu, zmęczyła go niezmiernie, a parę kie-

liszków mocnego wina, które musiał wypić, uderzyły mu do głowy, powodując zamęt w myślach.

Pozostało mu tylko niejasne wspomnienie przebytej libacyi i właściwego jej celu. Czuł senną ociężałość, której nie mógł się oprzeć — dlatego też zaledwie skłonił głowę na oparcie wygodnego fotela, natychmiast usnął.

Przykry jednak sen go nawiedził: śniło mu się bowiem, że widział okropną katastrofę budowlaną, walące się mury, potrzaskane grube belki, a wśród rumowisk, jakie się piętrzyły na ziemi — poszarpane ciała ludzkie...

Wzdrygnął się cały i zerwał się z fotela na równe nogi, i oprzytomniawszy, powiedział z uczuciem radosnem:

— Chwała Bogu!... Był to tylko sen, który na jawie się nie powtórzy, gdyż więcej już budować nie będę.

---

## VII.

Zawarta wypadkowo znajomość między Molskim a Zahorskim zmieniła się prędko w zażyły, niemal przyjacielski stosunek, dzięki paniom, które, poznawszy się, poczuły do siebie wzajemną sympatyę.

Pani Zahorska tak dalece polubiła Molską,

ze wybaczyła jej nawet niezwykłą urodę, która dla Zahorskiej, jako dla matki, mającej córki na wydaniu, nie mogła być zbyt wielkim tytułem do sympatii i przyjaźni.

Zachowanie się Molskiej zresztą było tak pełne prostoty towarzyskiej, że wszelkie, jakiegokolwiek względem niej uprzedzenie musiało zniknąć przy bliższem poznaniu.

— Molska jest zachwycająca!—mówiła pani Zahorska, ujęta za serce zarówno prostotą jej obejścia, jak i współczuciem dla tragicznej niemal doli, jaka była udziałem młodej, pięknej kobiety, zmuszonej patrzeć na szybki postęp zabójczej choroby męża, którego lada dzień utracić mogła.

Podziwiała też jej pogodę i siłę woli, jaką umiała wyrobić w sobie, aby nie zdradzić przed mężem swych trosk i obaw śmiertelnych o jego zdrowie, o ich przyszłość wspólną.

Z razu pani Zahorska podejrzewała w niej pewien chłód i obojętność, pokrywaną umiejętnie pogodnym zawsze uśmiechem na ustach i tkliwym wyrazem oczu, ile razy zwracała się do męża. Przekonała się jednak prędko, że przypuszczenie to było dla Molskiej krzywdzące, gdyż w sercu jej kryły się klejnoty uczuć i straszna gorycz skarg, jakie rwały się nieraz na usta, a które umiała w sobie stłumić, choć serce rwało się z bólu, a łzy cisnęły się do oczu.

Pewnego razu, gdy pozostały same w bu-

duarze Molskiej, pani Zahorska, zauważywszy jakiś zbytkowny szczegół umeblowania, wyraziła zdanie, że Molska musi czuć się bardzo szczęśliwą, mając męża, który stara się okazać tyle dowodów miłości.

Na tę niewinną uwagę, Molska wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Przerażona tem pani Zahorska, pochwyciła ją w objęcia i starała się utulić zbudzony nagle żal serca, którego wytłómaczyć sobie nie umiała.

— Droga moja pani! kochana! uspokój się! odkryj przede mną swą żalność, to ci ulży... Czyżbym miała cię nieostrożnie urazić, dotknąwszy jakiej zbolalej struny serca? — mówiła pani Zahorska ze łzami w oczach, z uczuciem prawie macierzyńskim, całując jej czoło, oczy i usta.

— Nie, nie! To nic... broń Boże! Tylko że ja jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa! — odparła, łkając cicho.

— Pani?! Ty, moje dziecko? Ależ to być nie może! Masz wszelkie warunki do szczęścia... Jesteś młodą, piękną, otoczoną zbytkiem, masz męża, który cię kocha bardzo... którego kochasz sama...

Perswazyje te jednak, zamiast uspokoić, rozżaliły jeszcze bardziej biedną kobietę, gdyż nie mogła się długo utulić w płaczu.

Trwało tak kilkanaście minut, poczem Molska, wyrwawszy się nagle z objęć pani Zahor-

skiej, spojrzała z przerażeniem na zegar i wyszeptała:

— Wkrótce on nadejdzie!... Jeszcze pozna, żem płakała! Boże, Boże!—westchnęła, i otarłszy szybko ślady łez, przemyła oczy i, wstrząsana jeszcze spazmem płaczu, usiłowała go powstrzymać wysiłkiem woli.

Wreszcie, po upływie kilku minut, twarz jej przybrała dawną, anielską pogodę i słodycz wyrazu, i tylko zdradliwe iskierki, drgające w głębi źrenic, świadczyły o przebyciu przed chwilą wybuchu żalości.

Dopiero teraz pani Zahorska zdołała zmierzyć głębię uczucia i bólu oraz bohaterstwo biednej kobiety, która musiała się wyrzec nawet tej gorzkiej ulgi w smutnej doli, jaką niekiedy łzy przynoszą.

— Ja nie mogę płakać! Nie mam prawa! Gdyby łzy moje zobaczył, zrozumiałby wszystko, wszystko! Dotąd żyje tylko moją pogodą i wesołością, w nich czerpie nadzieję zdrowia i życia; gdyby ją utracił, toby go dobiło. Najznakomitsi lekarze powiedzieli, że żyć nie może, że dni jego są policzone, szczególnie w tych warunkach, w jakich żyje dotąd—mówiła Molska już spokojnie, głosem cichym, z bolesną rezygnacją człowieka, który już miał czas zżyć się z nieszczęściem.

— Ależ w takim razie wyjedźcie stąd jak najprędzej na południe, do Algieru, słyszałam

tyle razy, że tam klimat zbawczy dla tego rodzaju chorych! Powinna była pani wpłynąć na to już dawniej... rozporządzenie przecież znacznym majątkiem...

Pani Molska westchnęła ciężko.

— Ach, ten majątek!... Wolałabym żyć w niedostatku, niż widzieć te zbytki, które mnie otaczają. Dla tego właśnie majątku, dla jego zdobycia, mąż stracił zdrowie, porzucił wieś i tem przyśpieszył rozwój zabójczej choroby. . Uczynił to dla mnie, chciał otoczyć dostatkami, a zarazem miał gorącą chęć odkupić rodzinny majątek, który od wieków był w posiadaniu Molskich.

— Jakiż szlachetny charakter! jakie piękne serce!—zawołała pani Zahorska.

— Tak! — potwierdziła Molska — lecz jest w nim wygórowana zarazem miłość własna, dochodząca do próżności; dla miłości tej poświęcić gotów wszystko... Był czas, że mieliśmy już tak znaczną fortunę, jak mnie sam zapewniał, iż mogło jej starczyć nie tylko na odkupienie majątku, lecz i na kilkoletni pobyt w ciepłych krajach... wówczas jednak rozbudziła się w nim namiętność przedsiębiorcza i żądza większej jeszcze fortuny, któraby mogła przywrócić dawną świetność ich rodu. Dziś zaś...

— Dziś jesteście przecież chyba bogatsi jeszcze?—wtrąciła pani Zahorska, nie mogąc opowiadać ciekawości co do istotnej fortuny Mol-

skiego, o której najsprzeczniejsze dochodziły wieści.

— Dziś?! Alboż ja wiem?... Mąż nie w tajemnicza mnie wcale w bieg swych interesów, a ile razy, chcąc mu być pomocną, staram się coś dowiedzieć w tym względzie, zbywa żartami, dowodząc, że kobiety do tego rodzaju spraw się nie nadają. To też nie wiem nawet, jak wielki jest ten majątek, dla którego poświęcił zdrowie i życie... To tylko mi wiadomo, że musi być dość znaczny, gdyż mąż nie liczy się nigdy z wydatkami, jest wprost rozrzutny; tak małe zaś przywiązuje znaczenie do pieniędzy, że nie wie nigdy, ile ich znajduje się w kasie ogniotrwałej...

— Szczęśliwi!—pomyślała z westchnieniem pani Zahorska, przypomniawszy sobie, jak u nich jest trudno ponieść większy wydatek na tualetę dla Ludki i Ali.

— Pewnego razu—zwierzała się dalej Molska — zarzuciła mu się za dokumenty rodowe, leżące w kasie, paczka z większą sumą pieniędzy... było, zdaje się, pięć tysięcy rubli; mąż nie zauważył nawet jej braku i zdziwił się, gdy w kilka tygodni później wypadkowo paczkę tę znalazłam.

— Muszą przez jego ręce przechodzić ogromne sumy!—przemknęło Zahorskiej przez głowę, głośno zaś powiedziała: — Tak! to zadziwiające zapomnienie!

— Na szczęście, musi się to wszystko już



skończyć: te ciągłe wypłaty, weksle, dostawy i tym podobne. Mąż dał słowo, że już więcej budować nie będzie i że wyjedziemy koniecznie, koniecznie... jak najprędzej!

— Jaka szkoda! dla nas!—powiedziała z zupełną szczerością pani Zahorska—pokochaliśmy panią wszyscy, a Władzio nie ma słów do wyrażenia swych zachwytów... podbiła go pani zupełnie.

Na wspomnienie Władysława przez twarz Molskiej przemknął cień jakiś; zauważyła istotnie, że okazywał on jawnie swe uwielbienie dla niej i korzystał z każdej sposobności, żeby ją zobaczyć, znaleźć się razem w teatrze, na wyścigach, lub na wycieczce za miasto, w której towarzyszył im konno.

Sposobność zaś taka nadarzała się często, gdyż nastęrczał ją sam Molski, uprzedzając zawsze Władysława, że wybierają się tam a tam i że może on sam lub z siostrami towarzyszyć im zechce.

Do teatru kupowali zawsze łożę pierwszego piętra i prosili raz na zawsze państwa Zahorskich, by pozwolili im zabierać ze sobą panienki, po które zajeżdżał powóz Molskich.

Za każdym razem Władysław musiał być również w teatrze, lecz nie siedział nigdy przez całe przedstawienie na kupionem miejscu w krzesłach, gdyż po pierwszym zaraz antrakcie umieszczał się w głębi łoży, tuż za krzesłem Mol-

skiej i nie opuszczał już tego stanowiska nawet podczas antraktów.

Zdarzało się to bardzo często, gdyż ostatnimi czasy Molskiego ogarnął jakiś szal rozrywek, chęć zabawienia się, „zapomnienia o kłopotach,” jak mawiał, tłómacząc się z tej zbudzonej nagle namiętności do wrażeń scenicznych.

Pragnął nadto, żeby się rozerwała jego Marychna w towarzystwie młodych, gdyż wyrzucał sobie w duszy jej dotychczasowe osamotnienie i tę rolę ciągłej siostry miłosierdzia i najczulszej opiekunki, którą względem niego wypełniała z bohaterskiem zaparciem się w ciągu lat dziesięciu.

Dotąd byli ciągle sami ze sobą, złączeni węzłem silnego przywiązania; Molski jednak czuł, że na wypełnienie życia tego starczyć nie może, że coraz częściej przychodzą ciężkie i długie chwile, w których nie mają sobie już nic do powiedzenia.

Chwil takich bał się ogromnie i dlatego skwapliwie skorzystał z zawartej znajomości z domem Zahorskich, żeby mieć ciągle towarzystwo nie tylko dla żony, lecz i dla siebie. I tak dalece był rad z tego, że wysilał swą pomysłowość na coraz nowe rozrywki, w których mogłyby przyjąć udział panny Zahorskie i Władysław.

Starzy Zahorscy radzi byli również z tej uprzejmości towarzyskiej, która uwalniała ich,

do pewnego stopnia, od obowiązków rodzicielskich względem dziewcząt. Szczególniej zaś rada była z tego pani Zahorska, którą teatr, koncerty i inne publiczne występy niewymownie mężczyły.

Z tych wspólnych wycieczek najmniej wszakże zadowolona była Molska, gdy spostrzegła, że Władysław stara się okazać jej przy każdej sposobności swe uwielbienie i zachwyty, w formie wszakże bardzo oględnej i delikatnej, nieprzekraczającej granic najwyższego szacunku.

Z razu śmieszyło ją to, gdyż pierwsze wrażenie, jakie sprawił na niej Władysław, nie było dodatnie; wydał się jej szablonowym elegantem, wielce pretensjonalnym i dużo o sobie myślącym.

Później wszakże przekonała się, że sąd jej o nim był za surowy, że jest dobrym w gruncie chłopcem, o wykwintnych manierach prawdziwego dżentlemana, z umysłem wrażliwym i błyskotliwym.

Nadskakiwania więc jego zaczęła przyjmować pobłażliwie, bawiąc się tym tajonym afektem młodzieńca dla osoby starszej, za jaką uważała siebie: miała już lat 29 i 11 lat była zamężną. Ciężkie wreszcie przeszła doświadczenia życiowe, które stłumiły w niej wszelką ochotę do światowych tryumfów.

Była też pewną, że jest od nich raz na zawsze zabezpieczoną; nie pojmowała nawet

właściwego znaczenia flirtu, który w świecie niewieścim stał się od lat kilkunastu niebezpiecznym czynnikiem moralnego zepsucia i zbrukania czystości uczuć i serc...

Nie przywiązywała więc poważnego znaczenia do nadszkakiwań Władysława i do wyraźnych przejawów cichego uwielbienia, jakie jej okazywał. To bowiem bawiło ją tylko i przyjemnie łaskotało miłość własną pięknej kobiety, dając zarazem wymowne świadectwo, że nie jest jeszcze tak starą, za jaką siebie uważała, i że podobać się może.

Niema zaś chyba kobiety, dla której tego rodzaju przeświadczenie mogłoby być niemilem. Nie mógł też być niemilem i jego sprawca.

Okazywała mu więc sympatyę i pewną pobłażliwość.

Gdy jednak Władysław, ośmielony tem, począł się wyłamywać z nakreślonych przez samego siebie granic cichego uwielbienia, a jego afekt stał się bardziej przedsiębiorczym i zaczepnym, natenczas Molską ogarnął niepokój dziwny.

Wprawdzie nie miała sobie nic do wyrzucenia, ani za przeszłość, ani za dalszą przyszłość—myśli jej bowiem i serce były czyste...

Zaniepokoił ją wszakże sam fakt, że ktoś obcy mógł się zuchwale wdzierać do sfery uczuć kobiety—cudzej żony, czynić zamach na świętość małżeństwa, rościć pretensye do wza-

jemności uczuć tej, która innemu ślubowała przed Bogiem miłość i wiarę. Nie mogło się to pomieścić w jej głowie, bo jakkolwiek słyszała i czytała o tego rodzaju występnej miłości, to winę jej przypisywała zawsze kobiecie, która musiała dać powód, musiała pierwsza wywołać i zachęcić do zdrożnych uczuć.

Będąc tego zdania zawsze — przejętą została trwożnym niepokojem.

— Czyżbym i ja?—zapytała siebie, lecz natychmiast myśl tę odrzuciła z gorącym, pełnym oburzenia protestem:

— Nie, nie!... Nigdy!

A więc, jeśli tak... to on ją śmiertelnie obraził, znieważył brudną myślą.

W pierwszej chwili zdjął ją gniew wielki, chciała pójść do męża i powiedzieć mu o zniewadze, jaka ją spotkała, zniewadze niezasłużonej...

Gdy wszakże pomyślała o następstwach takiego wyznania, zdjął ją strach wielki.

Nie!... i tego nie uczyni, nie tylko już ze względu na męża, ale i na samą siebie; tym sposobem bowiem pozostanie jakiś cień podejrzenia na samą myśl, że, być może, dała bezwiednie jakiś powód do zuchwałych uroszczeń lowelasa.

Nie pozostawało więc jej nic innego, jak stłumić w sobie obrażoną miłość własną uczciwej kobiety, na której honorze i czci niewie-

ściej nie było dotąd najmniejszej skazy, nie tylko w czynach, lecz nawet w myślach.. Były one czyste.

Nawet Władysław nie powinien domyślać się, że mogła zauważyć jakąś prowokację z jego strony, jakąś zuchwałą zaczepność uczuć; dlatego więc, chociaż pierwotnie miała zamiar surowem, wyniosłem zachowaniem się odeprzeć natarczywość jego uwielbienia dla niej, to jednak, po głębszej rozwadze, uznała tę taktykę za niewłaściwą.

Postanowiła więc zachować jedynie obronną postawę w dawnych granicach chłodnej uprzejmości towarzyskiej i, o ile można, unikać częstszego widzenia się z młodym Zahorskim.

Nie było to jednak rzeczą łatwą—mąż jej bowiem, jakby chcąc wystawić na próbę czyistość jej uczuć, sam zapraszał Władysława i nie było prawie dnia, żeby Zahorski nie był u nich, lub razem z nimi w teatrze, na koncertach, na spacerach, albo sam, lub też z Ludką i Alą.

W tych przeto warunkach towarzyskich zdarzało się bardzo często, że zostawieni byli sami sobie; Molski bowiem, pełen zawsze rycerskiej galanteryi dla płci pięknej, prowadził ożywione rozmowy z Ludką, lub też przekomarzył się z Alą, rozkosznym, wyzywającym podlotkiem, w której oczach igrały iskierki wesołości i tryumfu na myśl, że nawet panowie starsi i poważni tak się nią zajmują.

To częste samnasam z młodym Zahorskim musiało wpłynąć na pewne ich zbliżenie, musiało osłabić trwożliwą czujność Molskiej, musiało wreszcie wytworzyć tę niebezpieczną w rozwoju budzących się uczuć atmosferę nastrojów i chwilowych wzruszeń, powodujących fale niepokojów serca i niepochwytne drgnienia w tajemniczej, pełnej nieokreślonych powabów sferze zmysłów.

Te fale napływały niepostrzeżenie, cicho a zdradnie, jak fale morskie, które z razu toczą się leniwo, chociaż kryją w swem łonie ogrom siły i zachłanności, i ujawniają ją dopiero wtedy, w pnących się ku niebu pienistych swych grzbietach, gdy dojdzie ona do najwyższego napięcia, gdy już oprzeć się jej nie mogą.

Molska przeczuwała tę moc tajemniczą, słyszała w sennych marzeniach groźny fal tych pomruk, lub ich szmery dziwne, które to układały się w słodką melodyę uczuć, to wybuchały potężnym, dzikim akordem szału zmysłów.

Z marzeń tych budziła się trwoźna, zawstydzona, pełna niepokojów, pełna wreszcie pogardy dla siebie, że mogły one mieć przystęp do jej wyobraźni i zakłócać pogodę cichego przywiązania do męża, które, była pewną dotąd, wystarczy jej na całe życie.

Taki był stan duszy Molskiej.

To też gdy pani Zahorska wspomniała jej o Władysławie, o jego zachwytach i uwielbie-

niu dla niej, chciała w pierwszej chwili odkryć swe niepokoje, chciała szukać u niej pomocy przeciwko rozterce uczuć, chciała prosić, żeby Władysław przestał u nich bywać, przestał widywać ją.

Otworzyła już usta, chcąc to wszystko wypowiedzieć, lecz nagle nieokreślone uczucie jakiegoś żalu chwyciło ją za serce, a jednocześnie doświadczyła uczucia wstydu, że jest tak bezradna, tak słaba, tak nieszczęśliwa...

Pani Zahorska musiała widocznie zauważyć jej zaniepokojenie, odgadnąć rozterkę uczuć, gdyż przez głowę jej przemknęła myśl:

— Władzio nie jest jej obojętny!...

Nie przypuszczała zresztą, żeby mogło być inaczej: w jej oczach był on uosobieniem wszystkich przymiotów i cnót męskich—był młodym, silnym, pięknym, wytwornie wychowanym, o manierach wielkopańskich, wykształconym wreszcie,—czyż więc mogła która z kobiet zachować dlań obojętność?

— Tak, tak!—powtórzyła w myśli — nie tylko on jest nią zajęty!

Myśl ta wszakże nie była jej przykrą, jak to bywa zwykle u matek, które pragnęłyby ustrzedz swych ukochanych jedynaków od romansów z mężatkami—romansów, psujących zawsze karierę życiową młodych ludzi.

Tu o jakimkolwiek romansie nie mogło być mowy nawet. Pani Zahorska miała już bo-



wiem dość czasu do przekonania się o surowości zasad Molskiej i o czystości jej uczuć, a wreszcie o bezmiernem przywiązaniu do męża, które, póki on żyje, uchroni ją od wszelkich niebezpieczeństw życiowych, na tle jakichś niedozwolonych skłonności serca.

Molskiego dni były jednak policzone—wiedzieli to wszyscy, wiedziała o tem sama Molska i przeświadczenie to oplakała już nieraz łzami serdecznego żalu...

Nie dziś więc, to za kilka miesięcy, może owdowieć, odzyskać wolność i swobodę uczuć, a wtedy... kto wie? Majątek, jaki jej mąż pozostawi, będzie bardzo znaczny.

Byłaby więc wyborną partya, jakich niewiele w kraju. Jest przytem bardzo jeszcze młodą i piękną, w równym prawie wieku z Władysławem; zachowała nadto dziewiczą czystość uczuć. Władysław byłby z nią szczęśliwy...

Tak rozumowała pani Zahorska i dlatego tem większą sympatyę okazywała Molskiej, z tem większą, najczulszą tkliwością starała się ukołysać jej żale i niepokoje, z którymi młoda Molska jej się zwierzała.

Za to macierzyńskie prawie uczucie Molska czuła bezmierną wdzięczność i dlatego między niemi, a również i między całą rodziną Zahorskich i Molskimi, umocnił się przyjazny, serdeczny stosunek.

Dla Ludki okazywała Molska miłość star-

szej siostry-mężatki—i tem przywiązała ją do siebie, rozbroiwszy uprzednią nieufność i podejrzliwość, których źródłem była zazdrość...

Szło jej o Rudowskiego, który, niepostrzeżenie dla Ludki, owładnął jej sercem, czy też tylko stał się nieodzownym czynnikiem jej planów życiowych — sama sobie jeszcze z tego zdać sprawy nie mogła, gdyż, jak wiadomo, naturę miała chłodną, rozważną i refleksyjną, niedającą się tak łatwo porwać pierwszemu silniejszemu prądowi uczuć.

Była to, słowem, spółczesna panna na wydaniu: bardzo dobrze wychowana, uważająca pilnie na wszelkie drobnostki życiowe, niepatrząca przez szkła różowe optymizmu na przeszłość, niewzlatująca na obłokach ulud i illuzyi w nieistniejące krainy szczęścia, lecz trzymająca się silnie rzeczywistości, umiejąca słuchać, patrzeć i... dobrze liczyć.

Patrzyła więc często w lustro i w jego srebrzystem tle widziała wszystkie powaby swej urody, widziała „głębię przepastną“ swoich piwnych oczu, widziała „tajemnicze cienie,“ rzucone przez długie rzęsy, widziała „niewysłowiony wdzięk“ uśmiechu, „dziewiczą naiwność“ całego wyrazu twarzy, na której drżał „brzoskwiniowy puszek świeżości,“ co tak podoba się mężczyznom.

Widząc to wszystko, miała niewzruszoną pewność, że te skarby natury, streszczone

w tak powabnej postaci, zostaną należycie ocenione.

Gdy zaś jeszcze usiadła do fortepianu, i puściwszy swe „długie, cieniutkie i białe jak alabaster“ palce po klawiaturze, wyrzuciła z swej dziewiczej piersi kaskadę dźwięków głosu, „pełnego głębi uczucia,“ w którym dźwięczał najszlachetniejszy metal — naówczas miała chyba uzasadnione przyczyny do mniemania, że znajdzie się przecież jeśli nie królewicz, to przynajmniej młody, przystojny i zamożny, a „poważnie myślący“ chłopiec, który poczytać powinien za szczęście, jeśli mu się te skarby dziewicze dostaną na własność.

Tym szczęśliwcem mógł być Rudowski—zgodziła się na to w myśli, gdy rozważyła wszystko to, co doszło ją z dorywczo dosłyszanych wiadomości i szczegółów, dotyczących jego majątku.

Poza tem podobał się jej: zwróciła nań po raz pierwszy uwagę na wyścigach i już wówczas znalazła, że jest bardzo przystojny, domyśliwszy się zarazem, że jest i dość widać zamożny, skoro trzyma konie wyścigowe.

Gdy zaś później, przy bliższem poznaniu, Rudowski okazał manifestacyjnie, że uroda jej na nim wywarła wielkie wrażenie, tak wielkie, że pozwolił sobie nawet na zbyt porywcze, wyzywające przejawy uwielbienia, wówczas Ludka

zdecydowała w myśli, że Rudowskiego musi przykuć na stałe do rydwanu swych wdzięków.

— Jest wprawdzie zbyt pewny siebie i ogromnie śmiały, ale to nic... to nawet lepiej—uspokoila swe skrupuły panny dobrze wychowanej.

I odtąd Rudowski wszedł w sferę jej planów życiowych i wypełnił ją sobą całkowicie, a nawet wdarł się samowładnie do sfery jej uczuć, tak dalece, że nie tylko rozmowa z nim, nie tylko jego widok, lecz nawet myśl o nim elektryzowała ją, przyspieszała bicie serca, budziła słodką trwogę i pędziła krew na policzki, szczególnie, gdy puściła wodze wyobraźni, zostawszy sama w swym pokoiku dziewiczym...

Rozkoszne były jej marzenia senne na tle podróży poślubnej: Ostenda, Paryż, Pireneje... Wspaniałe hotele, oddzielne przedziały w pierwszej klasie, a zawsze on przy niej, czekający na każde skinienie, szczęśliwy na widok jej rozkosznego uśmiechu, pełnego tajemniczych obietnic.

Nagle do sfery tych rozkosznych marzeń wdarł się podmuch niepokoju.

Stało się to w początku świeżo zawartej znajomości z Molskimi. Dowiedziała się, że Rudowski znał się z nimi już dawniej.

Okoliczność ta strwożyła Ludkę i obudziła po raz pierwszy w życiu męczące uczucia zazdrości...

Molska była piękną. Zachwyty Władysława nie były przesadzone. Jeśli więc Władysław... to może i on?!

Ta myśl przeraziła ją, jakkolwiek nie zrodziła się ona na tle jakichkolwiek uzasadnionych przyczyn, a jedynie była produktem podejrzliwych domysłów...

Wystarczyło jej zobaczyć Rudowskiego przy Molskiej, słyszeć ich rozmowę, zauważyć nadzwyczajną, jak się jej wydało, uprzejmość Rudowskiego, żeby poczuć w sobie trwożliwe, męczące uczucie zazdrości i niechęci do Molskiej.

Dodatniem następstwem tego uczucia było niespodziane dla Ludki odkrycie.

— Ja go kocham!... ja bez niego żyć nie mogę! — powiedziała do siebie z przerażeniem, nie przypuszczając dotąd, że może się znaleźć ktoś na świecie, co zdolnym będzie tak despotycznie ować jej sercem.

Słyszała wprawdzie o rozkoszach i wszechwładnej potędze miłości, lecz dla siebie uznawała tylko pierwsze... Co do drugiej, to nie wierzyła w nią, gdyż w jej pojęciu wykluczała ona samą rozkosz uczucia.

Byłaby to przemoc, która, jako taka, nigdy szczęściem być nie może.

A jednak sama myśl, że mogłaby utracić Rudowskiego, mroziła jej krew w żyłach...

Na szczęście, przekonała się prędko, że podejrzania jej były bezzasadne.

Molska tak była obojętną dla Rudowskiego, że zauważyć to mógł każdy, najmniej nawet doświadczony w tego rodzaju sprawach.

Bywał zresztą dotąd bardzo rzadko u Molskich i zaczął u nich bywać częściej dopiero wtedy, gdy zapoznali się z Zahorskimi.

— To dla pani, dla pani, panno Ludwiniu, on tu przychodzi teraz — mówiła Molska, patrząc dobrotliwie lecz badawczo w oczy Ludki.

— Nie, nie! — broniła się Ludka, lecz rumieńce, które wystąpiły purpurą na jej policzkach, zdradzały ją.

— Tak, tak!... jakże się cieszę!... Jaka z was dobrana para! Oboje śliczni... Będziemy go teraz zapraszać jak najczęściej! — mówiła Molska radośnie, klaszcząc w dłonie z ukontentowania, że nadarza się jej taka dobra sposobność do odegrania roli swatki w skojarzeniu młodej, urodziwej i tak dobranej pary.

— Nie, nie! — broniła się Ludka, coraz wszakże słabiej, zlekka się rumieniając.

— Tak, tak! — powtórzyła Molska z naciśnięciem i z mocnem postanowieniem, że dołoży ze swej strony wszelkich starań, żeby małżeństwo to doprowadzić do skutku.

— Ależ ja go nie kocham wcale! — zawołała Ludka, śmiejąc się, lecz zarazem serdeczniej odpowiadając na pocałunki Molskiej.

— „Nie kocham?!“ Proszę mi spojrzeć w oczy... nie tak, nie! Ot tak... prosto w oczy —

dodała, biorąc ją w ramiona i wpatrując się w nią badawczo.

Przed tym wzrokiem Ludka skapitulowała i odparła:

— Tak... troszeczkę mi się podoba.

— Tylko troszeczkę? Niech i tak będzie. Wystarczy i to, a później znajdzie się reszta. Wiem już teraz, co mam zrobić! — dodała tajemniczo.

Na twarzy pięknej panny odmalował się przestach, złożyła ręce błagalnie i wyszeptała:

— Nie, nie!... nic nie potrzeba!... droga, kochana pani! Jak co ma być, to przyjdzie samo.

— Ależ tak, tak... i ja jestem tegoż zdania i dlatego obmyśliłam pewien plan...

— Jaki?—zapytała Ludka z zaciekawieniem i zaniepokojeniem zarazem.

— Bardzo prosty: dam mu do zrozumienia, że znam pewną panienkę, bardzo miłą, bardzo przystojną, która kocha się w nim śmiertelnie...

— Za nic, za nic!... Broń Boże! — zaprotestowała gorąco, blednąc z przerażenia.

— A to dlaczego? Przecież „co ma być, to przyjdzie samo...” Oto powiem mu jeszcze, że panna ma dwakroć sto tysięcy posagu.

— Co znowu! Ależ ja i czwartej części tego mieć nie będę! — zawołała panna Ludwika. Molska rozśmiała się serdecznie.

— Ja też nie o pani myślałam...

— Jakto? — wyjąkała Ludka z zdziwieniem i rozczarowaniem w głosie.

— Tak... znam bowiem pewną posażną je-dynaczkę, prawie sierotę, która z przyjemnością wyszłaby za Rudowskiego.

— I on ją zna?

— Przelotnie tylko, lecz nie domyśla się nawet, że jest przedmiotem jej westchnień; ja mu otworzę oczy — mówiła Molska tonem niby poważnym, w którym wszakże przebijała się nu-ta przekornej dokuczliwości, tak, że Ludka nie była pewną, czy mówi seryo, czy tylko żartuje.

Zdetonowana więc, milczała, mierząc ją wzrokiem podejrziwym.

Molska jednak nie mogła dłużej wytrzymać roli i wybuchnęła śmiechem.

— Aha!... więc zasada „co ma być, to bę-dzie“ nie jest znów tak niewzruszona!...

Roześmiała się i Ludka, mówiąc:

— Mężczyźni są tacy materyaliści...

— Nawet i on?

— Alboż ja wiem?...

— Więc nie trzeba „otwierać mu oczu?“

— Chyba nie ..

— No, no! już dobrze; wiem, co chciałam wiedzieć; a teraz reszta do mnie już należy: od-tąd będę zapraszać Rudowskiego przy lada oka-zyi, choćby mój mąż miał być o niego zazdrosny...

Ludka rzuciła się jej na szyję, ściskając mocno i całując setki razy.



— Jakaż pani dobra, dobra, jedyna!...

— Nie tak bardzo... Przemawia we mnie trochę i miłość własna; chciałabym się bowiem przyczynić do szczęścia dwojga osób, a to pół szczęścia i dla mnie samej — dodała z lekkim westchnieniem.

Od czasu tej rozmowy Ludka przyłgnęła do Molskiej zupełnie, znalazłszy w niej gorliwego sprzymierzeńca w swych planach na Rudowskiego. Chcąc zaś dać jej dowód serdecznej przyjaźni, wymogła na Molskiej, że będzie odtąd jej mówić „ty.“

Molska przystała i od tej pory wzmocniła się między niemi zażyłość stosunku towarzyskiego tak, że nie było dnia, żeby nie widziały się ze sobą.

Polubiła też Ludkę bardzo, miłością starszej siostry-mężatki.

To przywiązanie sprawiało jej podwójne zadowolenie; gdyż, jak dotąd, nie zaznała uczucia przyjaźni, nie miała bowiem ani siostry, ani przyjaciółki; prócz tego jednak, w obcowaniu z Ludką doznawała jeszcze innej przyjemności, wprowadzie nieuświadomionej, lecz tem niemniej wywołującej w niej słodkie wspomnienia.

— Jakże ona podobną jest do brata! szczególnież oczy!—myślała, patrząc na Ludkę, a jednocześnie przypominając sobie jego wzrok pełen uwielbienia, zwrócony na nią, i czując obe-

ność Władysława przy sobie nawet wtedy, gdy była samą.

Te halucynacye wyobraźni, które z razu uważała za grzeszne i odpychała od siebie, nawiedzały ją coraz częściej, tak, że wreszcie oswoiła się z niemi, a nawet umiała do nich nagiąć dotychczasowe skrupuły sumienia, zwykłą drogą dyplomacyi umysłu niewieściego, znajdującego usprawiedliwienie we wszelkich, najzawilszych dylematach uczuć.

„Czyż była winną—perswadowała sobie,— że znalazł się ktoś, co w niej gustuje?”

Nie dała przecież żadnego powodu, najmniejszej zachęty lub prowokacyi, przeciwnie—była zawsze obojętną, chłodną i surową; gniewała ją nawet ta zaczepność Władysława, boć przecież nie zapomniała nigdy, co winna sobie, swemu stanowisku mężatki i mężowi, którego kocha, którego kochać nie przestanie.

Lecz, jeśli, mimo to wszystko, Zahorski upodobał ją i patrzy w nią jak w obraz, czyż to jej wina? Chciałaby tego uniknąć, nie widzieć go nawet—lecz stanął temu na przeszkodzie mąż, który go sam zaprasza, który bez niego prawie obywać się nie może.

Zresztą Władysław w ostatnich czasach, zrozumiawszy widocznie, jak jest nieprzystępną, stał się powściągliwy, nieśmiały i jakby smutny; nie miała też ani razu powodu do najmniejszego niezadowolenia: okazywał jej bowiem jedy-

nie najwyższy szacunek, bez cienia efronterii zalotnej—i tem ostatecznie przechylił na swoją stronę jej sympatyę.

Pod wpływem autoperswazyi Molska stała się swobodniejszą i bardziej ożywioną w towarzystwie Władysława i coraz częściej planowała wspólne wycieczki do teatru, na koncerty i spaceru zamiejskie, szczególnie jesszcze, gdy w rachubę jej planów weszło skojarzenie małżeństwa Ludki z Rudowskim.

Ten ostatni na pierwsze wezwanie stawił się ochoczo i odtąd był niezawodnym partnerem towarzyskiego kółka, w którym promieniowała młodością i urodą Molska oraz Ludka, a często i Ala Zahorska.

Kółeczko to prędko zyskało popularność w mieście, a dowodem tej popularności było przezwisko: „szykowej piątki,“ stosowane do Molskiej, Ludki i Ali, oraz do Rudowskiego i Władysława; Molskiego bowiem w rachubę nie brano, a również i pani Zahorskiej, która niekiedy tylko przyjmowała udział w rozrywkach swych dzieci.

Najgorliwszym jednak rzecznikiem i inicjatorem tych rozrywek był Molski.

Gdy bowiem zdarzyło się, że którego dnia zostali w domu sami, pytał zaniepokojony:

— Dlaczego na dziś, aniele, nic nie obmyśliłaś?

— Wszakże dopiero wczoraj byliśmy w teatrze...

— Ach, wczoraj... ale ty się nudzisz sama jedna w domu.

— Bynajmniej, wszakże jesteśmy razem, mój Sławku...

— To prawda, lecz moglibyśmy gdzieś pojechać; czuję potrzebę rozrywki, zmęczyłem się dziś bardzo interesami — mówił Molski, chodząc gorączkowo po pokoju i pocierając dłonią czoło.

— Jeżeli chcesz, możemy pojechać — proponowała Molska, chociaż rada byłaby zostać w domu; te ciągle bowiem teatry, koncerty i spacery męczyły ją; dla męża jednak, dla jego rozrywki, gotowa była uczynić wszystko ..

Od pewnego bowiem czasu uważała, że na czole jego osiada troska; chodził po pokojach gorączkowo, zamysłał się, lub też zapominając, że nie jest sam, zaczynał coś mówić do siebie.

Gdy go pytała o powód zamyslenia, odpowiadał z przesadną swobodą:

— Nic, nic, mój skarbie! obliczam w myśli, czy w planach moich niema jakiej niedokładności... jak wiesz, zgłaszają się codziennie kupcy na domy...

— Wiem, wiem — odparła Molska z westchnieniem, codziennie bowiem widziała procesję żydów i jakichś podejrzanego wyglądu jegomościów, wchodzących do gabinetu męża. — I cóż?...

— Wszystko dobrze! Lada dzień to się skończy i interes ubiję.

— A Towarzystwo kredytowe?

— W tych dniach, w tych dniach również, moja Marychno!—odpowiadał z pewnem zniecierpliwieniem, unikając widocznie bliższych szczegółów, dotyczących spraw rzeczonych.

Odpowiedzi takie słyszała już od paru miesięcy i zawsze one brzmiały jednakowo: „w tych dniach,“ lub: „wszystko dobrze, mój aniele;“ gdy zaś nie poprzestając na tych ogólnikach, chciała zasięgnąć bliższych informacyi, przerywał rozmowę i proponował wyjazd na spacer, lub do teatru, i nie czekając nawet na zgodę żony, kazał zaprzęgać konie, lub posyłał po dorożkę parokonną.

W drodze dopiero stawał się bardzo ożywionym; ożywienie to wszakże było jakieś nie-naturalne, gorączkowe; przeskakiwał w rozmowie z przedmiotu na przedmiot, często niemająca żadnego związku z poprzednim.

Znać było, że sprawy te, o których mówił, nie zajmowały go wcale, że zapominał wprost o nich, gdyż myśl jego zaabsorbowana była czemś innem, co było bardzo ważnem i bardzo go interesowało, lecz o czem mówić nie chciał.

Do takiego przekonania musiałby przyjść każdy pilniejszy obserwator, lecz Molska nie przywiązywała do tego wielkiego znaczenia,

gdyż mąż jej nigdy nie lubił z nią mówić o interesach przedtem, nim one zostały załatwione.

Że zaś od lat dziesięciu szło wszystko bardzo pomyślnie, przeto była pewną, że nic przykrego spotkać go nie może.

Niepokoiliła się tylko o zdrowie, które zresztą nie budziło większych obaw niż zawsze. Przeciwnie, zdawało się, że Molski lepiej wygląda i ma więcej jeszcze sił i energii.

Tymczasem było to nerwowe podniecenie jedynie, które utrzymywało jego chory organizm w spotęgowanem ożywieniu.

A powody do takiego podniecenia były bardzo poważne.

Nie było dnia, żeby nie otrzymywał z banków i z rozmaitych instytucji kredytowych wezwań o zapłacenie wekslowych zobowiązań na tysiące rubli.

Nieraz w ciągu tygodnia przypadalo po trzy do pięciu tysięcy na spłaty. Płacił wszystko, wyczerpując z dnia na dzień wszelkie zasoby pieniężne i źródła dochodów.

Z razu dziwił się, że takie mnóstwo weksli z jego podpisem jest w obiegu.

Nie przypuszczał, że korzystał tak szeroko z dobrodziejstw kredytu i to w krótkich odstępach czasu.

Przypomniał sobie jednak, że przed czterema miesiącami, gdy dom wykończył, przypadły ogromne wypłaty. Na razie trzeba było zaspo-

koić budowniczego, majstrów, dostawców i t. p., nie licząc wydatków *extra*, oficjalnie niefigurujących w kosztorysach, lecz skromnie kryjących się w rubryce dodatkowych i nieprzewidzianych wydatków.

Rubryka ta jednak wynosiła nieraz dziesiątki tysięcy rubli, a składała się z sum drobnych, których przeznaczenie określało się dyskretnymi znakami lub inicjałami osób, czy też instytucji, z którymi wypadło mieć interes.

A były to wydatki niecierpiące zwłoki.

Dzięki temu, gdy brakło gotówki w kasie ogniotrwałej, czerpało się ją z rozmaitych źródeł kredytu, pisało się weksle nie tylko w domu, lecz często na placu budowlanym, lub też wprost w jakiejś cukierni.

Weksli tych zapominało się później wciągając do kontroli—i oto tym sposobem namnożyło się ich tyle, że trzeba było nadzwyczajnego wysiłku i obrotności Molskiego, żeby je spłacić.

Dotąd wszakże nie bardzo się tem niepokoił: ani jednego jeszcze wekslu z jego podpisem nie zaprotestowano. Pilnował się tego ściśle, pojmując doskonale doniosłość takiego protestu i następstw z nim związanych.

Dlatego też kredyt miał zawsze i to bardzo znaczny.

Wprawdzie nie był to jego kredyt osobisty, gdyż na każdym wekslu musiał być żyrant, dobrze ustosunkowany w bankach: Handlowym,

Dyskontowym, w Towarzystwie wzajemnego kredytu, u „Przemysłowców“ i w innych instytucjach kredytowych.

Lecz było to rzeczą zwyczajną w tych instytucjach, że bez Liebkindów, Grünbaumów i różnych „sohnów“ i „manów,“ nikt z kredytu korzystać nie mógł.

Nawet ludzie znani z zamożności, fabrykanci i przemysłowcy, mieli tam niewielki stosunkowo kredyt osobisty. Natomiast panowie „żyranci“ - lichwiarze i faktorzy wszelkiego gatunku, rozporządzali kredytem, dochodzącym do stu i więcej tysięcy rubli, pomimo, że majątku ich nikt obliczyćby nie mógł, a tem samem nie mógłby określić ich odpowiedzialności finansowej.

Lecz nie interesowano się tem tak dalece w przybytkach kredytu, gdyż nie oni przecież korzystali bezpośrednio z jego dobrodziejstw, lecz wystawcy weksli.

Słuszną więc było rzeczą, według mniemania panów z dyrekcji, by takim pośrednikiem czynić wszelkie ułatwienia.

Byli to przecież najlepsi klienci, dzięki rzutności których i przedsiębiorczości w obrotach finansowych instytucje te prosperowały, mogąc wykazać się setkami milionów rubli obrotu w sprawozdaniach rocznych i płacąc akcyonaryuszom dywidendy około dwadzieścia procent.



Jaką drogą panowie ex-lichwiarze umieli wyrobić sobie znaczenie i wpływy w najważniejszych instytucjach i czem potrafili zyskać względy dyrekcji, to do rzeczy nie należy,—dość, że tak było, ku ogólnemu zadowoleniu: żyrantów, akcyonaryuszów, dyrektorów i innych dygnitarzy tych instytucji finansowych.

A ze względów tych korzystali tak szeroko, że w następnych latach, gdy minęła gorączka przedsiębiorcza, a z nią i rozpasanie kredytu, a raczej gdy nastąpiło w niej przesilenie—okazało się, że w tekach bankowych spoczywały weksle wprost fikcyjne, wystawione przez osoby mityczne, lub w najlepszym razie przez nędzarzy z proletaryatu żydowskiego, którzy w całym swym majątku nie mogliby się doliczyć i stu rubli.

Lecz przekonano się o tem znacznie już później, gdy kilku lichwiarzy - żyrantów, obłowiwszy się dobrze, ulotnili się za ocean.

W owym czasie jednak, gdy Molski dom wykończył i miał zamiar wycofać się zupełnie z interesów, zaczęto wprowadzać w bankach pewną już ostrożność w udzielaniu kredytu, nie dlatego wszakże, że przeczuwano krach, lecz dlatego, że pojawiła się w świecie finansowym pogłoska, iż Bank Państwa zamknie kredyt dla banków prywatnych na weksle, dotąd w nim dyskontowane.

Pogłosce tej nikt nie chciał wierzyć, mimo to jednak panika przez nią wywołana odbiła się dotkliwie na stosunkach kredytowych, dzięki czemu pieniądz nagle zdrożał.

Doświadczył tego już Molski, gdy mu wypadło wystawić kilka nowych weksli na spłatę dawnych; musiał bowiem zapłacić procent w stosunku 22 od stu, gdy do niedawna jeszcze płacił 9 do 12 procent.

Przeraziło go to.

Pocieszył się jednak, myśląc, że zmienione konjunktury na rynku pieniężnym w małym tylko stopniu mogą go dotknąć, albowiem gdy tylko dwa domy sprzeda, sytuacja całkowicie się wyjaśni.

Ze sprzedażą domów szło jednak tępo.

Kandydatów do kupna było wprawdzie wielu, lecz albo dawali ceny zbyt małe, albo też rozporządzali niewielką gotówką, skutkiem czego żądali, żeby zostawiono im znaczne sumy na gruncie, co znowu nie było dogodnem dla Molskiego, gdyż gotówki właśnie potrzebował koniecznie, i to bardzo pilno, dla uregulowania należności, wiszących na ostatnim domu, świeżo wykończonym.

Ogólna ich suma była bardzo znaczną, gdyż wynosiła, po ostatecznem już obliczeniu, 250,000 rubli.

Składały się na to drobne względnie kwoty—od trzech do dziesięciu tysięcy rubli, które

pożyczało się w trakcie budowy, dorywczo, na procent wysoki, od 10 do 12 od sta.

Wysokość procentu nie brała się w rachubę, gdyż szło o pośpiech, o ciągly przyplływ świeżego grosza; zresztą w owe czasy z wysokością procentu wcale się nie liczone, gdyż odbijało się to potem z lichwą w szacunku domu, czy to przy jego sprzedaży, czy też przy uregulowaniu długów przy pomocy Towarzystwa kredytowego.

Dłużej też nad dwa lata nie płaciło się nadmiernie wysokich procentów—i ta okoliczność łagodziła następstwa lekkomyślności kredytowych.

Jedno tylko niepokoiło Molskiego: oto w ogólnej sumie długów prywatnych, wiszących na hipotece, było około 150,000 rubli, zajmujących numer pierwszy, które trzeba było oczyścić dla pożyczki Towarzystwa, a ewentualnie je spłacić.

Wierzycielami byli przeważnie żydzi-potentaci, jako to: Liebkind, Grünbaum i kilku innych, którzy przy tego rodzaju regulacyi byli bardzo wymagający, żądając za obniżenie numeru hipoteki bardzo słono.

Że zaś terminy spłaty były już blizkie, przeto należało śpieszyć się, żeby nie dopuścić do kroków egzekucyjnych.

Podobneż wierzytelności ciążyły na domach, które Molski chciał sprzedać; na jednym z nich wisiała nadto „kaucya“ na sumę 50,000 rubli



na rzecz Grünbauma, którą ten obiecał najso-  
lenniej zdjąć, a wekslowe długi, ciężące na niej  
w sumie około 20,000 rubli, prolongować do  
czasu przyznania pożyczki Towarzystwa.

Tym sposobem cały prawie szacunek je-  
dnego z domów, w razie jego sprzedaży, Mol-  
ski miał otrzymać do ręki. Co do innych bo-  
wiem, drobniejszych wierzycieli, był spokojny,  
ci bowiem byli cierpliwi i zadowolić ich można  
było zawsze dodatkowo wypłaconym procentem.

Tak rzeczy stały, gdy nareszcie trafił się  
poważny kandydat do kupna.

Był to bardzo zamożny ex-kupiec, który  
deklarował cały szacunek wypłacić gotówką.

Do zgody przyszło bardzo prędko: spisano  
punktacye i Molski otrzymał zadatek 10,000 ru-  
bli, z warunkiem dopełnienia wszelkich formal-  
ności prawnych w ciągu dwóch tygodni.

Dopełniwszy tej korzystnej względnie tran-  
zakcyi, odetchnął.

Około 80,000 rubli miał dostać gotówką,  
po odtrąceniu już drobnych długów hipote-  
cznych, które należało spłacić.

Teraz więc należało tylko załatwić się  
z Grünbaumem w sprawie owej kaucyi.

Gdy Molski przyjechał w tym celu do  
Grünbauma, pan Aron jadł obiad, o czem wyga-  
lonowany lokaj uroczyście go zawiadomił, wpro-  
wadzając do „wspaniałego“ salonu, błyszczącego  
od luster, bronzów i aksamitu.

Salon ten był dumą pani Dwojry, jak również i wygalonowany, kapiący od złota lokaj, który niedawno dopiero dodany został do pańskich apartamentów żony nadfaktora, jako żywy dowód jej arystokratycznych nawyknień.

Z razu pan Aron za nic nie chciał się zgodzić na te fanaberye pani Dwojry, mówiąc:

— Ty głupia jesteś! czego ty chcesz? Ty myślisz, że taki lokaj to wielka rzecz! że ty przez takiego głupiego chłopca będziesz hrabina, jasna pani?

— Dlaczego ja nie mam być jasna pani?— oburzała się pani Dwojra— albo ty nie masz wielkich kapitałów? albo ty nie płacisz za komorne całe tysiąc rubli? Albo my niejemy na obiad i gęsi, i kaczki i kuropatwy? Czy ty nie jadasz na śniadanie całe ćwierć funta kawioru za cztery ruble funt? No, to dlaczego nie możesz być ty jasnym panem, a ja jasna pani!?

— Ty nie wiesz sama, co mówisz, Dwojra. Jeśli myjemy kaczki, kury, i gęsi, i kuropatwy i kawior, no, to my mamy smak i nam inni zazdroszczą; a jak będziemy trzymać głupiego lokaja, to jaki smak z tego będzie dla nas? A inni... to nie będą nam zazdrościć, a będą się śmiać...

— Dlaczego mają się śmiać?

— Ty spójrz na mnie, na mój długi surdut, prawdziwy żydowski chałat... no, to jak przy tym chałacie będzie wyglądał twój lokaj?

Argument ten stropił panią Dwojrę, prędko jednak znalazła punkt wyjścia z kłopotliwego położenia.

— Ty potrzebujesz, Aron, obciąć trochę twój surdut i będzie zgoda.

— Po co ja mam obcinać? Dla głupiego lokaja, co nie będzie nas więcej kosztować, jak trzysta rubli na cały rok? I to ma być wielkie państwo... z takim głupim wydatkiem? Aj, aj! co ty sobie myślisz, Dwojra?

— Ja myślę, że ty twojej Dwojry nie kochasz już, Aron—odezwała się, westchnąwszy tak głęboko, że aż pękł głośno szew w staniu, ściskającym jej nader bujne kształty.

— No, no! daj pokój, Dwojra!—przemówił pan Aron z czułością—ty myślisz, że ja ci żałuję tych trochę pieniędzy na lokaja!.. Ja ci kupię u Josła dużą bransoletę z prawdziwymi rubinami, co na licytacji kosztowała czterysta rubli, a nosiła ją jakaś księżna jeszcze wtedy, gdy twój ojciec sprzedawał zapalki, a mój skupował zdechłe ryby na targu—śmiał się Aron.

— Ty, Aron, jesteś wielki prostak i grubianin!—oburzyła się pani Dwojra, odwracając się tyłem do męża, który nie miał dla niej, co skończyła pensję w Buda-Peszcie, żadnej delikatności i przypominał o takich rzeczach, które dawno już wymazane zostały z pamięci.

Ostatecznie jednak pani Dwojra postawiła na swoim, gdyż w kilka tygodni potem zgo-

działa lokaja, rosłego bardzo chłopca, z miną imponującą i dość bezczelną, jaką, uważała, mieli zawsze lokaje wielkich arystokratów.

Na imię mu było Mateusz, lecz pani Dwojra uznała, że to imię bardzo chłopskie i dlatego nazwała go Arturem.

Zanim jednak Mateusz zgodził się na tę zmianę chrzestnego imienia, między nim a panią Dwojrą miał miejsce następujący dyalog:

— Ty się nieładnie nazywasz — odezwała się, gdy został już zgodzony i zadatkowany.

— Jakto, nieładnie, proszę pani? Przecież na chrzcie świętym dano mi to imię — obruszył się Mateusz.

— No, no! ja wiem, ale ja ci dam ładniejsze imię.

— Ja tam nie chcę żadnego... służyłem, Bogu dziękować, nie w takich domach...

— No, no! ty jesteś prostak, ty mówisz do swojej pani! — zauważyła pani Dwojra surowo i wyniośle.

— Ja też nic złego nie mówię, tylko, że byłem w służbie u hrabiów i u prawdziwych jaśnie panów, toć wiem, jak trza z państwem mówić.

— No, to dobrze, że ty wiesz; dlatego też i do nas będziesz tak samo mówić. Jak ty mówiłeś do tego hrabiego?

— Jaśnie panie...

— A do hrabiny?

— Jaśnie pani...

— No, to nic się dla ciebie nie zmieniło, bo i nam będziesz mówić tak samo.

Mateusz rozśmiał się głośno i zapytał:

— Niby jak, proszę pani?

Pani Grünbaum była oburzona zarówno śmiechem lokaja, jak i niewłaściwym pytaniem, dlatego też uczyniwszy majestatyczny gest ręką, powiedziała:

— Ty nie znasz służby, mój kochany...

— O! co do tego, to nie; proszę pani, mam najlepsze świadectwa z każdego domu, gdzie byłem.

— A ja ci mówię, że ty nie znasz służby; jak mówi do ciebie pani, to ty śmiać się nie potrzebujesz, a potem trzeba mówić nie tak, jak ty, lecz „jaśnie pani!“

— Z przeproszeniem! — odezwał się Mateusz z uśmiechem głupkowskim na ustach — czy państwo są „jaśnie państwo?“

Na to pytanie lica pani Dwojry pokryły się purpurą oburzenia.

— Głupi chłop i grubianin! — pomyślała, a głośno zaś dodała: — dziś każdy, co ma dużo pieniędzy i trzyma lokaja, któremu dobrze płaci, jest jasny pan... czy ty to rozumiesz? Na to jest lokaj, żeby mówił do swoich państwa „jaśnie państwo.“

— Proszę pani! Tam, gdzie się mówi „jasny,“ to lepiej płacą, nie jakieś tam głupie ośm-



naście rubli na miesiąc! Ja brałem trzydzieści i chodziłem we fraku i lakierkach mego pana, dostawałem prezenta i napiwki od gości, prawdziwych jasnych panów, co nie po złotówce, ale po papierku dawali za podanie palta; no, a tu toć ani fraka, ani ubrania mieć nie będę, bo ja chałatów nie noszę — powiedział Mateusz tonem zuchwałym, wyzywającym;—a co do „jasnego państwa,” to ja za ośmnaście rubli na miesiąc mówić nie będę i dziękuję z góry za służbę—dodał i skierował się ku drzwiom.

— Czekaj, czekaj ty!—krzyknęła pani Dwojra—ty wziąłeś zadatek, ty się zgodziłeś, to ty nie masz prawa odejść.

— Zgodziłem się, to tak... ale w umowie o „jaśnie” nie było — odparł Mateusz, zatrzymując się przy drzwiach.

— No! co ci szkodzi tak mówić? Czy ci języka ubędzie? Czy ty będziesz stratny? Ty się nazywasz Mateusz, a my cię wołać będziemy Artur. . to takie pańskie imię, co noszą sami hrabiowie... no, to ty także możesz mówić „jaśnie pani” i „jaśnie panie...” Ja ci powiadam, że ty na tem stratny nie będziesz.

Mateusz zamyślił się, poczem odparł:

— Za ośmnaście rubli nie mogę.

— No, ja ci rubla postąpię ze swoich pieniędzy, w sekrecie przed panem.

— Nie mogę... za marnego rubla... to sześć groszy na dzień...

— Prawie siedm — obliczyła prędko pani Dwojra.

— Nie mogę.

— No, więc ja ci dołożę całe dwa, ale więcej ani grosza! Jak nie, to ty możesz sobie iść za drzwi zaraz.

Mateusz machnął ręką i rzekł z rezygnacją:

— Niech już tam, spróbuję! jak wytrzymam, to dobrze...

— Dlaczego ty nie masz wytrzymać? Cóż to, czy my niedość jesteście bogaci? Czy ty widział gdzie u jakiego hrabiego aż dwie kasy ogniotrwale? — mówiła pani Dwojra z wielką godnością i przeświadczeniem o swych niezaprzeczonych prawach do wielkopaństwa.

— Prawda, proszę jaśnie pani, dwóch kas to nigdzie nie widziałem...

— A widzisz!...

— Bo moi państwo mieli pieniądze w bankach i pisali czek — uzupełnił Mateusz-Artur, z odcieniem wielkiej ironii w głosie.

— No, no, już dosyć! Artur za dużo gada! Pójdź teraz i przynieś mi kolońską wodę, w tej wielkiej, kryształowej, z grubem bardzo złoceniem butelce—zakończyła pani Dwojra i upadła na fotel znużona rozmową z zuchwałym lokajem.

Takim to sposobem pan Aron Grünbaum z małżonką zostali „jaśnie państwem.“

Śmieli się z tego żydzi, a drwili niemiłosiernie nieżydzi, tem niemniej fakt był faktem,

że państwo Grünbaum awansowali w hierarchii społecznej, we własnych przynajmniej oczach. Że zaś każdy początek jest trudny, przeto byli dobrej nadziei, że awans ten uznany zostanie z czasem i przez innych.

Molski o tem nie wiedział i dlatego zdumiony był, gdy zobaczył wygalonowanego lokaja, otwierającego mu drzwi.

„Artur“ tymczasem zjawił się w pokoju jadalnym, gdzie państwo Grünbaum rozpoczęli dopiero obiad pysznym rosołem na gęsich szyjkach.

— Co jest?—zapytał pan Aron.

— Przyszedł pan Molski i chce widzieć jasnego pana.

— Powiedziałeś ty, że jest obiad?

— Mówilem, lecz rzekł, że zaczeka...

— No, to niech czeka...

— Gdzie on czeka?—zapytała pani Dwojra.

— W salonie...

— No, to dobrze... ty jednak potrzebujesz tam blisko być... rozumiesz?

— Rozumiem, jasnie pani; ale ja tego pana znam, to prawdziwy pan...

— No, no! ja ci powiedziałam iść, to ty idź!—rzekła pani Dwojra tonem surowym.

„Artur“ wyszedł.

— Czy on jest z jasnych panów? — zapytała męża.

— Może być... ale on teraz trochę przy-

ciemniał—odparł Grünbaum i rozśmiał się, zadowolony ze swego dowcipu.

— Po co on przyszedł?

— Po co? Po to, co każdy z nich... on albo potrzebuje pieniędzy, albo nie chce płacić co winien.

— On tobie winien, Aron?

— Czy on winien? Jakaś ty jeszcze głupia, Dwojra! Ty nie wiesz, że każdy goj, czy on wielki pan, czy mały łapserdak, jak przychodzi do takiego jak ja, to on zawsze musi być winien; po co onby inaczej przychodził?

— A dużo on winien?

— Bardzo dużo, bo gdyby on był winien mało, to onby nie przyszedł sam do mnie, a jeśliby przyszedł, to nie chciałby czekać, bo kto ma chęć płacić, to wie, że na niego inni czekać będą; tamten zaś—tu wskazał ręką w kierunku „salonu“—czeka, no, to znaczy, że on nie może zapłacić; a jak nie może zapłacić, to on winien dużo, to jest za wiele, jak dla niego.

Pani Dwojra wysłuchiwała uważnie wykładu tej psychologii finansowej, patrząc z uwielbieniem na męża, poczem rzekła:

— Ty bardzo mądry jesteś, Aron.

Na ten komplement żony nic nie odpowiedział, gdyż zajęty był bardzo starannem przeżuwaniem gęsiny pieczonej, którą jadł powoli i ze smakiem, widocznie nie troszcząc się o to, że tam czeka nań interesant.

Widząc to, żona pomyślała:

— Ten Molski to bardzo dużo musi być winien!

Nareszcie obiad skończył się.

Grünbaum jednak i teraz nie śpieszył się, gdyż kazał sobie podać wina.

— Jakiego wina ty chcesz?—zapytała pani Dwojra.

— Tego białego, co mi kupiec dał w prezencie.

— *Haut sauterne?*

— No, niech będzie, jak ty chcesz, i po francusku, żebym ja tylko mógł ugasić moje żydowskie pragnienie—powiedział Aron i rozśmiał się, wiedząc z góry, że jego arystokratyczna żona wylaże go za przypomnienie ich żydowstwa.

I tak się stało, gdyż pani Dwojra zrobiła brzydki wyraz i powiedziała:

— Ja bardzo cię proszę, Aron, żebyś tem żydowstwem nie wycierał sobie zębów... po co ty tak zawsze gadasz? Co z tego ci przyjdzie? Czy ty na tem co zarobisz? I tak wszyscy wiedzą, co my jesteśmy starozakonnej religii, ale to co innego, niż żyd... ja zresztą nie jestem żydówka...

— A co ty jesteś?

— Ty wiesz!.. Ja pensję wszak skończyłam w Buda-Peszcie i ja jestem prawdziwa Węgierka.

— Aj, aj! co ty jesteś węgierka, to prawda, ale taka z żydowskiej śliwki! — śmiał się pan Aron dobrodusznie.

— Aron, ty sobie nie pozwalaj! Ja cię bardzo proszę; ja ci już tyle razy mówiłam... ty wiesz, że ja jestem bardzo delikatna i nie mogę słyszeć tego paskudnego gadania... Mnie zaraz zaczyna coś boleć w dołku, około samego serca—mówiła pani Grünbaum, przykładając swą pulchną, białą i błyszczącą od tłuszczu rękę do potężnego gorsu, na którym zwieszał się podwójny łańcuch złoty, łączący broszkę z zegarkiem, wetkniętym za paskiem u stanika.

— No, no!... już dobrze!... Ja już idę! — odparł pan Aron pojednawczo, i wypróżniwszy szklanekę *Sauterne'u*, wstał wreszcie od stołu.

— Ty chcesz już iść? Ty nie chcesz już twojej czarnej kawy?

— Kawę to ty przyslij do salonu, niech lokaj przyniesie.

— Czy i jemu?

— Możesz i jemu... niech i on napije się prawdziwej mokki u Grünbauma... on tak długo czekał—powiedział Aron już we drzwiach.

Pani Dwojra zakrzętnęła się koło kredensu i wydobyla z głębi szafki dwie filiżanki o złotej powierzchni, wielką tacę srebrną i srebrną, grubo pozłacaną cukiernicę, oraz srebrną również, grubo złoconą maszynkę do kawy.

Wszystko to ustawiła na tacy i z lubością

objęła wzrokiem tę wspaniałą zastawę, obliczając w myśli, ile to wszystko warte na pieniądzu; wreszcie powiedziała do siebie:

— U żadnej hrabiny takiej bogatej kawy czarnej nie podadzą, jak u mnie, u pani, u jaśnie pani Grünbaum!

Gdy nalano w końcu kawę do maszynki z przyniesionego z kuchni żelaznego garnka, pani Dwojra przywołała „Artura.“

— Artur, ty weź i nieś bardzo ostrożnie, bo to wszystko drogie jest!

— A toć widzę, ale tego przecie nikt nie ugryzie po drodze!

— Artur, ty znowu mówisz jak prosty cham! ty pamiętasz, co ja mówiłam?

— Pamiętam, jaśnie pani — odparł lokaj, lecz gdy się znalazł za drzwiami, powiedział prawie głośno: — a żeby was! — Tu zaklął tak dalece nieparlamentarnie, że gdyby to słyszała pani Dwojra, popękałyby jej wszystkie szwy u stanika, co się jej zawsze trafiało, gdy gniew ją uniósł; wówczas bowiem oddychała tak mocno, chwytając powietrze, że przyciasne nieco staniki, krajane i przymierzane w chwilach błęgiego spokoju duszy, nie mogły w żadnym razie wytrzymać gwałtowniejszych nastrojów i wzruszeń.

Grünbaum tymczasem „badał“ swego interesanta.

Była to procedura, podobna do tej, jaka

ma miejsce w gabinecie znakomitego lekarza w stosunku do pacyenta. I w pierwszym bowiem i w drugim wypadku odbywa się „badanie,” potem stawia się dyagnozę, a wreszcie stosuje się środki lecznicze.

Zachodzi jednak tu drobna różnica, że gdy w pierwszym wypadku lekarz pisze receptę, w drugim czyni to pacjent, nie na zwykłym jednak papierze, lecz na wekslowym, lub opatrzonym stemplowemi markami.

I w tym ostatnim wypadku porada trwa zwykle znacznie dłużej.

Zanosilo się na to i teraz; okazało się bowiem, że stan pacyenta był trudnym do zbadania.

Spostrzegł to Grünbaum od razu, gdy tylko wszedł do salonu; zamiast bowiem uprzejmego powitania, jakiego się spodziewał od Molskiego, usłyszał dość szorstką wymówkę:

— Kążesz pan na siebie za długo czekać, panie Grünbaum — powiedział Molski tonem wielkiego pana, przemawiającego do swego ekonoma.

Ton ten stropił Grünbauma.

— Czyżby stary Grünbaum miał się omylić?—pomyślał— może on przyszedł z pieniędzmi? — głośno zaś dodał: — Bardzo przepraszam pana... ale ja jestem chory, to potrzebowałem odbyć swoją kuracyę; ja pana bardzo przepraszam...



— Lokaj mówił, że pan jadł obiad?

— No, to prawda jest, ale co dla jednego obiad, to dla drugiego kuracya; mnie tak kazał doktor, jeden wielki doktor z Berlina, że bym ja co dwie godziny coś jadł bez przerywania... i wtedy ja żadnych interesów robić nie mogę.

— No, mniejsza już o to; życzę panu skutku z tak racjonalnie stosowanej kuracyi, i żeby długo pana nie nudzić, powiem od razu, po co tu przyszedłem.

— Pan dobrodziej ma do mnie interes?... Ja już wiem... i ja bardzo kontent jestem, że pana widzę; jabym sam nie śmiał panu dobrodziejowi się uprzykrzać, ale mnie teraz bardzo potrzebny jest kapitał! duży kapitał..

— O jakim kapitale pan mówisz, panie Grünbaum? — zapytał pan Molski zdziwiony i trochę zaniepokojony.

— Ja wziąłem wielką dostawę do kolei, bardzo dobrą dostawę...

— Cóż znowu! Porzucasz pan dotychczasową działalność?... Skądże panu przyszła ochota do tego rodzaju interesów? Nigdyś się pan nimi nie zajmował.

— To jest prawda; ale trzeba coś robić, żeby żyć... Ten interes budowlany to już żaden interes i jabym na nim musiał zbankrutować. Nikt nie chce płacić. Najlepsze hipoteki niepewne; nie tylko, że niema procentu, ale i ka-

pitału odebrać nie można; to już ja bardzo kontent jestem, że pan dobrodziej sam przyszedł... z takich klientów, jak pan Molski, można żyć—mówił Grünbaum, rozpoczynając swoje „badanie“ i pilnie obserwując, jakie ono sprawi wrażenie na Molskim.

Molski wszakże, z właściwą mu dobroduszością w interesach, powiedział, śmiejąc się:

— Zanadto mnie pan przechwalasz, nie wiedząc jeszcze, w jakim interesie do pana przyszedłem.

— Ja wiem... Grünbaum zawsze wie: pan dobrodziej robi ogólną regulacyę i dlatego chce, żeby nie było żadnych kaucyi i żeby nie trzeba było płacić procentów! Ale niech pan dobrodziej siądzie tu, na wygodnym fotelu—dodał z uniżoną uprzejmością, gdy lokaj wniósł srebrną tacę ze złoconą na niej zastawą i z kawą czarną;—pan dobrodziej pozwoli... prawdziwa mokka! Mnie jeden kupiec, on daleki mój krewny jest, przysyła wprost z samej „Mokki.“

— Dziękuję, dziękuję, nie bardzo mi wolno pić kawę, lecz tym razem uczynię wyjątek—odparł Molski, nie chcąc odmową źle usposobić dla siebie pana Grünbauma.

Gdy lokaj napełnił aromatycznym istotnie napojem filizanki, pan Aron zagadnął:

— No, niech pan dobrodziej powie, czy Grünbaum nie zgadł, jaki to jest interes?

— Po części zgadłeś pan: tak, chcę właśnie

pana prosić, żebyś zgodził się zwolnić hipotekę z kaucyi na niej wiszącej.

— Oj, oj! czemu nie? ja gotów, ja bardzo rad jestem, ja to zrobię w każdej chwili, choćby teraz—odparł pan Grünbaum z wybornie udaną życzliwością; — ja się bardzo cieszę, że pan dobrodziej chce zrobić regulację.

— Bardzo panu wdzięczny jestem za tę gotowość przyjsia mi z pomocą...

— Jakto z pomocą? z jaką pomocą? Co pan dobrodziej każe, to Grünbaum musi zrobić—przerwał mu Grünbaum i podsunął filiżankę z kawą czarną;—przecież ja nie mam prawa nie robić, jak otrzymam swoje pieniądze—dodał jeszcze.

— Otóż to... w tem właśnie leży cały interes, mój panie Grünbaum.

— Interes?... Jaki to interes?... Z przeproszeniem pana dobrodzieja, bo ja niedobrze rozumiałem.

— W takim razie wytłómaczę panu krótko: chcę pana prosić, żebyś pan zdjął kaucyę, nie żądając, na razie przynajmniej, spłaty moich zobowiązań, tą kaucyą zabezpieczonych—powiedział Molski, patrząc prosto w oczy panu Aronowi.

Ten aż podskoczył na krześle, usłyszawszy tę propozycyę.

— Jakto? Dlaczego ja mam to zrobić? jaki

dla mnie z tego będzie interes? Pan dobrodziej żartuje sobie...

— Wcale nie, panie Grünbaum; mówię zupełnie seryo; wiesz pan dobrze, że jestem dość odpowiedzialny i że większej gotówki potrzebuję chwilowo tylko, dla przeprowadzenia regulacji moich interesów, dla spłaty długów pilniejszych, wysoko oprocentowanych, które musiałem zaciągnąć na budowę ostatniej mojej posesyi.

— Ja to wiem i jabym zrobił wszystko dla pana dobrodziejja, ale nie mogę, bo sam potrzebuję gotówki, wielkiej sumy... na dostawę rządową; ja już mówiłem i dlatego wybaczy pan, ale ja tego interesu zrobić nie mogę.

— Przecież nie o wielką sumę tu chodzi— zauważył Molski.

— Jakto niewielką?... Całe pół sta tysięcy!... To duży pieniądz!... Bardzo duży, jak na dzisiejszą stagnację w interesach.

— Ależ mylisz się pan...

— Jakto się myślę?... Grünbaum w interesie, gdzie chodzi o pieniądze, mylić się nie może.

— Prawda, że na taką sumę oznaczoną została kaucya, lecz zobowiązania wekslowe, zaciągnięte na to zabezpieczenie hipoteczne, wynoszą nie więcej nad dwadzieścia tysięcy rubli.

Grünbaum uśmiechnął się wielce zagadkowo i rzekł:

— Teraz ja powiem, że pan dobrodziej się myli! Ja mam weksli pańskich na trzy razy taką sumę.

— To być nie może! — zawołał Molski i zerwał się z miejsca.

— Może, bo jest.

— Ależ ja panu weksli na taką sumę nie wydałem.

— Może być... ja już nie pamiętam, ale weksle pana dobrodzieja same do mnie nie przyszły.

— Jakim sposobem? wytłómacz się pan!

— Zwykłym w handlu pieniędzmi sposobem: ja przyjąć je musiałem w obrachunku.

— Od kogo?

— Od różnych...

— Ale przecież?

— Najwięcej to od Liebkinda; ja zaraz pokażę — powiedział Grünbaum i wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie stała kasa ogniotrwała.

Molski pozostał na chwilę sam i, zafrasowany tą niespodzianą komplikacją w interesach, obliczał w myśli jej możliwe następstwa.

Faktem było, że Liebkind, który zapewnił go, iż gotów jest prolongować mu terminy spłat do czasu uzyskania pożyczki Towarzystwa, obietnicy nie dotrzymał i weksle, a przynajmniej ich część, scedował na Grünbauma.

Okoliczność ta utrudniała porozumienie się z każdym z nich z osobna, widocznem bowiem było, że między nimi została zawarta uprzednio jakaś umowa, której treść mogła dlań być, jak w danych okolicznościach, niekorzystną.

Nie było jednak czasu na zorientowanie się w zmienionej sytuacji, gdyż w tej chwili powrócił Grünbaum, niosąc w ręku grubą paczkę weksli, które pokazał Molskiemu, nie wypuszczając wszakże ich z ręki.

— Tu jest przeszło na sześćdziesiąt tysięcy rubli!

— Aż tyle?

— Może trochę mniej, może trochę więcej—odparł Grünbaum niedbale;—ja jeszcze nie robiłem rachunku, ale ja mogę zaraz obliczyć co do rubla.

— Proszę o to—odparł Molski już zupełnie spokojnie, zdoławszy zapanować nad pierwszym niemiłym wrażeniem, — prosiłbym również wymienić mi nazwiska wszystkich cedentów.

— Czemu nie?.. przecież to żaden sekret jest — odparł Grünbaum, i ścisnąwszy mocno w jednej dłoni paczkę, zbliżył ją do Molskiego, a pośliniwszy palce, brał po kolei każdy weksel i wymieniał nazwiska wierzycieli. Były to nazwiska żydowskie, pomiędzy którymi najczęściej powtarzało się Liebkinda. Jednocześnie Grünbaum wymieniał i sumę, na jaką weksel został wystawiony.

— Niech pan dobrodziej notuje, to zaraz się obliczy—mówił pan Aron, podsuwając Molskiemu papier i ołówek.

W miarę, jak suma rosła, Molskiemu krew uderzała do głowy, czuł bowiem, że ostateczny obrachunek z Grünbaumem będzie ciężki.

Nareszcie niemiła ta czynność została ukończoną, poczem Grünbaum schował weksle do kieszeni i zapytał:

— Ile u pana dobrodzieja wypadło?

— Sześćdziesiąt jeden tysięcy pięćset rubli.

— No, tak jest; ja teraz sobie przypominam — potwierdził pan Aron, który wybornie wiedział przedtem jeszcze o ogólnej sumie należności.

— Po coś pan skupywał te weksle? — zapytał Molski głosem podrażnionym.

— Ja skupywał? Pan dobrodziej żartuje? A co mi po tem? Czy to ja weksli nie mam dość? czy ja nie wolałbym gotówkę?

— Więc jakimże sposobem znalazły się one w pańskich rękach?

— Sposobem? Tu nie było potrzeba żadnego sposobu... Mnie się należało dużo pieniędzy od Liebkinda i od innych żydków, z którymi ja mam interesy; no i oni przyszli do mnie z tymi weksłami. Co ja miałem zrobić?

— Odesłać ich do mnie! Tak należało uczynić, panie Grünbaum. Wszakże nie od dziś ze

sobą mamy interes? — powiedział Molski tonem ostrym.

— Pan dobrodziej się gniewa, ale ja tu nic nie winien; ja nie chciałem brać weksli, i jaby nie wziął, gdyby one nie były pańskie... ja za bardzo pana dobrodzieja szanuję, żebym ja mógł jego weksle odrzucić... Coby te żydki na to powiedzieli, żebym ja je odrzucił, ja, Grünbaum? Oni powiedzieliby, że zły jest taki interes, którego Grünbaum nie chce, i z przestachu zrobiliby wielki gwałt i z takimi głupimi pieniędzmi zapaskudziliby hipotekę... Czy to byłoby lepiej? Niech sam pan dobrodziej powie!

— Ach! więc to przez życzliwość dla mnie tak pan postąpiłeś? — powiedział Molski z lekkim odcieniem ironii.

— Pan może nie wierzy, że tak jest? — obruszył się pan Aron, przybierając postawę obrażonej godności — wszakże mnie z tego nic nie przyjdzie, a i pan dobrodziej nic na tem nie traci, lecz przeciwnie, bo nie potrzebuje się wdać w układy z różnymi żydkami, a tylko ze mną, Grünbaumem.

— Wspomniałeś pan o układach...

— Przepraszam pana, ja tak powiedziałem, myśląc o tem, że ja otrzymam moje pieniądze; a dla pana Molskiego to ja gotów i układy zrobić... widzi pan dobrodziej, że Grünbaum nie taki twardy człowiek jest.

— A!... jeśli zgadzasz się na układy, to co



innego; w takim razie możemy rychło przyjść do porozumienia.

— Dlaczego nie?... ja do zgody zawsze gotów, ja panu dobrodziejowi ustąpię coś z procentu, żebym tylko dostał od razu całą gotówkę.

— Żartujesz pan?!

-- W interesie żarty? kto to widział? Ja co mówię, to dotrzymam, na mój honor...

— Ależ mówiłem już panu, o co mi chodzi—przerwał Molski niecierpliwie.

— Ja to słyszałem—odparł Grünbaum, gładząc powoli swą lśniącą, jedwabistą brodę.

— I cóż pan na to?

— Ja już mówiłem...

— O ustępstwie procentu?... Ja tego nie żądam, mnie chodzi o gotówkę.

Grünbaum rozśmiał się jowialnie.

— Panu dobrodziejowi o to samo chodzi, co i mnie... ja też potrzebuję gotowych pieniędzy bardzo pilno; jak ja ich nie dostanę, to ja mogę dużo stracić. I dlatego ja pana dobrodziejka bardzo proszę o wypłatę tego, co mi się należy—dodał tonem stanowczym.

Molski wstał mocno podrażniony. Zbyt był obyty z tego rodzaju interesami pieniężnymi, aby nie zrozumieć, że Grünbaum igra z nim, jak kot z myszą, zanim uda mu się ją zdusić. Widział nadto, że zanosi się tu na grę bardzo poważną i bardzo niebezpieczną dla niego w obecnym stanie rzeczy.

Skupienie weksli jego przez Grünbauma, i to na sumę tak znaczną, najlepiej o tem świadczyło. Było to zgromadzenie atutów, w jakichś daleko sięgających zamiarach, które należało zniweczyć za jakąbądź cenę.

Terminy płatności niektórych weksli już minęły, a mimo to nie przedstawiano mu ich do realizacyi; innych — były bardzo blizkie; że zaś Grünbaum wisiał z 50,000 kaucyą na hipotece, przeto wystarczyło mu wystąpić tylko z odpowiedniem ostrzeżeniem na drodze prawnej, a wówczas ze sprzedaży domu, już w zasadzie dokonanej, nicby mu się nie dostało...

Postawiloby go to na razie w położeniu nader trudnem, prawie bez wyjścia. Jakkolwiek bowiem miał faktycznie znaczny majątek w nieruchomościach, to jednak przeprowadzenie regulacyi interesów, bez znacznej gotówki w rękę, było wprost niemożliwe.

Tę gotówkę zaś, którą, zdawało się, trzyma już w rękę, mógł mu wyrwać Grünbaum jednym pociągnięciem pióra, jednym wezwaniem sądowem.

Zważywszy, że tenże Grünbaum łącznie z Liebkindem mają około 150,000 rubli na pierwszym numerze hipoteki ostatniej nieruchomości, i że, jak się zdaje, działają w porozumieniu, przeto, gdy zechcą, mogą go bardzo niebezpiecznie zaszachować.

Rozumiał to doskonale Molski, i przewidu-

jąc najgorszą ewentualność, postanowił, za jakąkolwiek cenę, wejść z Grünbaumem w układy i uzyskać możliwe ulgi w spłacie długów wekslowych,—dlatego też zwrócił się do Grünbauma z pytaniem, postawionem jasno i kategorycznie:

— Zechciej mi pan powiedzieć, ile pan żadasz za prolongatę należności do czasu uzyskania pożyczki Towarzystwa?

— Ja już powiedziałem — odparł wymijająco,—ja potrzebuję pieniędzy pilno... więc co ja mogę zrobić?—dodał tonem żalonym niemal.

— Daj pan pokój, panie Grünbaum; odrzućmy politykę i wybiegi na stronę—ozwał się Molski tonem szorstkim i stanowczym.—Mówimy przecież na cztery oczy, to możesz pan odkryć swe karty...

— Jakie karty? o czym pan dobrodziej mówi?

— O czym? wiesz pan doskonale; ja zaś wiem, że nie idzie panu wcale o otrzymanie gotówki, bo masz pan jej dosyć, a i kredyt masz w bankach...

— Przepraszam bardzo! — przerwał żywo pan Aron—ja już wziąłem wszystko, co mogłem, na moje sumienie!

— Nie poruszajmy lepiej, mój panie, niezgłębionych jego tajników; co zrestą ma sumienie do interesów pieniężnych? To są własne pańskie słowa, które nieraz słyszałem. Powiem więc panu otwarcie, że nie wierzę wcale w tę

rzekomą dostawę, której się pan miał podjąć. Wiem natomiast, że skupując moje weksle, miałeś cel inny, obliczony na przewidywaną regulację moich interesów i utrudnienie warunków kredytowych.

— Pan jest bardzo mądry polityk, panie Molski! — wtrącił Grünbaum, uśmiechając się ironicznie.

— Dość mądry, żeby nie tylko pana, ale i pańskich współwyznawców ocenić, jak na to zasługujecie. Dla was pieniądź jest wszystkim: marzeniem, celem, szczęściem, zbawieniem samym! — mówił Molski, mocno podrażniony, z wypiekami na twarzy, unosząc się coraz bardziej. — Korzystacie z każdej okazji — mówił dalej, — z każdej najdrobniejszej okoliczności, żeby oplątać człowieka, który wchodząc z wami w interesa z konieczności, daje wam jednak żyć i dorabiać się fortuny... Wy jednak tego ocenić nie umiecie, nie poprzestajecie na umiarkowanych korzyściach, lecz chcielibyście doszczętnie wyzyskać i zrujnować! Oto wasze zamiary i ostateczne cele, i dlatego cokolwiekbyś pan mówił na swoje usprawiedliwienie, ja nie uwierzę...

Podczas tej przemowy Grünbaum uśmiechał się ironicznie, lecz słuchał cierpliwie, przebierając palcami włosy na brodzie. Gdy wreszcie Molskiemu zabrakło tchu, odezwał się z godnością:

— Ja się bardzo dziwię temu wszystkiemu, co pan powiedział. Jabył się może potrzebował obrazić! Lecz ja się nie obrażam i nie gniewam. Ja sobie tylko tak myślę: do interesu każdego trzeba mieć spokój; trzeba liczyć nie tylko to, co idzie do naszej kieszeni, lecz i to, co może pójść do cudzej kieszeni... Nigdy jednak gniewać się nie trzeba, ani też mówić brzydkie rzeczy tam, gdzie się ma interes i gdzie trzeba mówić ładne rzeczy, przyjemne rzeczy... To nawet dziecko każde rozumie...

— Cóż to? Dajesz mi pan nauki, panie Grünbaum?—przerwał Molski tonem ostrym.

— Broń Boże! Ja tylko mówię. Ja mówię, że od przyjemnych rzeczy mniejszy procent jest, aniżeli od brzydkich rzeczy. Ja, jak mam gdzieś iść dla interesu, to ja się robię bardzo słodki i nigdy się nie gniewam, bo interes z wielkim gniewem to żaden interes jest. Tymczasem u panów i wogóle u chrześcijan jest zwyczaj gniewać się i obrażać. Jeśli ja chcę u kogo pożyczyć pieniędzy i ten ktoś nie chce mi ich dać, to i wtedy obrażać się nie trzeba, bo są trzy ważne przyczyny, dla których pieniędzy się nie daje: Pierwsza przyczyna jest: jak niema pieniędzy; druga: jak się ma i chce dać, ale potrzebuje ewikcyi, i trzecia: jak się ma i nie chce dać, bo albo samemu potrzebne, albo nie widzi się w „wynajęciu“ żadnego dla

siebie interesu. Więc w żadnym wypadku gniewać się nie można.

— No, a do której kategorii zaliczasz pan mój interes?—zagadnął Molski, mocno jeszcze podrażniony, lecz panując nad sobą.

— Do żadnej, bo przecież pan dobrodziej nie przyszedł pożyczyć, ale zrobić regulację, zapłacić.

— Ja płacić teraz nie mogę, nie chcę... mówiłem już...

— Ja to słyszałem, i to czwarty już interes jest—dodał z uśmiechem, niezmiernie zadowolony ze swego rozumowania, które, widział to, uczyniło na Molskim pożądane wrażenie.

— Więc powiedzże pan ostatecznie, czy zgodzisz się na prolongatę i zdjęcie kaucyi?

— Ja bardzo potrzebuję pieniędzy i dlatego jabym się zgodził tylko wtedy, gdyby to był dla mnie taki interes, żebym ja mógł na nim zarobić to, co stracę na dostaniu od kogo innego pieniędzy, a teraz pieniądz, jak panu wiadomo, bardzo drogi jest.

— Jeśli o to chodzi, zgoda. Różnicę w wysokości procentu ja zapłacę—powiedział Molski.

— A jaka ewikcyja dla sumy?

Molski westchnął ciężko. Domyślał się, czego będzie żądać Grünbaum za zdjęcie kaucyi: oto zabezpieczenia hipotecznego na nowej po-

sesyi. Szło więc teraz o to, żeby wytargować możliwie najniższy numer hipoteczny; zapytał więc:

— Jakiej ewikcyi pan żądasz?

— Dobrą hipotekę.

— A więc dam ją panu na świeżo ukończonej nieruchomości.

Grünbaum skrzywił się.

— To dla mnie żaden interes...

— Jakto?—oburzył się Molski—dom wart więcej niż sześćkroć, a panu to jeszcze za mało?

— Ja już mam na nim dużą sumę...

— Więc cóż z tego?... odbierzesz ją przecież.

— Kiedy?

— Jak otrzymam Towarzystwo...

Na ustach Grünbauma pojawił się zagadkowy uśmiech.

— To jeszcze daleki interes...

— Kwestya dwóch do trzech miesięcy.

— Czy panu już wiadoma suma, jaką mają przyznać?

— Mniej więcej...

— To znaczy: nic nie wiadomo. Pieniądz potrzebuje cyfry, a „mniej więcej“ to żadna jeszcze suma.

— Co zresztą obchodzi pana wysokość pożyczki Towarzystwa? Wszakże wiesz pan chyba o tem, że wystarczy ona na spłatę pana i Liebkinda?

— Daj Boże!.. ja tego życzę panu dobrodziejowi; ja jednak na hipotekę pańskiej posesyi dać nie mogę, chociaż ona dużo warta jest.

— Dlaczego?

— Dlatego, że tam jest już nasza suma, Liebkinda i moja: więcej niż sto pięćdziesiąt tysięcy rubli... to po co my mamy dokładać do interesu?..

— Jakto dokładać?

— Zwyczajnie... jak ja mam do umieszczenia sześćdziesiąt jeden tysięcy, to ja mogę „wynająć“ je na dwa i trzy domy małe i mieć taką pewność, że jak mi nie zechcą płacić procentów, to ja mogę wystawić dom na licytację i stanąć do kupna... Pan dobrodziej rozumie, jaki to interes jest? Ja mogę kupić na licytacji za czterdzieści tysięcy taki dom, co wart ośmdziesiąt tysięcy. Teraz kupców na domy niema, oni już dostali wielką niestrawność finansową... dlatego, jak jest licytacja, to stają do niej tylko ci, co mają sumy. Pan dobrodziej to wie; no, a wtedy licytacja spada i idzie potem niżony szacunek i dom jest mój. Pan sam zrobił raz taki brylantowy interes. Po co więc ja mam dawać na taki dom, co bardzo dużo kosztuje i który nie będzie na sprzedanie? Niech pan dobrodziej sam powie...

— Więc ostatecznie nie chcesz pan nic dla mnie zrobić?



— Ja chcę, ja bardzo chcę, ale ja nie mogę stracić... Jeśli ja panu zechcę prolongować, uwolnić z kaucyi, to ja będę musiał sprzedać moje sumy hipoteczne na tych domach, co można... nie dziś, to jutro, kupić za pół darmo. Czy pan dobrodziej zechce mi te straty wrócić?

— Dziwnie pan obliczasz, panie Grünbaum. Powiedz pan raz nareszcie, za jaką cenę, a raczej na jakich warunkach zgodzisz się na moje propozycje? — zapytał Molski tonem stanowczym, mocno podrażnionym, wyprowadzony już zupełnie z cierpliwości tem kręactwem żyda, który nibyto odmawiał, a jednak dawał do zrozumienia, że gotów jest coś poradzić, za cenę wszakże tak wielką, że sam bał się bliżej ją określić.

Powiedziawszy to, Molski wstał i czekał na odpowiedź.

Grünbaum milczał.

— A więc?—nalegał Molski.

— Ja potrzebuję się namyślić... na wiatr nie można nic powiedzieć w tak dużym interesie.

Namyślanie to trwało kilka minut. Grünbaum wziął papier i ołówek do ręki, kreślił jakieś znaki na papierze i coś mrucał pod nosem, potem wypisał szybko szereg cyfr, które głośno wymawiał w żargonie żydowskim, aż wreszcie wstał i powiedział tonem uroczystym:

— Zgoda! ja zdejmę kaucję i wejdę na

hipotekę nowego domu, zaraz po sumie mojej i Liebkinda, lecz nie na sześćdziesiąt jeden tysięcy pięćset rubli, a na całe osmdziesiąt tysięcy, dla okrągłości sumy...

Molskiemu, gdy to usłyszał, ugięły się nogi; żeby nie upaść, wsparł się na poręczy krzesła i ścisnął ją mocno, hamując tym sposobem gniew, który się w nim burzył; nie mógł jednak zapanować zupełnie nad sobą, gdyż zawołał:

— To rozbój!... to najpotworniejsza lichwa!

Grünbaum, wobec takiej krewkości klienta, uczynił minę żalowaną.

— Znowu pan się gniewa bez racji!... Pan mówi, że to jest rozbój i lichwa, a ja powiadam, że to, co chcę zrobić, to żaden dla mnie interes, że ja go chcę zrobić dla pana tylko, dlatego, że tyle lat miałem z nim interesy. Pan myśli, że te 18,000 rubli to wielka rzecz? To jest nic! Jak ja dostałbym od pana dziś te sześćdziesiąt tysięcy, a nawet pięćdziesiąt, to ja w rok mogę mieć z nich sto i więcej. Ja panu co jeszcze powiem: ja gotów jestem na całych 61,500 rublach ustąpić zaraz 3,500 rubli, jeśli mi pan zapłaci wszystko... A widzi pan?... Ja to chcę zrobić, chociaż mógłbym wejść z całą sumą na hipotekę i wszystko odebrać, położwszy areszt na sumę sprzedażną... Ja nawet nie 3,500, a całe 5,500 rubli jestem gotów ustąpić zaraz, w tej samej chwili... A pan mówi, że

Grünbaum rozbójnik, lichwiarz! — dodał tonem obrażonej godności, udając, że jest do głębi serca dotknięty podejrzliwością Molskiego.

Tego jednak nie bardzo wzruszyła „ofiarnosć“ Grünbauma, gdyż powiedział:

— Mógłbyś pan w tej chwili opuścić i 25,000, wiedząc, że gotówką nie rozporządzam, skoro przyszedłem zrobić z panem układ...

— Pan się myli... ja nie dlatego tak mówię, ale dlatego, że ja gotów to jestem zrobić i jutro, i za tydzień i wtedy, gdy za ten sprzedany dom będą płacić panu pieniądze; ja oczekam... czemu nie? A to, co pan dobrodziej mówi, że 80,000 rubli to dużo jest, to też nie ma pan racyi... Gdybym ja był rozbójnik i lichwiarz, to ja zażądałbym całe 100,000 i pan musiałby się zgodzić—dodał tonem niemal groźnym, łysnąwszy oczami.

Molski zbladł.

— I ja mówię to nie na wiatr! Ja wiem, co jest — mówił dalej. — Pan potrzebuje mieć gotówkę, żeby zaspokoić tego łajdaka Rubinlichta, który za głupie trzydzieści tysięcy chce wystawić na licytację dom, co wart dwadzieścia razy tyle; chce panu narobić kłopotu i ambarasów, przez złość, że pan dobrodziej nie chciał mu sprzedać placu obok swojej posesyi... ja to wszystko wiem... On, ten łajdak, może panu popsuć cały kredyt... No, to jego trzeba spłacić na gwałt, niech on zginie, przepadnie!...

Wszystko to, co Grünbaum mówił, było istotnie prawdą—musiał to przyznać Molski, nie wiedząc jednak, że całej prawdy pan Aron mu nie odkrył, a mianowicie, że ten Rubinlicht był kreaturą Grünbauma, jego tajnym agentem, że pieniądze, których Rubinlicht tak gwałtownie domagał się, były własnością Grünbauma, że nakazał on największą surowość w egzekwowaniu sumy, bez wchodzenia w jakiegokolwiek układy...

Było to wszystko z góry uplanowane, a te 30,000 rubli stały się haczykiem, na który Molski złapać się musiał i przyjąć narzucone sobie warunki, pod groźbą sekwestru i licytacji.

Plan udał się wybornie, gdyż oto Molski stał teraz przed Grünbaumem bezradny prawie, oddany na bezczelny wyzysk tego aferzystylichwiarza.

— No i cóż, panie Molski? Czy Grünbaum jest rozbójnik? Czy on nie dobrze panu życzy, gdy chce tylko 80,000 zamiast 100,000, na któreby pan też musiał się zgodzić?

Molski nic na to nie odpowiedział, czując, że jest w rękach Grünbauma i że najtwardsze warunki, postawione przez niego, przyjąć będzie musiał.

Tak się też i stało: po długich jeszcze targach, w których pan Aron okazał się twardym jak kamień, zawarty został tymczasowy układ, na mocy którego miały być zwrócone wszystkie

weksle Molskiego, oraz zdjęta kaucya, w zamian czego Grünbaum wchodził na drugi numer hipoteki nowowypudowanej posiadłości na sumę 78,000 rubli, dwa tysiące bowiem Grünbaum w ostatniej chwili opuścił.

Gdy Molski, po dokonaniu na nim tej finansowej operacyi, znalazł się na ulicy i spojrzął błędnym wzrokiem na tłum uliczny, snujący się gorączkowo, ożywiony, krzykliwy—zdawało mu się, że z tego tłumu nie będzie miał już siły wydobyć się, że on go porwie ze sobą, obali i stratuje.

Był to przeważnie motłoch żydowski, brudny, niechlujny, arogancki, całem swem zachowaniem się okazujący, że czuje się tu u siebie, na swoim gruncie, że świadomy jest swej siły w zwartej, solidarnie działającej masie, dążącej prostą drogą do celu, celu jedyne go, poza którym nic nie istniało, nic nie było świętego, nic godnego uwagi, gdyż streszczał on w sobie wszystko: siłę, potęgę, znaczenie, bogactwo, ideę narodową, wiarę i wszystko, co jest dla człowieka najdroższe, o czem marzy, do czego całym wysiłkiem życia dojść pragnie.

— Tak, to siła! straszna siła, jednolita, zachłanna! — pomyślał i zdjął go nagle lęk jakiś, nie tylko już za siebie samego, lecz i za całe społeczeństwo, które z tą niszczącą siłą liczyć się musi, dostarczać swych soków żywotnych na jej odżywianie, a jednocześnie nieustannie

się trwożyć, że soków tych wreszcie może zabraknąć, zabraknąć siły do ostatecznego porachunku, gdy czas przyjdzie...

A porachunek ten musiałby być ciężki: na szalę sprawiedliwości rzuciłoby należało wiekowy wyzysk społeczeństwa; niedolę i nędzę ludu rozpajanego, demoralizowanego; miliony rodzin zrujnowanych przez lichwę, zepchniętych w błoto życia, wydanych na pastwę upodlenia i nędzy; miliony uczciwych dziewcząt oszukanych, zaprzędanych w niewolę rozpusty, wywiezionych do różnych stron świata jako żywy towar, jako ofiary wyuzdanych zmysłów...

Tak myślał Molski, czując, że w sercu jego, wolnem dotąd od rasowych uprzedzeń, wzbiera uczucie gniewu i nienawiści względem tego plemienia pasorzytniczego, wyzutego z wszelkich uczuć szlachetniejszych, pogrążonego w ciemności moralnej, tułającego się po świecie z Kainowem piętnem ogólnej dla siebie pogardy.

Jakże odmienny był bieg myśli Grünbauma, gdy, pożegnawszy Molskiego, powrócił do jadalnego pokoju, dla dokończenia poobiedniej siesty w miłej pogawędce małżeńskiej z panią Dwojrą.

Twarz jego jaśniała zadowoleniem wielkiem, a na ustach igrał uśmiech bardzo przyjemny.

Spostrzegłszy to, pani Dwojra zapytała:

— Ty już zrobiłeś interes, Aron?

— Dlaczego ja nie miałem zrobić? Kiedy on do mnie sam przyszedł, to interes był już

prawie zrobiony — powiedział Grünbaum nie-  
dbale.

— A ileś ty, Aron, zarobił?

— Tymczasem jeszcze niewiele, tylko 17,500  
rubli.

— Co ty mówisz?— zawołała pani Dwojra  
z niedowierzaniem w głosie.

— Ty, Dwojra, głucha już jesteś, kiedy py-  
tasz całe dwa razy.

— Aj, aj! tyle tysięcy w niecałą godzinę...  
a co ja z tego będę mieć?

— Ty będziesz mieć przyjemność...

— Na ile procent?— zapytała pani Dwojra,  
słodko się uśmiechając.

— Ty, Dwojra, jesteś prawdziwa żydówka  
i dlatego ja ci dam całe dziesięć procent od  
sumy.

Tym razem pani Dwojra nie obrazila się  
za „żydówkę,“ gdyż uśmiechnęła się rozkosznie,  
mówiąc:

— Ty, Aron, dawałeś mnie piętnaście  
procent od gorszego interesu, od takiego, co  
musiałeś cały tydzień dużo mówić i chodzić po  
mieście.

— Ja i tu dużo chodziłem, zanim on do  
mnie przyszedł; i dlatego ja ci więcej nie dam,  
jak dziesięć procent.

— Ty, Aron, też jesteś prawdziwy żyd,  
wielki oszust, kiedy ty własną żonę chcesz oszu-  
kać; dlatego też ja cię znać nie chcę, ja cie-

bie nie puszcę do swego buduaru! — groziła pani Dwojra.

— Aj, aj!... jaki wielki strach... jak ja się boję... a ja ci dam rozwód i wezmę sobie inną żydówkę, taką młodą i ładną jak Ester—odciął się małżonek.—Czy ty słyszysz, Dwojra?

— Ty wielki gałgan jesteś, Aron, kiedy ty mówisz takie paskudne rzeczy! Ty myśleć nawet tak nie powinienes— powiedziała małżonka tonem wielkiego oburzenia.

— No, no! To i ty nie gadaj głupich wyrazów; a żebyś ty nie była stratna, to ja dam ci całe piętnaście procent.

Twarz pani Dwojry wypogodziła się.

— A ile to będzie?

— To bardzo dużo będzie...

— Więcej niż trzy tysiące?

— Prawie tyle, bo 2,800 rubli; ty za to możesz pojechać na całą zimę do ciepłych wód, ty możesz pozwolić sobie nawet na gorącą wodę, tak gorącą, jak sama zechcesz...

— Nie, nie! Do ciepłych wód to ty, Aron, już mi obiecałeś sam, a za te piętnaście procent to ja kupię powóz i konie ze stangretem, żeby do naszego Artura był cały arystokracyczny garnitur... Niech nam zazdroszczą!...

— Niech sobie zazdroszczą... chociaż ja myślę, co będą się śmiać — przekomarzał się pan Aron.

Na tak milej pogawędce małżeńskiej upły-



nęło jeszcze kilkanaście minut, poczem Grünbaum poszedł do swojej „kancelaryi,” by obmyślić dalszy plan działania.

Był w wyborzym humorze i pomlaskiwał z zadowolenia językiem na myśl, jak doskonale wszystko się składa i jak mu się udało oszukać żonę.

— Ona myśli — mówił do siebie, — że zrobiła dobry interes na tych 15 procent, a ona nie wie, że nie ośmnaście tysięcy, lecz może pięćdziesiąt, może sto tysięcy będzie z tego interesu!... Ja mam teraz Molskiego, tego mądrego goja-geszefmana, tu! — dodał, uderzając się po kieszeni — on teraz będzie skakać tak, jak ja mu każę.

Wieczorem tegoż dnia Grünbaum zobaczył się z Liebkindem w cukierni, w której schodzili się znaczniejsi finansisci i aferzyści budowlani.

— No i cóż? — zapytał Liebkind.

— *Fertig!* — odparł Grünbaum.

— Wszystko do połowy?

— Po co się pytać?... Tak ma być.

— No, no! — powiedział pan Liebkind, dając tem poznać, że chociaż zgodził się działać z Grünbaumem ręka w rękę, to wszakże nie bardzo mu dowierza.

— No, no! — przywtórzył Grünbaum, dobrodusznie się uśmiechając; gdy jednak Liebkind odwrócił się i zaczął rozmawiać z kimś

innym, na twarzy pana Arona pojawił się wyraz złośliwy, a w oczach zamigotały zdradne iskierki.

— Poczekaj ty!... ty mądry... ale i Grünbaum nie głupi! Po co ja mam napychać kieszeń takiemu, co już i tak dużo naoszukiwał i nakradł; ja i sam to, pod własną firmą, potrafię! — powiedział do siebie półgłosem i zagłębił się w myślach nad dalszym planem działania.

Zamyślenie jego przerwał nagle jakiś żyd rudy, o wstrętnej, odpychającej fizyognomii, który usiadłszy z drugiej strony stolika, dotknął ręką ramienia Grünbauma, mówiąc:

— Panie Aron, jak ma być dalej?

— Ty rób, jak ci kazałem, Rubinlicht.

— Dobrze... on zapłaci?

— Ty zobaczysz sam, to nie twoja rzecz wiedzieć.

— A co ja za to będę miał?— zapytał Rubinlicht nieśmiało, tonem uniżonym i pokornym.

— Ty będziesz dobrze miał; Grünbaum to ci mówi.

Oczy Rubinlichta błysnęły radością.

— Ja wiem, ja wiem i z góry dziękuję panu Aronowi.

— No, no!... ty każ sobie dać kawy i ciastek, ja zapłacę; a teraz idź, żebyś tylko jutro był u mnie: ja dla ciebie mam inny interes.

Rubinlicht skłonił się nisko, i zaszwargotawszy coś po żydowsku, odszedł w głąb po-

koju, gdzie zaczął raczyć się udzieloną mu łaskawie fundą swego pryncypała.

Tymczasem w grupie osób, siedzących wkoło wielkiego okrągłego stołu, stojącego pośrodku głównego salonu cukierni, uczynił się naraz gwar wielki i głośnie okrzyki.

Oczy wszystkich „gości“ zwróciły się w tę stronę, a odstające uszy chwytały chciwie najświeższą nowość dnia, którą przyniósł jeden z „bankierów,“ zdyszany i sam przejęty niezmiernie wieścią, jakiej był zwiastunem.

Streszczała się ona w krótkim, lakonicznie brzmiącym telegramie, którego doniosłość wszakże była ogromną.

Telegram zawierał tylko te słowa:

*„Bank Państwa zamknął kredyt wekslowy.“*

Wieść ta sprawiła wrażenie piorunujące. Z razu przyjęto ją z niedowierzaniem, gdy wszakże dowiedziano się, że jest to pewnik, pochodzący z urzędowego źródła, wszczęty hałas ucichł nagle i w cukierni zapanowała przygnębiająca cisza, którą zakłócały tylko ciężkie westchnienia, dolatujące z różnych jej kątów.

Na twarzach wszystkich gości odmalowała się ogromna troska i cierpienie, a w oczach, przed chwilą pełnych ożywienia i blasku, pojawił się tęskny wyraz niepewności.

Po kilku minutach tej ogólnej konsternacji wszczął się znów hałas i lament, niemniej chyba bolesny, jak nad zburzeniem Jerozolimy. I nic

dziwnego!... zburzona bowiem została i w niwecz obrócona niewyczerpana kopalnia złota, z której oni głównie czerpali; zniweczone zostały piękne nadzieje zysków z genialnych operacji kredytowo-finansowych, będących dla nich źródłem bogactw, znaczenia i siły. Zniweczone zostały daleko sięgające plany na przyszłość...

Przepadło słowem wszystko, wszystko!...

Co oni teraz poczną? Na co się zdały weksle? Na co kredyt łatwy w bankach akcyjnych, kiedy w nich nie będzie już pieniędzy? Co się stanie z rozpoczętą budową domów? co się stanie z placami, których nikt kupować nie zechce?

— Aj, aj, aj!... to gwałt! to wielka krzywda, to rozbój! — wołano, lamentując załóżnie.

Sytuacja istotnie była groźną: banki Handlowy i Dyskontowy, i inne źródła kredytu, z których czerpali spekulanci, były odżywiane gotówką z Banku Państwa. Obroty też tych instytucji finansowych wynosiły setki milionów rubli, przewyższając kapitały akcyjne i fundusze prywatne, składane na procent—kilkanaście razy.

Tym więc sposobem była to po prostu katastrofa finansowa, której następstwa trudne były do obliczenia.

Wiedzieli o tem spekulanci na wielką skalę i skóra na nich cierpła na myśl, że bogaty dotąd rynek pieniężny ulegnie potężnym wstrząśnieniom, które mogą wczorajszych „bogaczy“

przyprawić o torbę żebraczą. A cóż dopiero mówić o mniejszych rybach, żerujących po krętych kanalikach kredytu?... o przedsiębiorcach budowlanych, którzy podjęli stotysięczne interesy z drobnym, nieprzenoszącym kilkunastu tysięcy rubli kapitałem? Na kapitał ten składało się nieraz po kilku i kilkunastu żydów z kategorii „łapserdaków,” jak ich zwali tacy potentaci, jak Liebkind, Grünbaum i inni.

— Co to będzie? co to będzie? — szeptano z trwogą, kiwając głowami i wysilając swój mózg na rozmaite wybiegi spekulacyi.

Inni znów wymieniali już nazwiska i wytykali palcami przyszłych bankrutów:

— Ten nie przetrzyma!

— Tego dyabli wezmą!

— Ten sobie pojedzie na wielkie morze, do Argentyny, albo do Palestyny! — drwiono z niektórych, niecieszących się wielką sympatyą w tem zacnem gronie.

— Czy ty masz już paszport zagraniczny?— pytano jednego opasłego „kapitalistę,” który najwięcej się miotał i najwięcej pomstował na decyzję Ministerjum skarbu.

— On takie grube ma geszefta, że jemu jeden paszport nie wystarczy; jemu potrzeba całe trzy: dla szwagra i dla ojca, którzy wypadkiem nie siedzą dotąd w kryminale.

— Daj pokój!... ty nie drwij! Bo ta brzydka

rzecz może każdemu porządnemu żydkowi się przytrafić... teraz takie będą czasy...

Tym rozmowom przysłuchiwał się w milczeniu i Liebkind, wążąc w myśli wszystkie następstwa zmienionych warunków kredytu.

Był jednak zupełnie spokojny: jego katastrofa dotknąć już nie mogła; wycofał się on w porę z mniej bezpiecznych spekulacji, jakby przewidując, że nastąpić musi ogólne przesilenie z tych lub owych przyczyn.

Wprawdzie ostatnia ewentualność była i dla niego przykrą niespodzianką, nie w tym jednak stopniu, by miała go ona przyprawić o straty znaczniejsze. O to był spokojny; posiadał wprawdzie kilkanaście ogromnych kamienic, mocno obdłużonych, lecz za to rozporządzał dużym kapitałem, złożonym w bankach na rachunku bieżącym, oraz sumy hipoteczne na dobrych nieruchomościach.

Było to wyrachowanie nader proste: na domy zaciągał pożyczki do wysokości możliwej, często przewyższającej znacznie ich wartość, a pieniądze stąd otrzymane deponował w bankach i obracał nimi na 20 do 30 procent w stosunku rocznym, lub też umieszczał na pewną hipotekę tych domów, które w razie złych interesów właściciela nabywał na licytacji przymusowej za sumę niższą od wartości.

Tym sposobem stracić nigdy nie mógł, najwyżej sprzedadzą mu później domy; on tym-

czasem wycofa swe kapitały i schowa je tak dobrze, że najlepszy komornik ich nie odszuka.

— Trzeba się tylko będzie pośpieszyć—myślał i nagle przypomniał sobie, że świeżo zaangażował się do interesu z Grünbaumem,—teraz to żaden interes jest—dodał półgłosem, i podszedłszy do Grünbauma, odwołał go na stronę.

— Co jest?—zapytał pan Aron.

— Ja myślę, że z tym Molskim trzeba skończyć!

Grünbaum uśmiechnął się zagadkowo i odparł:

— Ja już z nim skończyłem.

— Kiedy? — zapytał Liebkind z pewnem zaniepokojeniem.

— Dziś...

— To nie może być!

— Dlaczego nie może być? Była między nami zgoda na ten interes; ja powiedziałem, że on już *fertig!*

— Tak, ale teraz co innego jest... pieniądz drogi...

— Ja zrobiłem z nim układ.

— A moje weksle?

— One poszły!

— To niech one przyjdą z powrotem, ja już nie chcę.

— Co to „nie chcę?“ Jak była zgoda, to musi być zgoda, nie tylko wczoraj, ale i dziś!

Ja mu już weksle oddałem, on już je może podarł.

— Jakto?... Tak, na słowo, bez hipoteki?

— Jutro już może być hipoteka, pójdziemy do rejenta.

— No!... jak jutro, to jeszcze dziś nie skończone; ja z tego interesu chcę się wycofać, ja gotów jestem stracić.

— Ile?

— Ja daruję zaległy procent.

Grünbaum rozśmiał się głośno, mówiąc:

— Aj, aj!... Jaki pan Liebkind dobrodziej jest! on chce darować procent, no, a ja co mam darować?... Teraz te weksle tyle warte, co nic! Czy pan Liebkind ma u Molskiego jaką kaucyę? Czy Molski ma z czego zapłacić?

— On ma domy!... On ma hipotekę...

— Pan Liebkind ma też cały tuzin, całe dwa tuziny domów, no to i Molskiego domy taką samą mają hipotekę. Tam długów tyle, co aż strach!

— No, ale ten ostatni, to on wart całe pół miliona...

— Może wczoraj, może jeszcze dziś, ale nie jutro i nie pojutrze... Tam na hipotece nie tylko są pieniądze Liebkinda i Grünbauma, ale ze 100,000 rubli innych wierzycieli. Prócz tego dużo jest jego weksli u ludzi. Jemu mogą dom sprzedać przedtem, nim on dostanie Towarzystwo. No, to co jego weksle warte są? Chyba,



że pan Liebkind da swoje żyro?! — dowodził Grünbaum, patrząc drwiąco na Liebkinda.

Istotnie, Liebkind zafrasował się. Powziąwszy od dawna zamiar wycofania wszystkich swoich kapitałów, uznał za konieczne, wobec świeżo otrzymanej sensacyjnej wiadomości, sprawę tę przyspieszyć, a tu tymczasem na domu Molskiego miał bardzo znaczną sumę, wynoszącą około 90,000 rubli, na którą mogli położyć sekwestr w razie, gdyby przy sprzedaży domów Liebkinda pospadały sumy hipoteczne. A że tak będzie — wiedział doskonale, a również i o tem, że nadal procentów już płacić nie będzie, ani też sumy kapitalnej długów.

— Niech one przepadną! — myślał — i domy razem z nimi. Ja mam już dosyć tej spekulacji!

Grünbaum musiał być wtajemniczony w te finansowe kombinacje „królika budowlanego,” którego w duszy nie cierpiał, chociaż dotąd wiele interesów prowadził z nim na wspólnkę. Przyczyny tej niechęci leżały w zawiści konkurencyjnej, w większej sumie zysków, jakie zagarniał Liebkind zawsze, ile razy nastęrczało się jakieś nowe źródło spekulacji i wyzysku. Gniewało to Grünbauma niezmiernie; nie uznawał bowiem zbyt wielu zdolności i rozumu Liebkinda, odzywając się o nim w zaufanym gronie swoich przyjaciół lekceważąco:

— Co on jest, ten Liebkind? On wielki

oszust jest. On udaje wielkiego bogacza... gdyby jednak zrobić z nim wielką regulację, to on nie miałby i dziesiątej części tego, co ma Grünbaum, który siedzi cicho i jest prawdziwym żydem...

Dlatego też teraz rad był ze sposobności wycofania się ze spółki odnośnie do operacji finansowej względem Molskiego, z której przewidywał znaczne zyski.

I udało mu się to w zupełności, gdyż Liebkind zgodził się nie tylko na wycofanie się z tego interesu, lecz i na pozostawienie weksli Molskiego na rzecz Grünbauma, w zamian za prosty skrypt na sumę odpowiednią.

Grünbaum tryumfował.

— Będziesz ty widział te pieniądze! — odgrażał się w myśli, teraz już planując, w jaki sposób najlepiej będzie „oszukać“ Liebkinda.

Byłby to jednak tylko przyjemny deser, ostateczne uwieńczenie kapitalnego interesu, tryumfalne zaciągnięcie matni, w którą miał wpaść Molski.

— On jest teraz mój! — powiedział do siebie Grünbaum — całkiem mój! z głową, z nogami, z rękami, domami i ze wszystkim, co on może mieć!

— Panie Grünbaum! z przeproszeniem... czy ja mogę powiedzieć dwa słowa? — zagadnął go szeptem Rubinlicht, który w tej chwili wysunął się z zwartej grupy podrzędniejszych fak-

torów, czyniących gwałt wielki, bez względu na obecność różnych matadorów finansowych, swych bezpośrednich pryncypałów.

— Co jest? mów!

— Mnie jeden faktor mówił, że ten Mol-ski ma dostać wielką pożyczkę z „naszego“ To-warzystwa... całe trzykroć! To może zaczekać?

— Ty głupi jesteś, Rubinlicht, ty rób co ja ci każę—odparł Grünbaum tonem pogardli-wym i odwrócił się do niego plecami, poczem wzięwszy do ręki parasol, skierował się ku drzwiom.

— Panie Grünbaum... a za kawę kto zapła-ci? — zagadnął go jeszcze Rubinlicht, biegnąc za nim.

Grünbaum sięgnął do kieszeni, i wyjąwszy garść srebrnej monety, wybrał z niej gładką czterdziestówkę i wsunął ją w wyciągniętą rękę Rubinlichta.

Ten obejrzał ją starannie, skrzywił usta w brzydkim uśmiechu i powiedział do siebie:

— On myślał, co on mnie oszukał, a to do-bra czterdziestówka jest.



KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77  
Tel. 26-68-63

może mieć!

— Panie Grün  
czy ja mogę powied  
go szeptem Rubinlic  
sunął się z zwartej §













F

22.123/0